

ZBIORY OSRODKA KARTA

metrum



lato-jesień '87

2-3

W NUMERZE:

Pełny tekst wywiadu płk Kuklińskiego dla paryskiej "Kultury" ● Jan Nowak o kulisach polityki USA wobec Polski ● Szkice o konserwatyście i rewizjonizmie ● Eseje o Włodzimierzu Jerofiejewie, Georgu Lukácsu, Aleksandrze Błoku, Marinie Cwietajewej i Osipie Maldensztamie ● Kronika siedleckiej "Solidarności" od 13 grudnia do grudnia 1984 ●



metrum



nr2-3 Siedlce lato-jesień '87
kwartalnik

Spis treści:

Ryszard Kukliński	1	Wojna z narodem widziana od środka
Jan Nowak	32	Polityka USA wobec Polski
Bogdan Usowicz	39	Konserwatyzm po polsku
Piotr Gazda	45	Pochwała rewizjonizmu
Piotr Wandycz	50	Realizm i idealizm w dziejach Polski
Georg Steiner	55	Georg Lukács i jego pakt z diabłem
Cezary Kafmierzczak	62	Wizja Wieniczy
Agata Zalewska	70	Jak strzelać do poetów?
Hanna Sławińska	84	Kronika siedleckiej "Solidarności" 13.XII.81 - 31.XII.84

Pismo jest kontynuacją gazetki o tej samej nazwie, która w latach 1983 - 1986 ukazywała się jako dwutygodnik. Wydano 63 numery.

Redaguje zespół. Numer zamknięto 4.08.1987.

© Copyright by "Metrum"

wydawnictwo
metrum



WPIĄTY: Mody Byk - 1000; Metrum dziękuje Velasquezowi za 300 USD; Metrum dziękuje przycięciom z wakacji za 3700 FF; Kwitujemy 800 od "Kontaktu";!

; SPROSTOWANIE: podziękowanie wydrukowane na 4 stronie okładki książki M. Duras powinno brzmieć: "Dziękujemy Monetowi za 200 USD" a nie "Montewiza..." DZIĘKUJEMY!

WOJNA Z NARODEM WIDZIANA OD ŚRODKA

ROZMOWA

Z BYŁYM PŁK. DYPL. RYSZARDEM J. KUKLIŃSKIM
PRZEPROWADZONA W PIĄTĄ ROCZNICĘ
WPROWADZENIA W POLSCE STANU WOJENNEGO

KULTURA: - Panie Pułkowniku! Zaczniemy od pytania, które wszyscy sobie zadają. Upłynęło już pół roku od czasu kiedy czynniki rządowe PRL ujawniły rolę jaka Pan odegrał w czasie przygotowań do wprowadzenia stanu wojennego, inicjując w czerwcu tego roku wybuch prawdziwej bomby prasowej. Dlaczego właśnie teraz i dopiero teraz zabiera Pan głos?

RYSZARD JERZY KUKLIŃSKI: - Rewelacje Jerzego Urbana, a później generała Czesława Kiszczaka były, jak wiadomo, wymierzone przeciwko polityce Stanów Zjednoczonych. Nie jestem adwokatem rządu tego kraju i nie do mnie należy obrona czy uzasadnianie jego decyzji. Uważałem, że od tego są rzeczownicy administracji amerykańskiej. I to był najważniejszy powód mojej wstrzeźliwości. Nie bez znaczenia był jednak również fakt, że nie chciałem być tymi przysłowiowymi nożyczkami, które odzywają się, gdy pan Urban w stół uderzy. Nie miałem i nie mam zamiaru polemizować z fałszami i propagandowymi bzdurami.

Zabieram głos w piątą rocznicę wprowadzenia stanu wojennego, bo jest to odpowiednia okazja do rozważań nad zakończonym 13 grudnia 1981 roku, ale przecież jeszcze nie zamkniętym rozdziałem naszej najnowszej historii. Nie roszczę sobie pretensji do objawienia całej prawdy niezwykle złożonego okresu od sierpnia roku 1980 do grudnia roku następnego. Czuję się jednak w obowiązku przedstawić społeczeństwu te wydarzenia, których byłem bezpośrednim uczestnikiem lub świadkiem. Społeczeństwo samo może sobie wyciągnąć wnioski.

K.: - To co Pan powiedział odnosi się do ostatniego okresu. Społeczeństwo chciało by jednak z pewnością znać również powody dlaczego tuż po wydostaniu się z Polski nie ostrzegł Pan, że lada dzień wprowadzony będzie stan wojenny, że nastąpi policyjno-wojskowe uderzenie w "Solidarność", że nastąpią masowe internowania itd.? Był Pan przecież jednym z niewielu, którzy jeszcze przed ogłoszeniem stanu wojennego znali dokładnie plany tej operacji. Według oświadczeń reżimu, 7 lub 8 listopada, a więc na miesiąc przed uderzeniem grudniowym znalazł się Pan w Stanach Zjednoczonych. Dlaczego z tych informacji nie został zrobiony żaden użytek?

R.J.K.: - Data kiedy rzekomo miałem się znaleźć w Stanach Zjednoczonych jest nieprawdziwa. 8 listopada nie zjawiłem się w Sztynie Generalnym Wojska Polskiego, ale to wcale nie oznaczało, że byłem już w Stanach Zjednoczonych. Dla przedmiotu sprawy nie miało to jednak większego znaczenia, gdyż szansa ostrzeżenia na czas społeczeństwa rzeczywiście istniała. W kraju było to niemożliwe, ale po wydostaniu się na Zachód miałem właściwie pełną swobodę poruszania się oraz postępowania według własnych decyzji. Byłem wolnym obywatelem i bez najmniejszych przeszkód mogłem telefonicznie, a nawet osobiście nawiązać kontakt z przedstawicielami dowolnych środków masowego przekazu, a nawet - ze względu na powagę sytuacji - zwołać konferencję prasową i zaapelować o przekazanie takiego ostrzeże-

ia o jakim Pan mówi.

Tak bym prawdopodobnie postąpił gdybym się kierował wyłącznie emocjami. Yłoby dużym uproszczeniem twierdzenie, że były mi one zupełnie obce. Przeciwnie, ydaję mi się, że byłem w podobnym stanie wstrząsu, jaki w miesiąc później ył udziałem większości Polaków słuchających radiowo-telewizyjnego wystąpienia enerała Jaruzelskiego, ale na szczęście stan emocjonalny nie sparaliżował upelnie zdolności przewidywania tego co może nastąpić gdy moje ostrzeżenie otrze do kraju.

W przewidywaniu rozwoju wydarzeń niepotrzebna była jakaś szczególna wyobraźnia. ad sprawami staniu wojennego pracowałem ponad rok, ściśle biorąc 380 dni, a yżasani i nocy. Rozliczne warianty możliwych działań znałem już na pamięć. ystarczyło więc tylko do niej sięgnąć, aby zdać sobie sprawę, że:

Po pierwsze - podjęta pod presją Związku Radzieckiego decyzja o wprowadzeniu i Polsce stanu wojennego, w początkach listopada roku 1981 była już praktycznie nieodwołalna. Gdyby generał Jaruzelski w ostatniej chwili zażądał się, wystąpienie radiowo-telewizyjne do narodu wygłoszyłby generał broni Eugeniusz Moleczyk lub inny zdecydowany na ten krok generał.

Po drugie - operacje stanu wojennego miały prowadzić wyłącznie polskie siły policyjno-wojskowe. Gdyby jednak z jakichkolwiek powodów nie były one w stanie złamać oporu społeczeństwa, do akcji miały wkroczyć czekające u granic Polski y pełnej gotowości dywizje radzieckie, czeskie i niemieckie.

Po trzecie - w dniu 7 listopada 1981 roku, to jest w momencie opuszczania przeze mnie Sztabu Generalnego WP, stan przygotowań do wprowadzenia stanu wojennego był tak dalece zaawansowany, że do uruchomienia całej policyjno-wojskowej machiny wystarczyło tylko naciśnięcie przysłowiowego guzika. Jedynym problemem do rozwiązania pozostało spreparowanie - możliwego do zaakceptowania przynajmniej przez część społeczeństwa - pretekstu do rozpoczęcia konfrontacji oraz wybór najlepszego momentu uderzenia.

Po czwarte - w głównym wariantzie działań stan wojenny zamierzano wprowadzić zaskoczenia, którejs nocy z piątku na wolną sobotę. Gdyby jednak sytuacja w kraju na to nie pozwalała /na przykład: gdyby "Solidarność" podjęła jakąś akcję uprzedzającą/, stan ten mógł być wprowadzony także w różnych niekorzystnych z operacyjnego punktu widzenia sytuacjach, w tym także w czasie trwania powszechnego strajku akupacyjnego.

Biorąc to wszystko pod uwagę, nie miałem najmniejszych wątpliwości, że ujawnienie przeze mnie planów uderzenia nie mogło ich w najmniejszym stopniu udaremnić lub choćby opóźnić. Mogło je tylko przyspieszyć. Rozważając taką ewentualność musiałem się natomiast liczyć z faktem, że jeśli moje ostrzeżenie nie zostanie uznane w kraju za inspirowany przez władzę fałszywy alarm, czy jakkolwiek inną prowokację, jeśli do to ostrzeżenie "Solidarność" rzeczywiście uwierzy, wówczas niemał na pewno dojdzie do natychmiastowego ogłoszenia strajku generalnego, a w konsekwencji do zorganizowanego oporu w setkach fabryk, zakładów pracy i uczelni.

Wiedziałem, że w takiej sytuacji akcje sił policyjno-wojskowych nie ograniczyłyby się wyłącznie do blokowania ośrodków strajkowych oraz odcinania im dopływu elektryczności, wody, żywności; że dla złamania masowego oporu i osiągnięcia szybkiego sukcesu musiałyby nastąpić uderzenia sił pancernych, przede wszystkim czołgów; że wreszcie przy ewentualnym powszechnym oporze ludności, sił polskich byłoby za mało i na pewno do akcji wkroczyłyby również pozostające w strategicznych rezerwach dywizje radzieckie, a nawet czeskie i niemieckie.

Nie ulega wątpliwości, że przy takim rozwoju wydarzeń wszystko musiałyby się skończyć nieprawdopodobną krwawą masakrą ludności, a zwłaszcza tej jej części, która trwałaby w oporze. Wydaje mi się, że los działaczy "Solidarności" i opozycji wyglądałby dziś zupełnie inaczej, gdyż w wypadku wprowadzenia do działań sił radzieckich nastąpiłaby nie tylko rzeź, ale z całą pewnością także tenotarcja, taka sama jaka miała miejsce po stłuszeniu powstania węgierskiego.

Stawka była więc zbyt wysoka aby dać się ponieść emocjom i poczynić jakikolwiek nierozważny krok. Nie mogłem wziąć na siebie odpowiedzialności za tego typu ryzykowne posunięcie. Powiem więcej, gdyby ktokolwiek inny, łącznie z rządem Stanów Zjednoczonych chciał takie ostrzeżenie przekazać, to mógłby uczynić to tylko wbrew mojej opinii. Na szczęście taka okoliczność w ogóle nie wystąpiła. Bawłem sobie sprawę, że powstrzymanie się od takiego ostrzeżenia może się okazać w przyszłości spotkaniem z krytyką. Słyszę ją dziś tu na obczyźnie,

jej odgłosy docierają również z... trybikę tę przyjmuję w pokorze. Są to nieuniknione, ale przecież osobiste decyzje własnych decyzji. Gdyby jednak moje obawy się spełniły, a mam silną wewnętrzną pewność, że tak - koszty poniosłoby społeczeństwo. Dziś - mimo ciężącego na mnie wyroku śmierci - śpię spokojnie. I to nie dlatego, że mam jakąś szczególną osobistą ochronę, ale dlatego, że na moim sumieniu nie ciąży żadne ludzkie życie.

K.: - Z tego co Pan powiedział wynika, że o pańskiej decyzji przesądziły motywy oparte na wyborze mniejszego zła. Podobne motywacje przytoczył Jaruzelski, wprowadzając stan wojenny. Czy nie widział Pan jakichś innych możliwości działań, które nie byłyby wyborem między złem mniejszym, to jest stanem wojennym i większym, jakim miała być sowiecka irwazja?

R.J.K.: - Od początku kryzysu aż do końca października roku 1981, to jest do momentu kiedy decyzja o użyciu siły przeciwko "Solidarności" stała się nieodwołalna, nie tylko taką możliwością widziałem, ale wydaje mi się, że czynnikiem wszystko co było możliwe, a w wielu przypadkach podejmowałem nawet desperackie próby, aby uniknąć zarówno irwazji, jak i stanu wojennego.

Proszę sobie przypomnieć rok 1980 i 1981. Czy Pan lub ktokolwiek w Europie i świecie, a zwłaszcza w Polsce usłyszał kiedykolwiek od najwyższych czynników partyjnych i państwowych PRL choćby jedno słowo o zagrożeniu Polski irwazją przez jej najbliższych sąsiadów mimo, że naprawdę byliśmy od tego o krok i to na samym początku kryzysu?

Czy ktokolwiek słyszał, że Stanisław Kania czy generał Jaruzelski znaleźli w sobie tyle odwagi, aby przeciwstawić się szantażowi Związku Radzieckiego tak, jak w roku 1956 uczynili to Gomułka i Ochab? Niestety nie! Oni jedynie podzielali radzieckie oceny o istnieniu kontrrewolucji w Polsce, dostarczając w ten sposób usprawiedliwienia dla ewentualnej akcji militarnej ZSRR i Układu Warszawskiego.

Głosy przeciwko radzieckiej irwazji Polski oraz w obronie jej prawa do samodzielnego rozwiązywania swych własnych problemów dochodziły nas tylko z Ameryki i Europy Zachodniej. Fakt, że do lata roku 1981 udało się nie tylko uniknąć najgorszego zła ale nawet doprowadzić do IX Nadzwyczajnego Zjazdu Partii w dużej, jeśli nie decydującej mierze, zawdzięczać trzeba stanowczej postawie rządów, szerokiej opinii publicznej, a nawet partii komunistycznych świata zachodniego.

Byłoby nie na miejscu z mojej strony przypisywanie sobie jakiejś znaczącej roli w alarmowaniu rządu Stanów Zjednoczonych w tym okresie. W każdym razie coś w tym kierunku usiłowałem czynić.

Nie mam również żadnych wyrzutów sumienia, że zlekceważyłem jakąkolwiek szansę obrony "Solidarności" przed uderzeniem jej rodziłych przeciwników. Ci, którzy słuchali uważnie mogli wychwycić dość wyraźne sygnały o zbliżającym się uderzeniu. Władze miały także świadomość, że ktoś z ich własnego środowiska wysłał sygnały alarmowe. Podam tylko jeden przykład. Otóż 13 września 1981 roku, tuż przed tzw. walką o dostęp "Solidarności" do środków masowego przekazu, na nadzwyczajnym posiedzeniu Komitetu Obrony Kraju poświęconym sprawom wprowadzenia stanu wojennego generał Kiszczak ujawnił, że znaczna liczba działaczy "Solidarności" zna w szczegółach plany wprowadzenia stanu wojennego, w tym także plan internowania, łącznie z listą osób przewidzianych do internowania oraz kryptonimem tej operacji.

W tamtym czasie ostrzeżenia miały jeszcze jakiś sens. Później, po zapadnięciu ostatecznego wyroku na "Solidarność", mogły się tylko przeciwko niej obrócić.

K.: - Do niedawna Pana nazwisko nic nie mówiło ludziom spoza grona Pana znajomych i rodziny. Dziś poza samym nazwiskiem jest Pan także postacią nieznaną szerszemu ogółowi. Czy mógłby Pan powiedzieć coś o sobie? Z jakiego środowiska Pan pochodzi? Co Pana skłoniło do służby zawodowej w Wojsku Ludowym i jaki był przebieg tej służby?

R.J.K.: - Urodziłem się w roku 1930 w Warszawie przy ulicy Dzielnej 6 i większą część mego życia spędziłem w tym właśnie mieście: lata dzieciństwa w domu przy ulicy Tłomackie 13, a później przy ulicy Długiej 32/34. Ostatnio zamieszkiwałem na Starówce, przy ulicy Rajców 11. Nauki zacząłem pobierać w szkole nr 22 przy

licy Elektoralnej 7, a później przy ulicy Miodowej oraz w szkole przyzakonnej przy ulicy Freta. Pochodzę z rodziny, której głównym źródłem utrzymania była raca i najczęściej była to praca fizyczna. Na początku lat trzydziestych ojciec ój był prostym robotnikiem w fabryce pilników w Pruszkowie, a następnie w rusie. Był członkiem Polskiej Partii Socjalistycznej. Dom rodzinny - podobnie jak wielu moim rówieśnikom - zniszczyła mi bardzo wcześniej wojna i okupacja. W roku 1943 ojciec mój był aresztowany przez Gestapo i torturowany w naszym domu przy ulicy Tłomackie 13 oraz w Alejach Szucha. Był więźniem Pawlaka. Zginął już przed wyzwoleniem w obozie koncentracyjnym Oranienburg-Sachsenhausen.

Po wojnie przenieśliśmy się do Wrocławia, gdzie w wieku lat 15 podjąłem pierwszą pracę zawodową w Urzędzie tego miasta i jednocześnie uczyłem się w gimnazjum wieczorowym dla dorosłych.

Do ludowego WP wstąpiłem w roku 1947. Wierzyłem wtedy, że pomimo wszystko jest to wojsko polskie.

Szkolę oficerską ukończyłem w roku 1950. Pierwsze 10 lat służby spędziłem na przemian w jednostkach liniowych oraz na różnego rodzaju kursach wyższego stopnia.

W roku 1963 ukończyłem studia w Akademii Sztabu Generalnego WP i przeszedłem do służby w Sztapie Generalnym. W tej instytucji zajmowałem się początkowo planowaniem szkolenia operacyjnego oraz opracowywaniem wielkich ćwiczeń wojskowych, które prowadzi minister Obrony Narodowej lub szef Sztabu Generalnego IP.

W roku 1976, po ukończeniu /wspólnie zresztą z obecnym ministrem Spraw Wewnętrznych generałem Kiszczakiem/ kursu operacyjno-strategicznego Akademii Sił Zbrojnych ZSRR w Moskwie objąłem w Zarządzie Operacyjnym Sztabu Generalnego stanowisko Szefa Oddziału i Planowania Strategiczno-Obronnego. Stanowisko to, które w ostatnich latach połączone było z funkcją zastępcy szefa Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego WP, sprawowałem do ostatniej chwili, tj. do 7 listopada 1981 roku.

Ł.: - Czy mógłby Pan rozwinąć na czym polegały Pańskie obowiązki jako szefa oddziału Planowania Strategiczno-Obronnego? Czy może były one związane z jskimiś funkcjami wewnętrznymi Wojska Polskiego, za które był Pan odpowiedzialny?

R.J.K.: - Moje obowiązki służbowe nie miały nic wspólnego z jakimkolwiek funkcjami wewnętrznymi armii. Wręcz przeciwnie, były one jednoznacznie ukierunkowane na przygotowywanie kraju i sił zbrojnych do obrony z zewnątrz.

Zakres tych obowiązków był tak bardzo rozciągliwy, że łatwiej byłoby wyliczyć co do nich nie należało, ale nie o to Pan przecież pytał. Ogólnie mogę powiedzieć, iż odpowiadałem za centralne, kompleksowe planowanie rozwoju sił zbrojnych i obronności państwa, co potocznie można nazwać planowaniem zbrojeń PRL.

Inną ważną dziedziną było prowadzenie właściwie wszystkich spraw związanych z udziałem Polski w Układzie Warszawskim. Z tego tytułu - niejako z urzędu - uczestniczyłem we wszystkich posiedzeniach Komitetu Ministrów Obrony państw Układu Warszawskiego oraz w większości posiedzeń Rady Wojskowej ZSZ państw Układu Warszawskiego.

W ostatnim okresie czasu wciągnięty zostałem także do tzw. planowania operacyjnego, to jest do planowania działań zbrojnych WP na wypadek wojny pomiędzy NATO i Układem Warszawskim.

K.: - Niektóre źródła przekazały, że w pewnym okresie pełnił Pan również stanowisko łącznika między sztabem Jaruzelskiego a Kulikowem, co dawało Panu szeroki wgląd w sowieckie i polskie plany użycia siły przeciwko "Solidarności".

R.J.K.: - Zaszło tu jakieś nieporozumienie. Być może powstało ono z tego, że kiedyś w przeszłości przez bardzo krótki okres czasu rzeczywiście pełniłem funkcję, którą można było rozumieć jako funkcję łącznika pomiędzy radzieckim Naczelnym Dowództwem, a Wojskiem Polskim. Było to jednak w zupełnie innym czasie i nieco innych okolicznościach. Otóż w sierpniu roku 1968, w czasie przygotowywania radzieckiej inwazji Czechosłowacji skierowany zostałem do pracy w Legnicy na stanowisku dowódcy Naczelnego Dowódcy Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego Iwana Jakubowskiego. Uczestnicząc tam z pamiętnia Sztabu Generalnego WP w planowaniu działań polskich sił inwazyjnych spełniałem równocześnie funkcję tzw. oficera

kierunkowego do polskiej armii wydzielonej przez Śląski Okręg Wojskowy i dowodzonej przez gen. Floriana Siwickiego.

Później, w tym także w czasie kryzysu roku 1980/1981, łącznikiem - w takim znaczeniu, jak Pan to ujął w swym pytaniu - nie byłem.

Wgląd w plany użycia radzieckich i polskich sił przeciwko "Solidarności" dawała mi moja, do pewnego stopnia szczególna, pozycja służbowa w Sztapie Generalnym, która w czasie kryzysu przekształcona została w swego rodzaju jednoosobowy roboczy sekretariat kierownictwa MON do spraw przygotowań stanu wojennego.

K.: - Z Pana życiorysu wynika, że w swojej karierze wojskowej zaszedł Pan bardzo wysoko, że działał Pan w samym centrum ośrodka dyspozycyjnego i to nie tylko sił zbrojnych PRL, ale także Układu Warszawskiego. Od bardzo młodych lat był Pan wychowywany w wojskowej dyscyplinie oraz bezwzględny podporządkowaniu się rozkazom. Chcielibyśmy jednak dowiedzieć się co zdecydowało, że postanowił Pan wyłamać się z tej dyscypliny oraz zaangażować się po stronie "Solidarności". Co Pana skłoniło, by wziąć śmiertelne ryzyko na siebie, a także na swoich najbliższych? Czy było to jakieś wydarzenie, jakiś rozkaz?

R.J.K.: - Przede wszystkim nie mogę zgodzić się z tezą, że byłem jakimś szczególnym wyjątkiem. Ludzi, którzy w różny zaangażowany sposób przeciwstawiali się parującemu systemowi było w Polsce wielu. Po każdym kryzysie ich liczba wzrastała niemal w postępie geometrycznym i wszyscy oni w mniejszym, czy większym stopniu byli narażeni na represje. Ludzi takich nie brakowało również w Siłach Zbrojnych PRL i może mi Pan wierzyć lub nie, ale w swych usiłowaniach naprawdę nie czułem się osamotniony.

Pytał Pan czy było jakieś wydarzenie, jakiś rozkaz? ... Nie ulega wątpliwości, że wydarzeniem tym był Polski Sierpień oraz rozkazy, jakie prawie od samego początku wybuchu strajków na Wybrzeżu przyszło mi wykonywać, a które uznawałem za sprzeczne z interesem kraju i narodu, któremu służyłem. O dokonaniu ostatecznego wyboru przesądziły chyba jednak moje wcześniejsze doświadczenia.

O jednym z nich, które miało miejsce w sierpniu roku 1968, a więc niemal dokładnie 12 lat przed polskim sierpniem już wspominałem, odpowiadając na Pańskie pytanie dotyczące mojej służby wojskowej. Rządowe środki masowego przekazu informowały wówczas społeczeństwo o knowaniach imperializmu w Czechosłowacji oraz próbach wydarcia tego kraju ze wspólnoty państw socjalistycznych. Były także wzmianki o odbywanych zgodnie z planem ćwiczeniach wojskowych Układu Warszawskiego, ale nie nadawano im szczególnego rozgłosu. Ćwiczenia te były już w pełnym toku, kiedy otrzymałem całkiem niewinny rozkaz, abym udał się natychmiast na rozwinięte przez Naczelnego Dowódcę ZSZ państw UW marszałka ZSRR Iwana Jakubowskiego stanowisko kierowania ćwiczeniami w Legnicy, gdzie miałem uczestniczyć w planowaniu ćwiczebnych operacji jednostek Wojska Polskiego.

Kiedy meldowałem się w sztabie marszałka Jakubowskiego zastałem tam już przedstawicieli wszystkich armii Układu Warszawskiego z wyjątkiem Czechów i Rumunów. Atmosfera była raczej spokojna. Nikt nie wymawiał słowa inwazja, zbrojna interwencja czy też agresja. Takie terminy były wiaściwe dla charakteryzowania działań zachodniego imperializmu. My zajmowaliśmy się tylko ćwiczeniami. W "ćwiczeniach" tych było jednak coś niezwykłego, czego nigdy w przeszłości nie spotkałem. Otóż te fazy ćwiczeń, które myśmy planowali, a którym nadano kryptonim "Dunaj" miały być prowadzone na terenie Czechosłowacji, ale bez udziału strony czechosłowackiej. Również ćwiczebne działania miały być wprawdzie prowadzone w obronie socjalistycznej Czechosłowacji, ale tym razem nie przeciwko żadnym agresywnym siłom NATO do czego powołany był rzekomo Układ Warszawski - lecz o dziwo - przeciwko Czechosłowackiej Armii Ludowej, która przecież wchodziła w skład Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego, a którą od tej pory zaczęto oznaczać na mapach sztabowych kolorem niebieskim, to jest kolorem zastrzeżonym wyłącznie dla przeciwnika. Jednym słowem nie było większych wątpliwości o co chodzi, tylko nie wolno było tego nazywać pó imieniu.

Kiedy plany bayskawicznego osaczenia garnizonów Czechosłowackiej Armii Ludowej i ich zneutralizowania w drodze perswazji były już gotowe, a wojska inwazyjne czekały tylko na sygnał do przekroczenia granic naszego południowego sąsiada, podjąłem próbę zorientowania się co na ten temat mówi świat. Uważałem, że koncepcja tak dużych sił wojskowych wokół granic Czechosłowacji nie mogła ująć

wadze opinii światowej. Uważałem, że rozpoznanie zamiarów radzieckich było tym łatwiejsze, że w końcowej fazie przygotowaliśmy na rozkaz marszałka Jakubowskiego rozpoczęto tak zwane ćwiczenia EFIR, które polegały na uruchomieniu pracy dużej liczby środków radiowych, aby wykazać stronie czechosłowackiej koncentrację dużych sił Układu Warszawskiego, wobec których wszelki opór jest bezcelowy. Ta demonstracja siły w eterze nie mogła ująć uwadze Zachodu. Będąc o tym przekonany, zacząłem słuchać zachodnich dzienników, tak tylko aby potwierdzić sobie przyjęte z góry założenia, że świat wie o zbliżającej się inwazji, że świat stanowczo się temu przeciwstawia i protestuje, że wreszcie może uda się uniknąć najgorszego.

Byłem głęboko zawiedziony i bezradny zarazem. Ten świat, na który tak bardzo liczyłem zajęty był wojną w Wietnamie oraz przetwarzającymi się w tym czasie przez całą niemal Europę, a także Stary Zjednoczone masowymi protestami przeciwko tej wojnie. Były także wzmianki o Czechosłowacji ale raczej sielankowe. Przewidując potencjalną inwazję Czechosłowacji nikt nie protestował. Na ten temat zarówno wschodnie, jak i zachodnie środki masowego przekazu zachowywały całkowite milczenie.

Nie chcąc uczestniczyć w najeździe Czechosłowacji, zadzwoniłem do Warszawy i pod jakimś pretekstem poprosiłem przełożonego o odwołanie mnie z Legnicy. Życzenie zostało spełnione natychmiast. Moje stanowisko objął płk Stanisław Radaaj. Ja wróciłem do Warszawy z niewielką nadzieją, że może uda mi się zaalarmować świat. Niestety w mojej sytuacji nie było to ani proste ani łatwe.

W niecały tydzień później, 20 sierpnia 1968 roku w nocy radzieccy spadochroniarze lądowali już na lotnisku w Pradze, a jednostki Wojska Polskiego pod dowództwem ówczesnego szefa sztabu Śląskiego Okręgu Wojskowego gen. dyw. Floriana Siwickiego razem z innymi armiami Układu Warszawskiego przekraczały granicę Czechosłowacji.

Od uczestnictwa w inwazji nie udało mi się uciec. W momencie jej rozpoczęcia powołany zostałem do utworzonego w Sztabie Generalnym WP w Warszawie specjalnego Centrum Dowodzenia Armią Polską w Czechosłowacji. Później tego nie żałowałem. Utrzymując bezpośrednią łączność z operującymi wojskami, słuchając a gorąco meldunków i dowodów, przygotowując specjalne raporty na ten temat dla ówczesnego ministra Obrony Narodowej, gen. Wojciecha Jaruzelskiego oraz Władysława Gomułki, miałem jedyną w swoim rodzaju szansę zgłębienia tego rozdziału naszej powojennej historii.

Po zakończeniu inwazji w Siłach Zbrojnych PRL podjęto próby jej podsumowania oraz wyciągnięcia wniosków na przyszłość.

W nurcie oficjalnym - z inicjatywy ministra Obrony Narodowej, gen. Wojciecha Jaruzelskiego oraz pod jego auspicjami - w Sztabie Generalnym WP odbyło się sympozjum naukowe poświęcone operacji "Dunaj". Była to wielka galówka z udziałem niemal całego kierownictwa MON, dowództw rodzajów Sił Zbrojnych i Okręgów Wojskowych, polskich uczestników inwazji no i oczywiście jej głównych autorów - przedstawicieli radzieckiego Naczelnego Dowództwa. Uczestnicy sympozjum prześcigali się w wychwalaniu działań jednostek polskich. Nie oszczędzili one wprowadzie garnizonów czeskich tak szybko, jak uczyniły to najlepsze w świecie jednostki radzieckie, ale skompensowały to później wyjątkowo skuteczną perswazją czechosłowackim dowódców, aby poparli zmiany na najwyższym szczeblu swej partii i państwa. Za wyjątkowe osiągnięcie uznany został fakt, iż pomimo wrogiej postawy ludności czeskiej, która przed czołgami i pojszdami pancernymi tworzyła żywe barykady, w zasadzie udało się uniknąć większych strat ludzkich i materialnych, że pod polskim czołgiem zginęło tylko jedno dziecko i to tylko przez przypadek. W sumie operację "Dunaj" sympozjum uznało za wielki wojskowy i polityczny sukces wspólnoty państw socjalistycznych do czego znaczący wkład wniosło ludowe Wojsko Polskie.

W nurcie nieoficjalnym, a więc w toczących się przez długi okres czasu w Siłach Zbrojnych PRL dyskusjach półślužbowych, koleżeńskich i środowiskowych, oceny operacji "Dunaj" były mniej entuzjastyczne, a wnioski diametralnie różne. Udział jednostek Wojska Polskiego w inwazji Czechosłowacji uznano niemal powszechnie za niewybaczalny błąd ówczesnego politycznego i wojskowego kierownictwa PRL, za co trzeba będzie płacić wysoką cenę gdy Polacy upomną się o swe niezbywalne prawo do życia w godności, do przemian demokratyczno-społecznych, których ZSRP nie chce zaakceptować.

Moje oceny i poglądy tkwiły mocno w tym właśnie nurcie i tak to się chyba

zaczęło.

Na dalsze nauki społeczno-polityczne i obywatelskie nie musiałem długo czekać. Dostarczył mi je grudzień roku 1970 i jego tragiczne żniwo. Kiedy rzekoma kontrrewolucja na Wybrzeżu była już w agonii, na cmentarzach grzebanob zwiłki 44 "burzycieli porządku ludowego państwa". Było wśród nich 30 robotników i 7 nieletnich uczniów szkół zawodowych. W szpitalach znalazło się 1.164 rannych, w tym znaczna liczba młodzieży.

Wymowa tych cyfr była i nadal jest przerażająca, ale dla mnie osobiście najbardziej przerażająca była łatwość z jaką władza, która sama mieniła się ludową sięgnęła po siły zbrojne aby je w sposób sprzeczny z ich powołaniem skierować przeciwko własnemu społeczeństwu, że ktoś wydał rozkaz "zablokować", "nie dopuścić", "strzelać" i nie było nikogo - począwszy od ministra Obrony Narodowej, a skończywszy na dowódcy najniższego szczebla - kto by powiedział: ja tego rozkazu wykonać nie mogę.

Myśli te nigdy nie dawały mi spokoju. Kiedy po dziesięciu latach, w roku 1980, historia zaczęła się powtarzać, kiedy tym razem na rozkaz Moskwy zaczęto sięgać po siły zbrojne, aby je użyć przeciwko własnemu robotnikom, inteligencji, młodzieży - po prostu powiedziałem NIE. Uważałem, że jest to typowa sytuacja kiedy żołnierz nie tylko nie musi, ale nie może wykonać sprzecznych z jego sumieniem i przekonaniem rozkazów. Więcej. Uważałem, że w przygotowanej konfrontacji naród nie ma żadnych szans i dlatego trzeba uczynić coś ponadto aby temu przeciwdziałać.

K.: - Wspomniał Pan, że w grudniu 1970 roku "nie było nikogo, począwszy od ministra Obrony Narodowej" kto by odmówił wykonania rozkazu strzelania do robotników. W przeszłości, a nawet dziś rozpowszechniano pogłoski jakoby w grudniu roku 1970 generał Jaruzelski przebywał w areszcie domowym i nie tylko nie miał nic wspólnego z masakrą na Wybrzeżu, ale próbował się temu przeciwstawić. Czy mógłby Pan bliżej naświetlić jego rolę w tym okresie?

R.J.K.: - Niestety pogłoski te nie odpowiadają prawdzie historycznej. Generał Jaruzelski nie kierował akcjami wojskowymi na Wybrzeżu, ale nie dlatego, że był w areszcie domowym, lecz z tego prostego powodu, że dowodził w tym czasie całością sił zbrojnych ze swego gabinetu przy ulicy Klonowej. Naczelnym wódz nie może dowodzić pułkami, czy nawet dywizjami. Od tego są ogniwa pośrednie.

Wybrzeże było największym ogniskiem protestów społecznych, ale działało tam tylko kilka dywizji liczących razem około 25 tysięcy żołnierzy /13 tysięcy w Trójmieście i 12 tysięcy w Szczecinie/. Pozostałe dywizje przegrupowane w rejon: Krakowa, Poznania, Wrocławia i Warszawy, bądź w pełnej gotowości pozostawały w odwodzie centralnym. Wojsko zaangażowano bezpośrednio w ponad 100 akcjach, do czego użyto ponad 61 tysięcy żołnierzy, 1.700 czołgów, 1.750 transporterów, lotnictwo transportowe, znaczną liczbę śmigłowców, a nawet kilkadziesiąt okrętów wojennych.

Tym wszystkim zajmował się właśnie generał Jaruzelski. Ogólnie wiadomo, że podstawą do użycia broni na Wybrzeżu była decyzja Gomułki i jego najbliższych współpracowników, jaką podjęli oni podobno z rana 15 grudnia 1970 roku, ale wojska rozkaz w tej sprawie otrzymały nie od Gomułki i jego współpracowników lecz od swego ministra Obrony Narodowej, gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Jedynym ograniczeniem, jakie nałożył on wówczas na będących w akcjach dowódców były instrukcje, że broń może być użyta "po strzałach ostrzegawczych w powietrze, po powtórnym ostrzeżeniu i strzałach ostrzegawczych oddanych w ziemię, dopiero w ostateczności kierowanie ognia w szczególnie agresywnych napastników, celując w nogi".

Skutki tych uregulowań były fatalne, bowiem największej ofiar było właśnie od kul, które odbijając się o bruk godziły w maszerujący tłum.

K.: - Przejdźmy teraz do zasadniczego tematu naszej rozmowy. Stary Zjednoczone uprzedzone były o sowieckich przygotowaniach do inwazji w grudniu 1980 roku i w marcu 1981. Rząd amerykański w obu wypadkach nadał temu międzynarodowy rozgłos. Czy te ostrzeżenia pochodziły od Pana?

R.J.K.: - Wydaje mi się, że oceny działań militarnych tego typu, jakimi były

gotowania do irwazji Polski w roku 1990 i na wiosnę roku następnego nie
być formułowane wyłącznie na podstawie uprzedzeń jednego człowieka. Tym
niezwykle mam prawo przypuszczać, że jakaś część mojego wołania o powstrzymanie
kół Moskwy dotarła do Waszyngtonu i została tam właściwie doceniona.

- Zanim zaczniemy omawiać szczegóły związane z przygotowaniem do użycia
przeciwko "Solidarności" chciałbym znać pańską ocenę ogólną, jako oficera
pu Generalnego WP, który zajmował się tymi sprawami: czy Pana zdaniem "Soli-
dność" była skazana na śmierć z chwilą swego poczęcia czy też uważa Pan,
stniała jakaś szansa by ten związek mógł się utrzymać?

K.: - Gdyby po odejściu Gierka wykonało się jakieś silne przywództwo partyjno-
ityczne, zdolne do autentycznie samodzielnego kierowania losem kraju, to
je mi się, więcej - jestem absolutnie przekonany, że "Solidarność" by prze-
żyła.

ak powszechnie wiadomo, od początku kryzysu Związek Radziecki zajął publicznie
owisko, że to co się dzieje w Polsce jest kontrrewolucją. Z kontrrewolucją
nie rozmawia. Kontrrewolucję miażdży się siłą.

le Chruszczow, Mołotow, Mikołaj i marszałek Koniew powiedzieli to samo
dce i Ochabowi w październiku roku 1956. Ci dwaj, to jest Gomułka i Ochab
eżli jednak w sobie tyle odwagi i siły, aby radzieckiemu kierownictwu powie-
ć, że to co się dzieje w Polsce jest wyłączną sprawą komunistów polskich
e pod groźbą użycia siły nie będą rozmawiali. Społeczeństwo to zrozumiało
, raz pierwszy po wojnie stanęło murem za nowym przywództwem partii i jego-
lzo nęglwym w końcu przywróceniem polskiej drogi do socjalizmu.

Październiku roku 1956 w obliczu radzieckich gróźb i ataków na nowe kierowni-
PZPR fala rewolucyjna zatrzymała się i doszło do jakiegoś niepisanego
romisu społecznego, który później Gomułka zdradził. Ale to już inna rzecz.
istoria nigdy się nie powtarza, ale mechanizmy jej napędzania są zwykle
same.

dyby duet kierowniczy Kania-Jaruzelski od początku powiedział Rosjanom
", wtedy pod naciskiem jawnych ataków i gróźb Moskwy, "Solidarność" musiałaby
nić front walki i stanąć w pierwszym rzędzie w obronie suwerenności i integra-
cji kraju. Jestem pewien, że byłaby bardziej skłonna do kompromisu, a Związek
ziecki cofnąłby się, gdyby kierownictwo partyjno-wojskowe i ludność utworzyły
śny front.

Nawet Stalin nie zaatakował zbrojnie Jugosławii. To samo dotyczyło Albanii,
ostatnich latach Rumunii, gdy Ceausescu wypowiedział Moskwie posłuszeństwo
druczył możliwość podporządkowania Związkowi Radzieckiemu swych sił zbrojnych.
Obserwując radzieckie posunięcia militarne z bliska, a nawet stykając się
imi bezpośrednio, nigdy nie miałem żadnych wątpliwości, że Związek Radziecki
ł sobie pozwolić i był gotów do akcji militarnej w stylu irwazji Czechosłowacji
zasadzie bez strat ludzkich i materialnych/ natomiast z całą pewnością Moskwa
; chciała lub nie mogła sobie pozwolić na wojnę z Polską, gdzie po przeciwnej
onie stałoby dowództwo, armia i ludność. Nawet gdyby to miała być wojna
do krótką Związek Radziecki musiałby za nią zapłacić zbyt wiele.

Pomijając koszty moralne i polityczne, jakie Moskwa musiałaby ponieść w
rze stosunków międzynarodowych, wydaje mi się, że miała ona poważne powody
ocery, iż w Polsce nie poszłoby tak łatwo. Tylko dla zmiądzenia ewentualnego
ru ludowego Wojska Polskiego Rosjanie musieliby zaangażować większość swych
i zbrojnych z europejskiej części Związku Radzieckiego, a nawet rzucić do
cji część wojsk z Czechosłowacji i NRD.

Rosjanie wiedzieli dobrze, że oplwanie czołgów, z czym spotkali się w zasko-
onej irwazji Czechosłowacji, nie jest w stylu i charakterze Polaków. Zdawali
bie także sprawę z tego iż społeczeństwo polskie było bogatsze o doświadczenia
eskie oraz własne z roku 1956 i 1970 i ludność nie lękała się czołgów,
e nauczyła się je skutecznie palić i niszczyć w przypadkach, gdy były one
zewinno niej kierowane. Orientowali się także, jak od początku kryzysu Polacy
agują na pojawianie się w różnych częściach kraju nowych, choćby niewielkich
doddziałów czy instalacji radzieckich i chyba słusznie oceniali, że nie jest
, tylko zabawa w tropy. W tym czasie jeden z pomocników stałego Przedstawiciela
aczelnego Dowódcy Zjednoczonych Sił Zbrojnych przy WP, z którym utrzymywałem

robotnicze kontakty żalił się do mnie, że Polacy już oficjalnie mówią, że "czołgi radzieckie palą się lepiej od polskich".

Tak więc gdyby ZSRR napotkał na otwarty opór kierownictwa PRL, wsparty przez społeczeństwo oraz choćby symboliczne gesty obronne /na przykład: rozwinięcie wojsk wokół stolicy kraju/, doszłoby zapewne do wojny nerwów, ale jeśliby strona polska tę wojnę nerwów wytrzymała, Moskwa prawdopodobnie musiałaby się w końcu cofnąć.

Zupełnie inna sytuacja powstała z chwilą gdy wewnątrz konfliktu Polaków partyjno-wojskowe kierownictwo PRL, to jest Kania i Jaruzelski, stanęli po stronie ZSRR, zgodzili się w zasadzie z Rosjanami, że mają do czynienia z kontrrewolucją i obiecywali im, że rozprawią się z "Solidarnością" środkami polityczno-administracyjnymi we własnym zakresie, prosząc jedynie aby im dać czas.

Wobec takiego stanowiska przywódców PRL Moskwa nie miała do czynienia ze zorganizowaną siłą suwerennego państwa gotową do stawiania oporu, ale wyłącznie z bezbronnym społeczeństwem.

K.: - Dlaczego wobec tego ZSRR dwukrotnie, pierwszy raz w grudniu 1980 roku i na wiosnę roku 1981 był gotowy i bliski wkroczenia do Polski? Czy było to potrzebne, skoro niemal od początku miał on zapewnienia i zobowiązania kierownictwa PRL, że rozprawi się ono z "Solidarnością" we własnym zakresie środkami politycznymi i administracyjnymi?

R.J.K.: - Rosjanie chcieli pchnąć do Polski Armię Czerwoną, ponieważ - jak dobrze pamiętamy - podejmowane przez partię i Rząd PRL środki polityczne, polegające na sabotowaniu zawartych na początku września roku 1980 umów społecznych czy wręcz wycofywaniu się z nich, podsycali jedynie wrzenie społeczne oraz doprowadzały do eskalacji żądań, przed którymi z kolei władza krajowa, chcąc nie chcąc, aby tylko przetrwać - musiała ustępować.

Była to polityka samobójcza, bo antagonizowała równocześnie szerokie masy w Polsce oraz kierownictwo radzieckie. Moskwa podejrzewała, że Kania i Jaruzelski grają na zwłokę, że prowadzą jakąś podwójną grę.

K.: - Proponuję abyśmy teraz spróbowali odtworzyć przebieg wydarzeń w porządku chronologicznym. Co wystąpiło jako pierwsze: groźba inwazji czy stan wojenny?

R.J.K.: - Niestety stan wojenny.

K.: - Kiedy po raz pierwszy wypłynął ten pomysł i kto go wysunął?

R.J.K.: - Z pisemnej informacji dla kierownictwa radzieckiego, którą na polecenie i według wytycznych gen. Jaruzelskiego przygotowywałem osobiście przy współpracy MSW wynika, że idea wprowadzenia w Polsce stanu wojennego zrodziła się już w szczytowym okresie sierpniowych strajków okupacyjnych roku 1980, to jest prawie 16 miesięcy przed jej wprowadzeniem w życie przez generała Jaruzelskiego.

Jej kolektywnym autorem był wyłoniony 24 sierpnia 1980 roku /tuż po zakończeniu IV Plenum KC PZPR, które jak wiadomo wypowiedziało się za rokowaniami ze strajkującymi robotnikami/ tzw. partyjno-rządowy Sztab Kierowniczy pod przewodnictwem, wówczas nowopowołanego, premiera Rządu PRL Józefa Piłkowskiego. W skład tego sztabu weszli sekretarze KC PZPR Kazimierz Barcikowski i Stefan Olszowski, wicepremier Mieczysław Jagielski i prawdopodobnie Tadeusz Grabski oraz z całą pewnością ministrowie kluczowych resortów: Obrony Narodowej Wojciech Jaruzelski i Spraw Wewnętrznych Mirosław Milewski.

Otóż w celu wymanewrowania zbuntowanego społeczeństwa Sztab Kierowniczy zgodził się taktycznie na podpisanie mało precyzyjnej umowy społecznej, aby po wygaszeniu pożaru strajkowego, który ogarnął niemal całą Polskę, w korzystniejszych warunkach przejść do kontrofensywy środkami administracyjnymi, z wprowadzeniem stanu wojennego - jako środkiem ostatecznym - włącznie.

Ponieważ już pierwsze - podjęte we wrześniu roku 1980 próby wymanewrowania społeczeństwa z użyciem różnych środków administracyjnych przynosiły wręcz odwrotny skutek, Sztab Kierowniczy podjął ogólną decyzję o rozpoczęciu przygotowań do wprowadzenia stanu wojennego.

W wojsku polskim przygotowania te rozpoczęły się 22 października 1980 roku,

to jest na dwa dni przed rozprawą rejestracyjną "Solidarności" w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie.

W dniu tym - na polecenie ówczesnego ministra Obrony Narodowej generała armii Wojciecha Jaruzelskiego - Sztab Generalny WP rozpoczął w trybie pilnym opracowywanie planu wprowadzenia na terytorium PRL stanu wojennego.

Ogólne kierownictwo nad planowaniem od początku do końca sprawował Szef Sztabu Generalnego WP generał broni Florian Siwicki. We wstępnej fazie planowania w Sztapie Generalnym WP uczestniczyli wyłącznie zastępcy Szefa Sztabu, to jest:

- generał dyw. Tadeusz Hupałowski,
 - generał dyw. Jerzy Skalski,
 - generał dyw. Antoni Jasiński,
 - generał bryg. Mieczysław Dachowski oraz
- ja sam, pułkownik Ryszard Kukliński.

Później do tego zespołu włączeni zostali dodatkowo - z Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego WP:

- generał bryg. Wacław Szklarski,
 - pułkownik dypl. Czesław Witt,
 - pułkownik dypl. Franciszek Puchala oraz
- z Zarządu X Sztabu Generalnego WP:

- pułkownik Stefan Marciniak.

Ze Sztabem Generalnym WP współpracowały:

- Sekretariat KOK, który przygotowywał wszystkie akty prawne stanu wojennego,
- Ministerstwo Spraw Wewnętrznych z wiadomymi zadaniami oraz
- Wydział Propagandy KC PZPR wespół z Głównym Zarządem Politycznym WP.

Wstępna /właściwie studyjna/ wersja planów, łącznie z projektami niektórych aktów prawnych stanu wojennego gotowa była już w listopadzie 1980 roku i jeszcze w tym samym miesiącu została przedstawiona do rozpatrzenia przez Komitet Obrony Kraju, któremu przewodniczył ówczesny premier Pińkowski.

Prezentacja planów miała charakter ogólny bez wdawania się w szczegóły, gdyż w ocenie kierownictwa wojskowego część członków Komitetu Obrony Kraju należała do grupy tak zwanych "Smoncesów" czyli ludzi niepewnych, zdradzających pewne skłonności do przemodelowania systemu politycznego PRL, którzy w tym organie władzy zasiadali tylko czasowo. Tym niemniej przedstawiona na listopadowym posiedzeniu KOK przez MON i MSW koncepcja stanu wojennego, w swych celach i generalnych założeniach niewiele odstawała od tej, którą zrealizowano w grudniu roku następnego.

Ministerstwo Obrony Narodowej postulowało:

Zawieszenie praw obywatelskich, ustanowienie nadzwyczajnych uprawnień władzy i administracji państwowej oraz wydanie specjalnego dekretu o stosunkach pracy. Wojsko zażądało również zastosowania postanowień o powszechnym obowiązku obrony umożliwiających:

- przeprowadzenie częściowej mobilizacji, która mogłaby sięgać powołania około 250 tys. rezerwistów,
- zamianę z mocy prawa zasadniczej służby wojskowej, przeszkolenia studentów i absolwentów szkół wyższych na czynną służbę wojskową,
- przeprowadzenie szerokiej militaryzacji jednostek gospodarki narodowej oraz
- powołanie do jednego miliona osób do służby w Obronie Cywilnej.

Po doświadczeniach grudnia 1970 roku Sztab Generalny WP chciał ograniczyć funkcje wojska w okresie stanu wojennego do terroryzowania społeczeństwa w dużych aglomeracjach miejsko-przemysłowych, co dyplomatycznie nazywano "utrzymywaniem ładu i porządku wewnętrznego w miastach". Nie widział natomiast dla wojska żadnych zadań w bezpośredniej konfrontacji ze strajkującymi robotnikami. Sztab Generalny WP stał na stanowisku, że funkcja ta powinna przypaść siłom Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. W celu odciążenia tych sił oraz udzielenia im pomocy wojsko zadeklarowało przyjęcie: w ochronę obiektów specjalnych oraz przekazania MSW ciężkiego uzbrojenia i sprzętu /broni, amunicji, transporterów opancerzonych, śmigłowców itp./.

Minister Spraw Wewnętrznych, Mirosław Milewski, nie bawił się owijanie zamiarów jego resortu w gładką terminologię typu ograniczenie praw obywatelskich, stwierdzając bardzo konkretnie, że konieczne jest:

- zlegalizowanie działalności NSZZ "Solidarność",

- przeprowadzenie szerokiej akcji internowania działaczy opozycji i "Solidarności",
- wydanie zakazu swobodnego poruszania się obywateli oraz ustanowienie godziny policyjnej,
- zawieszenie takich praw obywatelskich jak nietykalność osobista, nienaruszalność mieszkań i tajemnicy korespondencji, prawa zrzeszania się, wolności słowa, druków, zgromadzeń, wieców, pochodów i manifestacji,
- ustanowienie sądów specjalnych do karania winnych naruszenia praw stanu wojennego.

Przy rozważeniu metod działania minister Milewski chciał liczyć na większe niż to przewidywał Sztab Generalny WP zaangażowanie wojska w ewentualnych bezpośrednich starciach ze społeczeństwem.

W sumie pierwsza wizja, czy też przymiarka do wprowadzenia stanu wojennego - od strony postulatów i życzeń, co należałoby zawiesić, zakazać, nakazać, zmilitaryzować, zdelegalizować, gdzie posłać wojsko, a gdzie siły bezpieczeństwa, kogo ochraniać, a kogo internować - nie była daleka od koncepcji finalnej, która została zrealizowana w 13 miesięcy później.

Od strony możliwości realizacji postulowanych zamierzeń stanu wojennego przymiarka ta wypadła jak najgorzej. Z tego co wiem o tym posiedzeniu w listopadzie roku 1980 nikt z członków Komitetu Obrony Kraju, na czele z Miroslawem Milewskim nie widział możliwości wprowadzenia tych koncepcji w życie.

Oceniając słusznie, że wprowadzenie stanu wojennego w ówczesnej sytuacji Kraju mogłoby być początkiem prawdziwego końca władzy i musiałyby się skończyć interwencją zbrojną Związku Radzieckiego, Komitet Obrony Kraju przyjął jedynie do wiadomości przedstawione przez MON i MSW koncepcje oraz polecił kontynuowanie przygotowań w tym kierunku. Na wniosek MON, Komitet Obrony Kraju wyraził zgodę, aby przygotowaniami do wprowadzenia stanu wojennego objąć również kluczowe resorty cywilne, głównie: Łączności, Energetyki, Komunikacji oraz Handlu Wewnętrznego i Usług.

Mówiąc o listopadowych decyzjach KOK w sprawie stanu wojennego, nie sposób pominąć pozytywnej roli, jaką odgrywał w owych dniach i później jeszcze ówczesny I Sekretarz KC PZPR Stanisław Kania. Formalnie rzecz biorąc Stanisław Kania nie był członkiem KOK, ale nie muszę chyba wyjaśniać, że jego opinie miały dla tego organu, zwłaszcza dla premiera rządu, który był przewodniczącym KOK-u moc wiążącą. Otóż Stanisław Kania - mimo składanego radzieckiemu kierownictwu przyrzeczeń użycia siły dla obrony specyficznie przez nich pojmowanego socjalizmu - w praktyce do końca był zwolennikiem rozprawienia się z "Solidarnością" wyłącznie środkami politycznymi. Nie ulega więc wątpliwości, że ta postawa Stanisława Kania, popieranego do pewnego momentu przez generała Jaruzelskiego, ostudziła zapędy zwolenników konfrontacji i wpłynęła na podjęte w tym czasie decyzje.

K.: - Czyli, że plany wprowadzenia stanu wojennego zostały na razie zawieszono na kołku. Czy to właśnie doprowadziło do groźby radzieckiej inwazji na początku grudnia 1980 roku?

R.J.K.: - Mówiąc najprościej, tak. W ocenie kierownictwa radzieckiego zwłoka we wprowadzeniu stanu wojennego nie tylko umożliwiła organizacyjne umocnienie się "Solidarności", czemu ZSRR sprzeciwiał się od samego początku, ale również otwierała drogę do formowania w PRL nowych niezależnych struktur społecznych. Jak wiadomo 13 listopada 1980 roku sędzia Kościelniak odrzucił wniosek o rejestrację Niezależnego Zrzeszenia Studentów, ale już w niecałe dwa tygodnie później, po strajku na Uniwersytecie Warszawskim minister Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki zobowiązał się zarejestrować to zrzeszenie do 20 grudnia tegoż roku. Jeszcze większe sprzeciwu Związku Radzieckiego wywoływała sprawa rejestracji "Solidarności Wiejskiej". W końcu listopada nie była ona jeszcze zalegalizowana - ale jak pamiętamy - jej odwołanie do Sądu Najwyższego miało być przez ten sąd rozpatrzone w końcu grudnia.

Wszystko to w połączeniu z dość miękką postawą Rządu Józefa Piłkowskiego w konfrontacji z "Solidarnością" na tle praworządności /pamiętamy aferę z tzw. "Uwagami Prokuratora Generalnego PRL Czubińskiego" oraz aresztowanie, a następnie zwolnienie Jana Narodzińskiego i Piotra Sapełko/..., wszystko to umocniło Rosjan

w podejrzeniach, że kierownictwo PZPR, przede wszystkim Kania, gra na zwłokę, a może nawet prowadzi podwójną grę.

Na tym tle w końcu listopada 1980 roku kierownictwo radzieckie przy czynnym udziale swej ambasady w Warszawie oraz Naczelnego Dowódcy ZSZ Układu Warszawskiego marszałka Wiktora Kulikowa i jego przedstawiciela przy WP - gen. armii Afanasija Szozegłowa zaczęło zakulisowo montować nową ekipę przywódczą PRL.

Przejęcie władzy przez zwolenników twardego kursu, którzy już wówczas gotowi byli rozprawić się z "Solidarnością" miało być poprzedzone wprowadzeniem do Polski dużych sił wojskowych Związku Radzieckiego oraz innych państw Układu Warszawskiego. Rozmowy w tej sprawie, jak również w sprawie ewentualnej neutralizacji Wojska Polskiego, które było uważane za zdemoralizowane, Rosjanie prowadzili z gen. broni Wojciechem Jaruzelskim. Treść tych dramatycznych rozmów nie jest mi znana. Zrelacjonować może je jedynie gen. Jaruzelski i powinien to uczynić. Ja znam wyłącznie ich rezultaty. Tuż po zakończeniu rozmów, na osobiste polecenie doszczętnie zmaltretowanego gen. Jaruzelskiego, w dniu 1 grudnia 1980 roku, pierwszy zastępca Szefa Sztabu Generalnego WP gen. dyw. Tadeusz Hupałowski wraz z płk. dypl. Franciszkiem Puchałą udali się specjalnym samolotem do Moskwy w celu zapoznania się ze szczegółami radzieckich planów wprowadzenia do Polski wojskowych sił interwencyjnych.

Z przekazanych im jeszcze w tym samym dniu, to jest 1 grudnia 1980 roku, w Sztabie Generalnym Sił Zbrojnych ZSRR w Moskwie informacji oraz skopiowania z radzieckich map na zarejestrowane kalki techniczne gotowych planów inwazji wynikało, iż pod pozorem ćwiczeń "Sojuz 8" do Polski miały być skierowane trzy radzieckie armie w składzie piętnastu dywizji, jedna armia czechosłowacka w składzie dwóch dywizji oraz sztab jednej armii i jedna dywizja Narodowej Armii Ludowej NRD. W sumie w operacjach militarnych na terytorium PRL miało uczestniczyć osiemnaście dywizji radzieckich, czechosłowackich i niemieckich. Gotowość do przekroczenia przez siły inwazyjne granic PRL wyznaczona została na 8 grudnia 1980 roku. Zgodnie z założeniami planów siły radzieckie miały operować w centralnej i wschodniej części Polski, natomiast Czesi i Niemcy na zachodzie kraju. Działania sił inwazyjnych miały być połączone ze ścisłą blokadą morską PRL przez siły Floty Bałtyckiej Związku Radzieckiego oraz ludowej Marynarki Wojennej NRD. W początkowej fazie interwencji jednostki Wojska Polskiego /podobnie jak to było w Czechosłowacji/ miały pozostawać w miejscach stałej dylokacji. Dopiero po dramatycznych targach gen. Jaruzelskiego Rosjanie zgodzili się, aby nieliczne jednostki polskie mogły uczestniczyć w wykonywaniu drugorzędnych zadań. W ten sposób do armii czechosłowackiej miały być włączone: 5 i 11 dywizja pancerna, a do armii niemieckiej 4 i 12 dywizja zmechanizowana.

K.: - To o czym Pan w tej chwili mówi, nawet dziś po sześciu latach wywiera przynębiające wrażenie. A jakie wrażenie te przygotowania i plany radzieckie wywarły wtedy na Polakach w sztabie Jaruzelskiego?

R.J.K.: - Bez względu na nieustępliwość Rosjan, którzy w rozmowach z generałem Jaruzelskim nie chcieli w ogóle dyskutować sprawy ewentualnego wyłączenia z sił interwencyjnych Narodowej Armii Ludowej NRD, a nawet kwestionowali jakakolwiek możliwość udziału Wojska Polskiego w akcjach militarnych obywateli zupełnie ówczesne ścisłe kierownictwo MON. Generał Jaruzelski był w stanie szoku, zamknął się w swym gabinecie i był zupełnie niedostępny nawet dla najbliższego otoczenia. W niewiele lepszym stanie był generał Siwicki oraz generał Hupałowski, któremu w udziale przypadła misja przywiezienia z Moskwy planów inwazji. Otóż ten paraliż trwał przez cały dzień 30 listopada i 1 grudnia. Wszyscy czekali na jakiś cud. Cudem jednak nie było. Przywiezione z Moskwy przez generała Hupałowskiego i pułkownika Puchałę kalki techniczne z planami inwazji potwierdzały w zasadzie wszystkie o czym w ogólnym zarysie wiedziano już wcześniej z tego co Rosjanie przedstawili generałowi Jaruzelskiemu.

Szczegółowa analiza radzieckich planów, jaką przeprowadzono w Sztabie Generalnym WP po przywiezieniu ich do Warszawy, doprowadziła ścisłe kierownictwo tej instytucji do wniosków, że Rosjanie absolutnie nie rozumieją sytuacji w Polsce, nie znają rzeczywistych nastrojów społeczeństwa i nie doceniają siły "Solidarności". W tym celu - zamiast uspokojenia - może spowodować jeszcze większe wrzenie. W tym celu nie wkluczone, że nawet w razie polonizacji powstania.

Na tym tle 12 grudnia Szef Sztabu Generalnego WP generał Florian Siwicki podjął nową próbę skłonięcia generała Jaruzelskiego do ponowienia rozmów z Rosjanami i zastopowania tego najgorszego wariantu rozwoju wydarzeń. Działając pod wpływem swych zastępców generał Siwicki sugerował przedstawienie Rosjanom różnych innych opcji, a zwłaszcza wariantu wprowadzenia w Polsce stanu wojennego bez czekania, aż wystąpią sprzyjające ku temu warunki. Generał Jaruzelski znajdował się jednak nadal w takim stanie kompletnej apatii, że nie dopuszczał nawet do dyskusji.

Nowy element w sytuacji wystąpił dopiero w dzień później, kiedy do tych spraw włączył się gen. broni Eugeniusz Molczyk. Otóż gen. Molczyk, który od 1 do 3 grudnia przebywał na posiedzeniu Komitetu Ministrów Obrony państw Układu Warszawskiego w Bukareszcie, po powrocie do kraju i zapoznaniu się w Sztabie Generalnym WP z przywiezionymi z Moskwy planami, podjął kolejną próbę skłonięcia gen. Jaruzelskiego do interwencji w Moskwie i przedstawienia im konkretnego planu bezzwłocznego rozgromienia "Solidarności" i opozycji wyłącznie własnymi siłami. W rozmowie z gen. Jaruzelskim miał on podobno powiedzieć, że "Historia nigdy nam tego nie wybaczy, jeśli oni nas wyręczą".

Aby zrozumieć wymowę tego wezwania konieczne jest wyjaśnienie, że gen. Molczyk, który był wiceministrem Obrony Narodowej i Głównym Inspektorem Szkolenia MON, a na czas wojny przewidziany był jako dowódca Frontu polskiego, uchodził za swego rodzaju lidera wojskowych twardegołowych, którzy ściśle współpracowali z Moskwą. Jego głos nie brzmiał szczerze, gdyż w swej istocie wzywał do źle skalkulowanego rozpoczęcia akcji, którą z całą pewnością musieliby zakończyć Rosjanie. Tym niemniej głos ten potraktowany został jako sygnał pewnych wahań Moskwy, co mogło być wykorzystane do ponowienia oferty przygotowania i wykonania w niedługim czasie własnego uderzenia przeciwko "kontrrewolucji".

To prawdopodobnie przewały, że gen. Jaruzelski wyraził ostatecznie zaważowaną aprobatę dla przygotowania w trybie pilnym alternatywnego planu użycia wyłącznie własnych Sił Zbrojnych do zapewnienia "spokoju wewnętrznego", który mógłby być przedstawiony stronie radzieckiej w czasie zwołanego na 5 grudnia szczytu państw Układu Warszawskiego w Moskwie.

Z materiałów jakie zostały przygotowane dla delegacji polskiej na jej wyjazd do Moskwy wynikało, że w tym czasie kiedy I Sekretarz KC PZPR Stanisław Kania oraz premier Piłkowski gesto się tłumaczyli wobec Moskwy za tolerowanie w Polsce kontrrewolucji, minister Obrony Narodowej gen. armii Wojciech Jaruzelski mógł się skupić na problemach gotowości sił zbrojnych PRL do "obrony socjalizmu w Polsce", oraz na przedstawieniu stronie radzieckiej koncepcji zlikwidowania "Solidarności" i opozycji własnymi siłami, gdy tylko wystąpią pierwsze oznaki zmęczenia i wyczerpania społeczeństwa.

Mogę do tego dodać, że chociaż wszyscy ci, którym znane były plany wkroczenia wojsk Układu Warszawskiego do Polski byli zakłamanymi i przygnębionymi, to jednak nikt nie wysunął myśli, że można podjąć choćby najmniejsze gesty samoobrony, tak jak to było w roku 1956, nie mówiąc już o jakimś zbrojnym przeciwstawieniu się akcji państw Układu Warszawskiego. Były natomiast głosy, że sama obecność na terytorium PRL tak dużych sił wojskowych może doprowadzić do uspokojenia społeczeństwa.

K.: - Co według Pana wpłynęło na radziecką decyzję poniechania na razie bardzo już zaawansowanych planów inwazyjnych? Czy nacisk z Zachodu, czy oferta gen. Jaruzelskiego, że w końcu załatwi tę sprawę bez inwazji?

R.J.K.: - I jedno i drugie. Jak dobrze pamiętamy, przygotowania do inwazji Polski nie uszły uwadze świata zachodniego, jak to było w przypadku Czechosłowacji. Związek Radziecki nie tylko pozbawiony był ważnego w takich przypadkach czynnika zaskoczenia, ale wskutek uprzedzających reakcji rządów zachodnich, a nawet państw trzeciego świata musiał sobie coraz bardziej zdawać sprawę, że interwencja doprowadziłaby do przerwania politycznego odprężenia w Europie, naruszyłaby ekonomiczną współpracę pomiędzy Wschodem i Zachodem, spowodowałaby zwiększenie budżetów NATO, a według wszelkiego prawdopodobieństwa przyspieszyłaby nawet otwartą wojskową współpracę pomiędzy Stanami Zjednoczonymi, a Chińską Republiką Ludową.

Przypomnę, że w pierwszych dniach grudnia, a więc wówczas gdy najwyższe

czynniki wojskowe odpowiedzialne za obronę narodową PRL ogarnęła całkowita apatia i zwątpienie, reakcja Stanów Zjednoczonych była niezwykle ostra. 3 grudnia prezydent Carter przesłał pilną osobistą depeszę Breżniewowi, w której zwrócił się z żądaniem o umożliwienie rządowi i narodowi polskiemu samodzielnego rozwiązania swych własnych trudności i ostrzegł przed negatywnymi skutkami, gdyby ZSRR zdecydował się na użycie siły przeciwko Polsce. 4 grudnia tej samej treści oświadczenie prezydent Carter złożył publicznie.

W sumie wobec zdecydowanych nacisków i bardzo jasnych ostrzeżeń Zachodu, że irwazja może okazać się dla ZSRR bardzo kosztowna, Moskwa bardziej była skłonna do wyręczenia się Polakami nawet za cenę oczekania jakiegoś czasu.

K.: - Czy groźba radzieckiej irwazji cofnęła się natychmiast po Moskiewskim Szczytynie w dniu 5 grudnia 1980 roku, czy też odpływ następował powoli? Co czyniła władza, żeby wywiązać się z przyjętych na siebie zobowiązań? Czy odczuł Pan jakąś intensyfikację przygotowań do wprowadzenia stanu wojennego? Jeśli tak, to jak one wyglądały?

R.J.K.: - Moskiewski szczyt groźby irwazji wcale nie zażegnał. Uświadomił jedynie polskiemu kierownictwu, że od uderzenia nie ma odwrotu. Jeśli nie uderzą sami, to zrobi to za nich Armia Czerwona wraz z innymi wojskami Układu Warszawskiego. Aby wszystko było jasne Rosjanie jeszcze przez ponad miesiąc utrzymywali swe wojska w pobliżu granic PRL, rozglądając się jednocześnie za bardziej zdecydowaną na konfrontację Targowicą.

Nie mając innego wyboru, około 10 grudnia we wszystkich komórkach, zajmujących się przygotowaniem do wprowadzenia tego stanu, rozpoczęto generalną nowelizację i uszczegółowienie planów z takim wyliczeniem, aby można je było wprowadzić w życie na wiosnę roku 1981 kiedy spodziewano się większego zmęczenia społeczeństwa oraz spadku popularności "Solidarności".

Przygotowaniem resortu Spraw Wewnętrznych do wiosennej konfrontacji kierował osobiście jego ówczesny kierownik, Mirosław Milewski. Bezpośrednią koordynacją planowania w tym resorcie zajmował się wiceminister Spraw Wewnętrznych gen. bryg. Bogusław Stachura. Miał on do pomocy swego rodzaju sztab koordynacyjny, który tworzył Zarząd I MSW z jego ówczesnym dyrektorem płk. Bronisławem Pawlikowskim oraz jego dwoma zastępcami:

- płk. Janem Wasilukiem i

- płk. Janem Czyżewskim.

W centralnym planowaniu działań bezpośrednio uczestniczyli:

- zastępca komendanta MO gen. bryg. Józef Beim;

- dyrektor Departamentu I MSW, gen. bryg. Jan Siówicki;

- dyrektor Departamentu III "A" MSW gen. bryg. Władysław Ciastoń;

- komendant MO m.st. Warszawy gen. bryg. Jerzy Cwiek;

- dyrektor Departamentu IV MSW gen. bryg. Konrad Straszewski;

- dyrektor Departamentu II MSW płk. Zdzisław Sarewicz;

- dyrektor Departamentu III MSW płk. Henryk Walczyński;

- dyrektor Biura "W" MSW płk. Ryszard Wójcicki;

- zastępca dyrektora Zarządu Łączności MSW płk. Benedykt Januszewski;

- dyrektor Biura Śledczego MSW płk. Tadeusz Kwiatkowski;

- dyrektor Biura Operacyjnego KG MO płk. Jan Wleloch;

- dyrektor Biura Ochrony Rządu gen. bryg. Jan Górecki;

- dyrektor Departamentu Kadr MSW gen. bryg. Bonifacy Jedynak.

W okresie od grudnia 1980 roku do lutego roku następnego Ministerstwo Spraw Wewnętrznych koncentrowało swe wysiłki na agenturalnym spenetrowaniu "Solidarności" i innych powstających w tym czasie niezależnych organizacji społecznych, a także na drobniagowym przygotowywaniu masowych aresztowań osób rzekomo zagrażających ustrojowi. W tej fazie planowania siły bezpieczeństwa miały gotową listę wytypowanych do aresztowania działaczy "Solidarności" i opozycji, na której znajdowało się już około 4.000 osób. Spośród tych 4.000 - 240 osób objęto stałą inwigilacją tak, aby ich można było aresztować w każdej chwili.

W Ministerstwie Obrony Narodowej przygotowania koncentrowały się na opracowywaniu aktów normatywno-prawnych /czy jak kto woli bezprawnych/ stanu wojennego, typowaniu i przejmowaniu od MSW pod ochronę wojska tzw. obiektów specjalnych, uszczegółowieniu koncepcji użycia jednostek wojskowych i ich współdziałania

z siłami MSW, przygotowaniu mobilizacji i militaryzacji oraz przygotowaniu resortów cywilnych do działania w okresie stanu wojennego.

Przygotowaniem aktów prawnych stanu wojennego z ramienia MON kierował wiceminister Obrony Narodowej, sekretarz KOK gen. broni Tadeusz Łuczapski. Wszystkie dekrety Rady Państwa, rozporządzenia wykonawcze ministrów, a nawet obwieszczenie o stanie wojennym redagowane były w sekretariacie KOK przy ulicy Krzywickiego w Warszawie pod bezpośrednim nadzorem szefa tego sekretariatu, późniejszego prezydenta m.st. Warszawy gen. dyw. Mieczysława Dębickiego. Redagowali je w uzgodnieniu z właściwymi resortami, w tym także /o zgrozo/ z resortem Sprawiedliwości, płk Tadeusz Malicki oraz podlegli mu przyuczeni prawnicy wojskowi.

Szczegółowym planowaniem użycia sił zbrojnych w okresie stanu wojennego zajmował się zastępca Szefa Zarządu I Sztabu Generalnego WP płk /dziś już generał/ Franciszek Fuchała.

Sprawami mobilizacji, militaryzacji oraz wszelkimi sprawami związanymi z realizacją postanowień o powszechnym obowiązku obrony w okresie stanu wojennego bezpośrednio kierował Zastępca Szefa Sztabu Generalnego WP do spraw organizacyjno-mobilizacyjnych, wówczas gen. dyw., Antoni Jasiński. W pracach tych uczestniczył płk Stefan Marciniak oraz inni wyznaczeni przez gen. Jasińskiego oficerowie zarządu X Sztabu Gen. WP.

Przygotowaniem kluczowych resortów cywilnych do działań w okresie stanu wojennego zajmowali się właściwi szefowie tych resortów lub ich pierwsi zastępcy. Uczestniczyli w tym także wojskowi dyrektorzy generalni lub dyrektorzy departamentów wojskowych:

- w Ministerstwie Łączności - gen. bryg. Leon Kołatkowski;
- w Ministerstwie Energetyki i Energii Atomowej - płk Piotr Panasiuk;
- w Ministerstwie Komunikacji - płk Jerzy Budrewicz;
- w Ministerstwie Handlu Zagranicznego i Usług - płk Tadeusz Antoniuk.

Przygotowaniem propagandy z ramienia KC PZPR zajmował się Walery Namiotkiewicz. Pierwszy projekt radiowo-telewizyjnego wystąpienia premiera Rządu PRL, które miał on wygłosić do narodu na wiosnę roku 1981 w momencie wprowadzenia stanu wojennego, opracował wówczas Główny Zarząd Polityczny WP pod osobistym kierownictwem gen. bryg. Tadeusza Szaciło.

Mnie - podówczas płk. Ryszardowi Kuklińskiemu - przypadła w udziale robocza koordynacja /zgrywanie/ planów wszystkich uczestników planowania stanu wojennego oraz opracowanie centralnego planu kierowania działalnością państwa w tym okresie.

Do VIII Plenum KC PZPR, które - między innymi - zadecydowało o zmianie na stanowisku premiera Rządu PRL, przygotowania stanu wojennego prowadzono w zasadzie osobno w MSW i MON. Sporadyczne dyskusje pomiędzy szefem Sztabu Generalnego gen. Siwickim i ministrem Spraw Wewnętrznych Mirosławem Milewskim oraz rzadkie robocze uzgodnienia pomiędzy MON i MSW wpłynęły na to, iż pomiędzy tymi dwoma uczestnikami planowania utrzymywały się nadal dość poważne różnice w takich kwestiach jak: rola jednostek WP w ewentualnej konfrontacji z ludnością, aspekty prawne stanu wojennego oraz wynikające z tego pewne szczegóły dotyczące momentu rozpoczęcia masowych aresztowań.

W tym stanie rzeczy, niemal natychmiast po powołaniu przez Sejm PRL gen. armii Wojciecha Jaruzelskiego na stanowisko premiera, na jego polecenie rozpoczęto przygotowanie wspólnej gry decyzyjnej wszystkich uczestników planowania, aby usunąć rozbieżności oraz w pełni zintegrować plany działania pod jednym wspólnym kierownictwem. 16. lutego 1980 roku, kiedy kraj był jeszcze pod wrażeniem słynnego expose nowego premiera - generała, w którym przedstawił on swój idealistyczny, ale w końcu pozytywny program oraz zaapelował o "trzy pracowite miesiące - 90 spokojnych dni", w auli budynku Inspektoratu Obrony Terytorialnej i Wojsk Obrony Wewnętrznej przy Alejach Niepodległości zebrała się grupa 45 wyższych oficerów MON i MSW oraz dwóch funkcjonariuszy Wydziału Propagandy KC PZPR, aby ostatecznie doszlifować i zgrać plany wprowadzenia stanu wojennego.

Grze decyzyjnej współprzewodniczyli: Mirosław Milewski i gen. broni Florian Siwicki.

Ze strony MSW brało w niej udział 20 oficerów /wszyscy już uprzednio przeze mnie wymienieni/ oraz dodatkowo:

- dyrektor Departamentu Uzbrojenia MSW gen. bryg. Stefan Stochaj i dyrektor Departamentu Materiałowo-Technicznego Zaopatrzenia MSW.

Ze strony MON uczestniczyło 19 osób, w tym wszyscy, których wymieniłem,

że uczestniczyli w planowaniu staru wojennego oraz dodatkowo:

- Szef Wojsk Łączności, gen. bryg. Marian Pasternak,
- Szef Zarządu Sztabu Gen. WP płk. Henryk Świącicki,
- Szef Oddziału Szefostwa WSW, płk. Mieczysław Kędzia oraz
- Szef oddziału w sekretariacie KOK, płk. Zdzisław Malina.

Z Komitetu Centralnego PZPR oprócz Walerego Namiotkiewicza uczestniczył również towarzysz Czyż.

Mimo tak starannie dobranej grupy uczestników gry, wszyscy obecni na sali poproszeni zostali o podpisanie specjalnych zobowiązań do zachowania tajemnicy. Przedstawiane koncepcje działania nie mogły być opracowane na piśmie, a jedynie referowane z pamięci. Do robienia notatek upoważniony był tylko sekretariat gry /ze strony MSW płk. Jan Wasiluk i płk. Jan Czyżewski, a ze strony MON płk. Czesław Witt i ja/.

W toku dyskusji uczestnicy gry doszli wprawdzie do zgodnej oceny, iż wprowadzenie w ówczesnych warunkach stanu wojennego może być początkiem największego w historii Polski narodowego dramatu, ale ostateczne wnioski, jakie z tej oceny zostały wyciągnięte, ten dramat jedynie przybliżyły.

A więc przede wszystkim odrzucona została ostatecznie myśl gen. broni Tadeusza Tuczapskiego, aby rząd wniósł pod obrady Sejmu PRL ustawy wyjątkowe staru wojennego. Uczestnicy gry doszli do wniosku, iż zlikwidowanie wielomilionowej "Solidarności" będzie możliwe tylko przy pełnym jej zaskoczeniu. Ustalono, że najkorzystniejszym momentem do rozpoczęcia akcji będzie dzień wolny od pracy i nauki, najlepiej noc z soboty na niedzielę.

Za najważniejsze posunięcie staru wojennego uznana została tak zwana "Operacja Wiosna", której celem było internowanie około sześciu tysięcy aktywnych działaczy "Solidarności" oraz irmych niezależnych organizacji zawodowych i społecznych. Ustalono, że operacja ta może przynieść oczekiwane rezultaty tylko wówczas jeśli zostanie przeprowadzona na 12 do 6 godzin przed oficjalnym wprowadzeniem staru wojennego.

W toku gry osiągnięto również ostateczne porozumienie w kwestii podziału ról wojska i sił bezpieczeństwa oraz ich współdziałania w czasie ewentualnych działań konfrontacyjnych z ludnością.

Zgodzono się, że w rejonach zakładów przemysłowych, zakładów pracy i uczelni operować będą wyłącznie siły bezpieczeństwa. Natomiast wojsko działać będzie bardziej ostrożnie, co najwyżej jako siła wspierająca, rozwijana w miastach i blokująca ośrodki przemysłowe.

Gra wojenna zamykała drugi już tak zwany "wiosenny" okres planowania staru wojennego. W dniu 20 lutego 1981 roku wnioski z tego przedsięwzięcia przedstawione zostały gen. Jaruzelskiemu. W dniu następnym, to jest 21 lutego w sobotę, szef Sztabu Generalnego WP gen. broni Siwicki poinformował mnie, że przedstawiony materiał został przez gen. Jaruzelskiego zaaprobowany. Premier wniósł jedynie kilka drobnych uzupełnień i polecił przerobienie go na informację "O stanie przygotowania państwa do wprowadzenia staru wojennego", którą zamierzał on przedstawić radzieckiemu kierownictwu w czasie XXVI Zjazdu KPZR.

3 marca PAP informowała, że: "członek Biura Politycznego KC PZPR, prezes Rady Ministrów PRL, minister Obrony Narodowej, gen. Wojciech Jaruzelski, członek delegacji PZPR na XXVI Zjazd KPZR spotkał się 3 bm. na Kremlu z członkiem Biura Politycznego, Przewodniczącym Rady Ministrów ZSRR, Nikołajem Tichonowem". Społeczeństwo dowiedziało się z tego komunikatu, że omawiane były problemy współpracy opartej na zasadach równości i wzajemnej, braterskiej pomocy.

Tylko niewiele osób wiedziało, że w czasie spotkania na Kremlu 3 marca 1981 roku premier Wojciech Jaruzelski przy przedstawianiu stronie radzieckiej programu swego rządu, złożył również szczegółową "Informację o stanie przygotowań państwa do wprowadzenia staru wojennego" oraz zapewnił, że kierownictwo polskie "mając świadomość sojuszniczego zaplecza, jest zdecydowane do sięgnięcia po ten środek obrony kraju przed kontrrewolucją".

K.: - Z tego co Pan powiedział wynika, że na wiosnę strona rządowa była już gotowa do konfrontacji ze społeczeństwem i że Związek Radziecki był dobrze o tym poinformowany. Dlaczego wobec tego w marcu i kwietniu ponownie wystąpiła groźba interwencji zbrojnej ZSRR? Czy mógłby Pan przedstawić te tło tych wydarzeń i jakie były istotniejsze fakty?

R.J.K.: - Pańska uwaga odnosząca się do tego, że na wiosnę strona rządowa była gotowa do konfrontacji ze społeczeństwem jest nieprecyzyjna. Rząd miał plany wprowadzenia stanu wojennego, miał koncepcję zniszczenia "Solidarności", ale w ówczesnych warunkach po prostu nie widział jeszcze możliwości wprowadzenia tego w życie. Pomijając jakiegokolwiek inne motywy, jakimi gen. Jaruzelski mógł się kierować, on nie widział szansy na wprowadzenie stanu wojennego ze względów czysto pragmatycznych. Chodziło bowiem o to, aby operację tę nie tylko zacząć, ale przede wszystkim zakończyć dla "ludowej władzy" zwycięsko. Na wiosnę nie było to realistyczne, a nawet możliwe, ponieważ na stronie władzy było częściowo rozłożone MSW, niepewne wojsko i trochę twardogłowych w rozsypującej się partii; natomiast po stronie przeciwnej nie tylko milionowe rzesze "Solidarności", ale niemal całe społeczeństwo, które było władzy przeciwnie. Przy takim stosunku sił o jakikolwiek powodzeniu akcji uderzeniowej nie mogło być mowy.

W tej sytuacji gen. Jaruzelski zawsze, i przed 3 marca i później, zapewniał Moskwę, że jest zdecydowany na wprowadzenie stanu wojennego, a jedynie w nigdy niekończących się rozmowach z Rosjanami - do których i ja osobiście według jego wytycznych przygotowywałem materiały - tłumaczył, że trzeba trochę odczekać, aż stosunek sił choćby trochę się poprawi, aż "Solidarność" straci na popularności, a rząd pozyska choćby częściowe poparcie społeczeństwa. Wykazywał im także, iż czas potrzebny jest i po to, aby skonsolidować siły, na których mogłaby się oprzeć władza /chodziło tu o znane słabości MSW i partii/.

Rosjanie - jak zwykle we wszystkich kontaktach z gen. Jaruzelskim - słuchali tego co było im wygodne lub co chcieli usłyszeć. Na początku roku 1981 słyszeli tylko, że wyraża on gotowość do "obrony socjalizmu" w Polsce i że jest zdecydowany wprowadzić stan wojenny. To że jednocześnie mówił, iż trzeba z tym czekać aż powstaną ku temu warunki, a głównie aż poprawi się stosunek sił, uważali za nieistotne, ponieważ niekorzystny stosunek sił gotowi byli w każdej chwili zmienić, kierując do Polski swoje dywizje, a nawet czeskie i niemieckie.

Na tym właśnie tle, tuż przed objęciem funkcji premiera przez gen. Jaruzelskiego, Moskwa wystąpiła z inicjatywą odbycia od 16 marca na terenie Polski oraz wokół jej granic - nieprzewidzianego uprzednio planami - wielkiego ćwiczenia dowódczo-sztabowego z wojskami, w którym uczestniczyć miało około 150 tysięcy żołnierzy, w tym na terenie PRL 30 tysięcy.

Sztab Generalny WP miał w tym względzie jak najgorsze przeczucia, gdyż Rosjanie nie ukrywali, iż ćwiczenie to ma ścisły związek z sytuacją w Polsce i jest pomyślane jako forma internacjonalistycznej pomocy komunistom polskim z przyjętą od początku kryzysu taktyką niedenerwowania Moskwy, kierownictwo partyjno-rządowe tę ofertę internacjonalistycznej pomocy przyjęło. Jak tę pomoc rozumieli Rosjanie, można było się przekonać już wkrótce.

Otóż na krótko przed VIII Plenum PZPR, na którym podjęte były decyzje o zmianie na stanowisku premiera Rządu PRL, do Polski przybyła grupa 18 radzieckich generałów ze Zjednoczonego Dowództwa, w tym wszyscy zastępcy marszałka Kulikowa, aby sprawdzić jak Wojsko Polskie przygotowane jest do ćwiczeń "Sojuz 81". Za aprobatą MON odwiedzili oni wszystkie okręgi wojskowe oraz rodzaje Sił Zbrojnych, sięgając niekiedy dywizji, a nawet pułków. Generałów tych wcale jednak nie interesowały sprawy wyszkolenia czy sprawności bojowej wojsk, a wyłącznie stosunek kadry dowódczej do kontrrewolucji. To na co sobie pozwalali w rozmowach z polskimi oficerami /niekiedy w cztery oczy/, to już nie była agitacja, ale wręcz wzywianie do walki przeciwko własnemu społeczeństwu.

W 1 pułku zmechanizowanym w Wesołej koło Warszawy doszło nawet do tego, że generał Armii Afanasij Szczegłow /jedna z najwredniejszych postaci szowinizmu rosyjskiego/ zadał dowódcy tego pułku pytanie: "Jak będziecie działali w przypadku jeśli zajdzie potrzeba usunięcia strajkujących z zakładu pracy?".

Charakter planowanych ćwiczeń "Sojuz 81" zaczął się jeszcze bardziej wyraziście rysować, kiedy od 14 lutego na teren Polski zaczęły przybywać rosyjskie grupy rekonesansowe. Okazało się, że celem prowadzonych rekonesansów wcale nie były typowe dla ćwiczebnych działań sztabów i wojsk lasy i poligony wojskowe, a takie obiekty jak: lotnisko Okęcie, Centrum Radiowo-Telewizyjne na Mokotowie, Huta Warszawa, PZO Żerań, Stocznia Gdańska, kluczowe zakłady przemysłowe Elbląga, Szczecina, Poznań, Wrocławia, Świdnika i innych. Przybyły też z głębi terytorium ZSRR radzieckich generałów interesowały także lasy jsko bazy zesrodkowania wojsk, ale nie z dala od wielkich aglomeracji miejsko-przemysłowych, jak to

bywa w rutynowych ćwiczeniach, ale właśnie na styku z tymi aglomeracjami. Tak np. w pobliżu Warszawy na rejon ześrodkowania jednej radzieckiej dywizji wybrano Puszczę Kampinoską, a dla drugiej wytypowano rejon Pyr.

W czasie rekonesansów przed ćwiczeniem "Sojuz 81" były i takie sceny kiedy radziecki generał w przebraniu cywilnym dzielił się swymi troskami z oprowadzającym go również po cywilnym oficerem WP: "Możemy rozwinąć się przed zakładami pracy, zablokować je, ale co dalej? Jak zmusić ludzi do pracy?"

O tym wszystkim wiedział szef Sztabu Generalnego gen. broni F. Siwicki oraz minister Obrony Narodowej i - w tym czasie - już premier Rządu PRL gen. armii W. Jaruzelski. Za ich zgodą przekazane zostały stronie radzieckiej nawet plany budynków użyteczności publicznej wytypowanych na radzieckie komendantury wojskowe w stolicy oraz w kilku innych miastach Polski.

Mówiąc o tych faktach, nie chcę choćby w najmniejszym stopniu sugerować, że gen. Jaruzelskiemu, a zwłaszcza Siwickiemu, zależało na sprowadzeniu radzieckich posiłków do Polski. Byłoby to nieprawdą. Natomiast nie ulega kwestii, że wyrażenie zgody na nieplanowane ćwiczenia "Sojuz 81", a później przemykanie oczu na przygotowywany przez Rosjan scenariusz tych "ćwiczeń" w tak skomplikowanej sytuacji kraju było co najmniej nieostrożnym igraniem z ogniem, delikatnie mówiąc.

Wydaje mi się, że i gen. Jaruzelski i Siwicki odczuli to sami najlepiej, kiedy 16 marca ćwiczenia te się zaczęły. Otóż w czwartek 19 marca, a więc w trzecim dniu ćwiczeń, które w zamysle ich autorów miały tworzyć swego rodzaju zaplecze dla długo obiecywanej kontrofensywy rządu, doszło do pierwszej poważniejszej konfrontacji pomiędzy władzą i "Solidarnością" w Bydgoszczy.

Dla władzy to "rozpoznanie walką" wypadło fatalnie. Jak pamiętamy, po przerwaniu sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej oraz dotkliwym pobiciu przez bojówki Milewskiego popularnych działaczy: Jana Rulewskiego, Mariusza Łabentowicza i Michała Bartoszcze, protestowała cała Polska. Wobec tak jednoznacznej postawy społeczeństwa, które potępiło prowokację, rząd gen. Jaruzelskiego zaczął się cofać, ale szybko się okazało, że na żadne cofanie nie ma miejsca, bo z tytułu stał marszałek Kulikow i jego Armia Czerwona.

W momencie gdy rząd gen. Jaruzelskiego zaczął poszukiwać jakiejś formy kompromisu z "Solidarnością", która na 27 marca proklamowała 4-godzinny strajk ostrzegawczy, a od 31 marca ogólnopolski strajk powszechny, do Legnicy specjalnym samolotem przyleciał Szef Głównego Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych ZSP. Po czterogodzinnej konferencji z marszałkiem Kulikowem w cztery oczy, ten ostatni stwierdził, że ćwiczenia "Sojuz" /które zgodnie z zawartym porozumieniem miały się skończyć w dniu następnym/, to jest 25 marca/ zostają bezterminowo przedłużone.

Przedłużenie ćwiczeń Układu Warszawskiego w normalnych warunkach /choć i w przeszłości nigdy się to nie zdarzało/ mogłoby być nawet niezauważone, ale w końcu marca 1981 roku budziło poważny niepokój, i to z dwóch powodów:

- pierwszy, to pretekst do wprowadzenia na terytorium PRL większej liczby armii "Zaprzysiężonych",

- i drugi /może jeszcze istotniejszy/, to aproba istnienia niezależnego od Sztabu Generalnego WP ośrodka dowodzenia Siłami Zbrojnymi PRL, w tym zwłaszcza utrzymywanie nietypowej dla czasu pokoju sytuacji, która umożliwiła generałowi broni Eugeniuszowi Molczykowi, znanemu z podporządkowania Moskwie, dowodzenia wojskami frontu polskiego, a więc prawie całymi wojskami lądowymi i lotniczymi.

Nie bez znaczenia był także fakt, że pod pretekstem ćwiczenia strona radziecka żądała wydzielenia miejsc na Centralnym Stanowisku Dowodzenia Obrona Powietrzna Kraju w Pyrach koło Warszawy dla dużej grupy oficerów radzieckich, co umożliwiło im w praktyce przejęcie całkowitej kontroli obszaru powietrznego PRL.

Miwykluczone, że gen. Jaruzelski lub gen. Siwicki byli spokojni, bo wiedzieli, że więcej na ten temat, ale ich podwładni mieli jak najgorsze przeczucia. Ja sam w Sztabie Generalnym WP odebrałem co najmniej trzy telefoniczne interwencje z Białoobrzegów koło Warszawy, gdzie był rozwinęty Sztab Frontu. Bardzo poważni oficerowie zapytywali mnie: "gdzie był tam w Sztabie Generalnym robicie? My wiemy o jakim celu jesteśmy tu trzymani. Czy góra naprawdę nie rozumie o co chodzi? Niechże to, chcemy wrócić do naszych miejsc pracy" itp.

W tym czasie miała jednak nadal zupełnie inne plany. 27 marca 1981 roku na płycie

wojskowej lotniska Okęcie wylądował rządowy samolot ZSRR, na pokładzie którego przybyło do Polski ponad 30 funkcjonariuszy Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego ZSRR, Ministerstwa Obrony ZSRR oraz Gosplani, w celu szczegółowego zapoznania się z planami wprowadzenia w Polsce stanu wojennego. Grupą wojskową kierował marszałek ZSRR Wiktor Kulikow, a zespołem KGB - pierwszy zastępca Andropowa.

Po zapoznaniu się z naszymi planami, Rosjanie uznali je za niewystarczające i przedstawili swoje postulaty w tej sprawie. Według oceny Rosjan, wprowadzenie stanu wojennego poddyktowane jest koniecznością obrony socjalizmu. Wraz z jego wprowadzeniem należy zawiesić konstytucję i całą władzę przekazać w ręce Naczelnego Dowództwa Wojskowego. W terenie władzę powinni sprawować dowódcy garnizonów, a tam gdzie ich nie ma, wyznaczyć dowódcy WP. Egzekutorem stanu wojennego powinna być armia, siły bezpieczeństwa i aktywne siły partii. W okresie stanu wojennego oraz w czasie przygotowań do jego wprowadzenia należy skoncentrować wysiłki na demaskowaniu kontrrewolucji w "Solidarności", identyfikacji przywódców i elementów skrajnych, ustaleniu ich miejsc pobytu, wprowadzeniu agenty do wrogich organizacji oraz zlokalizowaniu podziemnych radiostacji i poligrafii. Rosjanie zalecili również, aby na czternaście godzin przed wprowadzeniem stanu wojennego przeprowadzić internowanie, a następnie śledztwa i sądy doraźne. Oświadczyli oni także, iż do zdławienia kontrrewolucji i strajków powinny być użyte siły bezpieczeństwa wspólnie z armią. Do Sztabu Generalnego WP, dowództw okręgów i rodzajów sił zbrojnych zalecili przyjąć doradców radzieckich.

Po udzieleniu "konsultacji" /bo tak to zostało nazwane/, radziecy specjaliści od stanu wojennego w Polsce zwrócili się o wniesienie poprawek w naszych planach oraz wyrazili życzenie ich ponownego przejrzania tak szybko, jak tylko będą gotowe.

Dla wykazania radzieckiej stronie polskiego konfliktu, że właściwie cała partia jest za kompromisem ze społeczeństwem Stanisław Kania zwołał na sobotę 28 marca 1981 roku IX Plenum KC PZPR, które - jak wiadomo - podjęło uchwałę wyrażającą wolę dialogu i porozumienia.

Z tą legitymacją w prasie ogłoszono "Raport Komisji Rządowej o przebiegu wydarzeń w Bydgoszczy" oraz "Uwagi "Solidarności"" do tego raportu.

Społeczeństwo odetchnęło z ulgą. Władza nie, gdyż po zatrzaskaniu sprowokowanej przez siebie konfrontacji ze społeczeństwem, teraz resztkami sił musiała walczyć ze swym protektorem - Moskwą o prawo do dalszego kierowania losami kraju.

Rosjanie reagowali gniewnie. Nawet nie chcieli rozmawiać na temat zakończenia ćwiczeń "Sojuz 81". Zapytywani nieśmiało o powody jego kontynuowania dawali nie zawsze dyplomatyczne odpowiedzi. Tak na przykład Szef Sztabu ZSZ gen. Anatolij Gribkow odpowiedział że: "cele ćwiczeń jeszcze nie zostały osiągnięte". Natomiast marszałek Kulikow stwierdził wprost że: "ćwiczenia są kontynuowane dlatego, że w Polsce jest kontrrewolucja".

Nie jestem w stanie przedstawić co radziecy marszałkowie mówili Stanisławowi Kani i gen. Jaruzelskiemu gdyż rozmawiali z nimi w cztery oczy i to z każdym osobno.

3 kwietnia wieczorem, pod osłoną ciemności, radziecki samolot dostarczył Kanię i Jaruzelskiego przed samo oblicze Leonida Breżniewa. Rozmowa była krótka, gdyż nad ranem 4 kwietnia tym samym radzieckim samolotem wojskowym powrócili oni do Warszawy. Nie znam treści tych rozmów, ale ich atmosferę, a nawet treść mogłem odtworzyć na podstawie tego z czym w tych dniach miał do czynienia Sztab Generalny WP.

Otóż 3 kwietnia, a więc w momencie gdy Kania i Jaruzelski przygotowywali się do wylotu na spotkanie z Breżniewem, Rosjanie rozpoczęli powietrzną wojnę nerwów z Polską. Tego dnia, bez uprzedniego zgłoszenia polskim organom ruchu lotniczego przebazowali z Czechosłowacji do Polski 32 śmigłowce bojowe Mi-6 oraz przerzucili do Brzegu za pomocą 10 samolotów AN-12 niezidentyfikowany transport wojskowy. W następnych dniach śmigłowce te wykonywały loty bojowe do rejonu Torunia oraz w inne części kraju. Wspomniane loty - niezależnie od aspektów terrorystycznych - tworzyły poważne zagrożenie w obszarze powietrznym PRL, gdyż radziecy piloci nie podporządkowywali się naszym organom ruchu lotniczego.

Na zapytania Szefa Sztabu Generalnego WP, gen. Siwickiego, Rosjanie dawali różne odpowiedzi. I tak dowódca Południowej Grupy Wojsk AR poinformował gen. Siwickiego, że są to normalne loty w ramach ćwiczeń ich armii lotniczej. Natomiast gen. armii Gribkow /szef sztabu ZSZ/ stwierdził, że odbywa się normalna rotacja

wojsk oraz dostawa żywności, na którą obecnie nie można liczyć ze źródeł polskich. 7 kwietnia przebywający na Zjeździe Komunistycznej Partii Czechosłowacji Leonid Breżniew podjął decyzję o zakończeniu ćwiczeń "Sojuz 81". Ćwiczenia się formalnie zakończyły, ale terror militarny ZSRR wobec PRL utrzymywał się nadal.

8 kwietnia, bez uprzedzenia kierownictwa MON a nawet kontroli ruchu lotniczego, do Brzegu koło Opola przyleciał kolejny transport 19 samolotów AN-12 a, w dniu następnym 14 samolotów AN-12 i 4 samoloty IL-76.

Równocześnie trwały rajdy radzieckich śmigłowców bojowych na trasie Legnica-Toruń oraz transporty pojedynczych samolotów do Mińska Mazowieckiego.

Przy takim akompaniamencie "braterstwa broni", grupa radzieckiego Zjednoczonego Dowództwa ZSZ państw Układu Warszawskiego z marszałkiem Kulikowem na czele 8 kwietnia przyleciała do Warszawy aby na miejscu zapoznać się czy zalecone przez nich poprawki i uzupełnienia do planów wprowadzenia stanu wojennego zostały wniesione. Marszałek Kulikow zajął się naszym kierownictwem partyjno-wojskowym, natomiast reszta grupy badała plany szczegółowe w Sztapie Generalnym.

W czasie sprawdzania planów, szef Sztabu Zjednoczonych Sił Zbrojnych gen. armii Gribkow wybrał 20 najważniejszych dokumentów planistycznych oraz zwrócił się o ich przetłumaczenie i przekazanie stronie radzieckiej, co oczywiście zostało uczynione. Opracowane dokumenty planistyczne, jakkolwiek nie uwzględniały wielu postulatów "konsultantów" radzieckich, przyjęte zostały w zasadzie pozytywnie. Rosjanie domagali się jednak, aby zostały one wszystkie podpisane, łącznie z uchwałami i dekretami Rady Państwa, aby w każdej chwili mogły być wprowadzone w życie.

8 kwietnia Kulikow i Gribkow opuścili Polskę. W radzieckiej jednostce łączności w Rembertowie pozostała bliżej nieokreślona grupa operacyjna Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych ZSRR. Natomiast grupa operacyjna Sztabu ZSZ państw Układu Warszawskiego w liczbie 47 wyższych radzieckich funkcjonariuszy wojskowych wraz z przekazaną stronie radzieckiej dokumentacją planistyczną stanu wojennego przeniesiona została do Legnicy.

W nocy z 9 na 10 kwietnia pracowałem w sztabie generalnym nad dokumentami stanu wojennego. Tuż po północy zameldowano mi, że Rosjanie zgłosili organom ruchu lotniczego Wojsk Obrony Powietrznej Kraju przylot między godziną 3 i 5 rano z Rygi, Wilna i Lwowa 35 samolotów AN-12 i 12 samolotów IL-76, a także lot 11 śmigłowców Mi-6 na trasie Brzeg-Toruń. Zaangażowanie tak dużej liczby ciężkich samolotów transportowych oznaczało w istocie uruchomienie 3 mostów powietrznych do Polski. Na szczęście, rankiem 10 kwietnia Moskwa loty te zawiesiła, choć ich definitywnie nie odwołała.

Po tej uwerturze 10 kwietnia Kulikow wraz ze swym zastępcą do spraw flot sojuszniczych, admirałem Michajlinem, przybyli ponownie do Polski w rejon Świnoujścia, skąd Kulikow zabiegał o spotkanie z Jaruzelskim. Powiedziano mu jednak, że premier jest u Kani i spotkanie możliwe będzie dopiero 13 kwietnia. Gen. Jaruzelski chciał uniknąć tego spotkania, gdyż strona radziecka w dalszym ciągu nalegała na ustalenie konkretnego terminu wprowadzenia stanu wojennego. Przygotowując się do wyznaczonego na 13 kwietnia spotkania z Kulikowem, 11 kwietnia gen. Jaruzelski przybył do Sztabu Generalnego WP, aby w gronie ścisłego kierownictwa zapoznać się osobiście z opracowanymi planami. Był on wyraźnie przygnębiony, a nawet załamany. Po rozpatrzeniu najważniejszych dokumentów planu, ogarnięto go jeszcze większe przygnębienie. Powiedział wprost: "w najczarniejszych zakątkach mej wyobraźni nie znajduję myśli, że coś takiego możemy zrobić. Nie chciałbym być już premierem, kiedy trzeba będzie podpisać te dokumenty do realizacji. Sytuacja jednak jest taka, że stłuczenie trzech nosów w Bydgoszczy doprowadziło nas na krawędź przepaści".

W dalszym ciągu wypowiedianych urywkami myśli, negatywnie ocenił Rulewskiego z bydgoskiej i Bujaka z warszawskiej "Solidarności", stwierdzając, że "ich postawa jest typowa dla socjalfaszyzmu". Gen. Jaruzelski opowiedział się za ewentualnym pośrednimariantem między masowym internowaniem opozycji, a koncepcją stosowania tylko krótkich i selektywnych zatrzymań i aresztowań najbardziej ekstremalnych działaczy. Dalsze rozważania Jaruzelskiego na te tematy przerwał dziennik wieczorny w TV, który chciał on obejrzeć. Tego dnia dziennik był dla niego raczej łaskawy, ponieważ i własne społeczeństwo i komentarze zagraniczne ograniczyły tylko te z Zachodu/ w zasadzie dobrze przyjęły jego wystąpienie

sejmowe z poprzedniego dnia. Wyraźnie tym zbudowany, po obejrzeniu dziennika telewizyjnego opuścił Sztab Generalny WP. 13 kwietnia spotkał się z Kulikowem, jednakże stanowczo przeciwstawił się sprecyzowaniu konkretnego terminu wprowadzenia stanu wojennego oraz podpisania dokumentów z tym związanych.

W połowie kwietnia zagrożenie interwencją zbrojną ZSRR zaczęło się powoli cofać, ale chyba naprawdę nigdy nie ustało. Związek Radziecki nigdy nie wycofał z PRL rozwinętego w czasie ćwiczeń "Sojuz 81" wojennego systemu dowodzenia siłami interwencyjnymi.

Po znanych komunikatach "Solidarności" o pojawieniu się tu i ówdzie nowych jednostek i instalacji radzieckich, grupa starszych oficerów Sztabu Generalnego WP na własną rękę podjęła badanie sprawy. Rozpoznanie o przynosiło niekiedy szokujące - jeśli nie groteskowe - informacje. Tak np. dowódca 3 Dywizji Zmechanizowanej poinformował, że w rejonie lotniska Radawiec koło Lublina znajduje się grupa radzieckich żołnierzy ze sprzętem łączności pod dowództwem majora, który nawiązał z nim oficjalny kontakt, prosząc o żywność. Według oświadczenia tegoż majora, jego grupa została przetrzebiona z terytorium ZSRR w celu przyjęcia w ciągu najbliższych 3 dni bliżej nieokreślonego zrzutów powietrznego AR na tym lotnisku. Wobec wyczerpania własnych zapasów żywności, zwrócił się on o pomoc do dowódcy garnizonu w Lublinie.

Dyskretne, nieoficjalne rozpoznanie doprowadziło do potwierdzenia wszystkich sygnalizowanych przez "Solidarność" miejsc rozwinięcia nowych radzieckich grup i instalacji wojskowych.

Szef Sztabu Generalnego nie dawał temu wiary i nawet polecił mi udzielenie pomocy w przygotowaniu wywiadu pełnomocnika Rządu PRL do spraw pobytu wojsk radzieckich w Polsce gen. dyw. Michała Strygi dla telewizji polskiej, w którym miał on zdementować krążące na ten temat pogłoski, kiedy pod wpływem oficjalnych informacji, jakie wpłynęły z jednostek wojskowych z terenu, trzeba było z tego zrezygnować, aby nie doprowadzić do jeszcze jednej kompromitacji władz. Szef Sztabu Generalnego, gen. Siwicki dalej nie dawał temu wiary, ale na wszelki wypadek zwrócił się do szefa Sztabu Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej z prośbą o wyjaśnienia. W odpowiedzi otrzymał szyfrogram, że rzeczywiście w czasie ćwiczenia "Sojuz 81" na terytorium PRL rozwinięte zostały punkty łączności, na których nadal - w ramach przygotowania młodego rocznika - szkoleni są młodzi radzieccy żołnierze. Szef Sztabu Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej wymienił 18 rejonów nowo rozwiniętych radzieckich instalacji łączności. Nie były to oczywiście wszystkie nowe miejsca pobytu jednostek radzieckich, ale dano już temu spokój.

K.: - Interesujący byłby Pański komentarz dlaczego na wiosnę Rosjanie, mając już właściwie na terytorium PRL znaczną liczbę wojsk oraz rozwinięty wojenny system dowodzenia, nie zdecydowali się na jakieś stanowcze kroki? Zaraz jednak do tego dojdziemy chciałbym Pana prosić o odpowiedź na dwa pytania, które nasunęły mi się słuchając pańskiej wypowiedzi. Pierwsze: czy wojsko, a zwłaszcza generał Jaruzelski był osobiście zamieszany w prowokację bydgoską?

R.J.K.: - Trudno mi odpowiedzieć na ile gen. Jaruzelski - jako premier rządu i minister Obrony Narodowej - zamieszany był osobiście w to, co się stało w Bydgoszczy. Natomiast z całą pewnością mogę zaświadczyć, że zarówno on, jak i Szef Sztabu Generalnego gen. Siwicki byli na bieżąco informowani o przebiegu wypadków w siedzibie Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy. Wiem także, iż wieczorem 19 marca Wałęsa telefonował z interwencją do premiera. W sprzeczności z prawdą - a zgodnie z otrzymanymi instrukcjami - adiutanci premiera odpowiedzieli Wałęsie, że gen. Jaruzelskiego nie ma na miejscu. Wiem także, iż Oddział Propagandy Specjalnej Głównego Zarządu Politycznego WP - pod osobistym nadzorem gen. bryg. Tadeusza Szaciło oraz szefa GZP, gen. dyw. Józefa Baryły - opracował i wydrukował ulotki o samokaleczeniu się Jana Rulewskiego, które jeszcze w ciągu nocy z 19 na 20 marca, na polecenie gen. Siwickiego samolot wojskowy rozrzucił z powietrza nad Bydgoszczą.

K.: - Drugie pytanie: kiedy Rosjanie włączyli się do planowania stanu wojennego w Polsce oraz na czym polegała rola Kulikowa i jego sztabu w Legnicy na Śląsku?

R.J.K.: - W Ministerstwie Obrony Narodowej planowaniem stanu wojennego zajmowali

się wyłącznie Polacy. Rosjanie włączyli się do tego dopiero w końcu marca 1981 roku i to tylko w charakterze nadzorców "konsultantów". Na szczelnie wykonawczym ich udział ograniczył się właściwie do wydania w dniu 27 marca 1981 zaleceń generalnych oraz do skontrolowania w dniu 8 kwietnia, jak ich zalecenia zostały wykonane. Po 8 kwietnia, to jest po zapoznaniu się z wniesionymi korektami do planów, po stwierdzeniu, że ich najważniejsze zalecenia zostały uwzględnione oraz po zabraniu jednego egzemplarza planów do Legnicy, ich rola sprowadzała się jedynie do wywierania presji na gen. Jaruzelskiego i Siwickiego, aby plany te zostały podpisane, a tym samym mogły być wprowadzone w życie w każdej chwili.

W Ministerstwie Spraw Wewnętrznych - jak mogą sądzić z mych służbowych kontaktów z tym resortem - Rosjanie włączyli się do tych spraw znacznie wcześniej i ich udział w samym planowaniu był znacznie większy. Wierzę, że szczegółowy współpracy Rosjan z MSW, zwłaszcza przy sporządzeniu listy osób przewidzianych do internowania, będą z czasem również ujawnione.

Co się tyczy roli marszałka Kulikowa i jego sztabu w Legnicy, to był to już drugi /po kryzysie czechosłowackim w roku 1968/ przypadek, kiedy Naczelny Dowódca Zjednoczonych Sił Zbrojnych państw Układu Warszawskiego okazał się kluczową figurą w rozwiązywaniu wewnętrznych problemów państwa będącego członkiem tego ugrupowania militarnego.

Niemal od początku wybuchu strajków na Wybrzeżu marszałek Kulikow kierował przygotowaniem akcji militarnych Związku Radzieckiego oraz niektórych innych państw Układu Warszawskiego przeciwko Polsce. W pierwszej fazie kryzysu, a więc do wiosny 1981, przygotowania te koncentrowały się wyłącznie w Sztabie Generalnym Sił Zbrojnych ZSPR. Od wiosny 1981 swą kwaterę przeniósł on do Legnicy. Założeniem legnickiego sztabu Kulikowa był wyłącznie radziecki zespół oficerów, którzy kierowali ćwiczeniem "Sojuz 81". Po zakończeniu tych ćwiczeń jego sztab rozdzielił się na dwie części. 47 wyższych radzieckich oficerów pozostało w Polsce w Legnicy, natomiast reszta wróciła do Moskwy.

18 kwietnia w Sztabie Zjednoczonych Sił Zbrojnych w Moskwie Kulikow przeprowadził odprawę z grupą 60-80 członków tego sztabu i oświadczył im, że na prośbę rządu PRL zostają skierowani do Polski, aby udzielić pomocy polskim komunistom. Cała ta grupa oficerów radzieckich oraz innych armii Układu Warszawskiego w dniu 24 i 25 kwietnia została skierowana do Legnicy.

Od 25 kwietnia na stanowisku dowodzenia Kulikowa w Legnicy stale przebywała grupa wyższych oficerów radzieckich w liczbie od 107 do 130. W porównaniu ze sztabem Jakubowskiego, który był rozwinięty w tym samym miejscu przed i w czasie inwazji Czechosłowacji, sztab ten był co najmniej dwukrotnie liczniejszy. Oficerowie sztabu Kulikowa byli odizolowani od świata zewnętrznego oraz całkowicie odcięci od polskich środków masowego przekazu, w tym także od prasy partyjnej i wojskowej.

Sztab Kulikowa posiadał w swej dyspozycji jeden komplet polskich planów stanu wojennego i, stosownie do rozwoju sytuacji w kraju, zajmował się uaktualnianiem własnych alternatywnych i uzupełniających planów na ewentualną konieczność użycia armii radzieckiej oraz innych armii Układu Warszawskiego.

Radziecki personel tego sztabu - przy współpracy Przedstawicielstwa Naczelnego Dowódcy ZSZ przy Wojsku Polskim, który mieścił się w Warszawie przy ulicy Krzywickiego - prowadził codzienną analizę i ocenę sytuacji społeczno-politycznej w Polsce oraz przekazywał raporty w tej sprawie radzieckiemu kierownictwu w Moskwie.

Jedyną zauważalną od roku 1968 zmianą w roli Naczelnego Dowódcy ZSZ było to, iż w tamtych czasach marszałek Jakubowski zajmował się wyłącznie przygotowaniem i przeprowadzeniem samej operacji militarnej przeciwko Czechosłowacji. Rozmowy z kierownictwem czeskim prowadził natomiast wyłącznie Breźniew i jego przyboczna świta.

W czasie kryzysu w Polsce oprócz strony militarnej marszałek Kulikow wziął na siebie główny ciężar bezpośrednich kontaktów i rozmów z partyjno-politycznym kierownictwem PRL. Kontakty Kani i Jaruzelskiego z Breźniewem były tylko od święta. Na co dzień torturował ich wyłącznie Kulikow. U schyłku kryzysu Kulikow nawet nie zawsze i nie ze wszystkimi chciał rozmawiać. Szczycił się na przykład tym, że w pałacyku przy ulicy Sulikowicza, gdzie czasami rezydował, wyrzucił Kanię z drzwi, bo przyszedł do niego o zbyt późnej porze, a w dodatku był pod wpływem alkoholu. Kania był wówczas pod wpływem alkoholu, a w tym momencie Kania był wówczas pod wpływem alkoholu, a w tym momencie Kania był wówczas pod wpływem alkoholu, ale fakt, że został on z rezydencji Kulikowa wyproszony, bo

- trzymał się kursu IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR i był przeciwny użyciu siły, jest faktem historycznym.

K.: - Abyśmy mogli zamknąć omawianie okresu wiosennego, chciałbym usłyszeć, jakie okoliczności - Pana zdaniem - powstrzymały Rosjan po raz wtóry od bezpośredniej interwencji zbrojnej w Polsce? Czy to była znowu reakcja Zachodu, do której doszło na podstawie Pana tajnych informacji, czy też wystąpiły jakieś inne czynniki?

R.J.K.: - Wydaje mi się, że na wiosnę przesądziły w zasadzie te same przyczyny, które powstrzymały ZSRR od inwazji grudniowej. Z jednej strony bardzo silna akcja dyplomatyczna nowej administracji amerykańskiej prezydenta Reagana oraz większości państw Europy Zachodniej, z drugiej zaś obawy Rosjan, jak na użycie siły zareaguje społeczeństwo polskie, a nawet sama armia.

Oni kontrolowali górne szczeble hierarchii wojskowej, ale mieli uzasadnione obawy o szczeble średnie i niższe. W owym czasie społeczeństwo polskie nie było dostatecznie zorientowane, jakie są nastroje wojska, ale Rosjanie znali je dobrze. Po jesienim poborze w roku 1980 prawie jedną trzecią stanu osobowego żołnierzy służby czynnej stanowili młodzi ludzie, którzy albo byli uprzednio członkami "Solidarności", albo uczestniczyli w zorganizowanych przez ten związek różnych formach protestu społecznego. Po wiosennym wcieleniu młodego rocznika takich ludzi było już ponad połowę stanu armii, ale radzieckie obawy nie kończyły się na tym. To co napawało ich być może jeszcze większym niepokojem to fakt, że idea "Solidarności" udzieliła się ogromnej części kadry oficerskiej. Nawet niektóre organizacje partyjne wojska pośrednio lub bezpośrednio udzielały poparcia "Solidarności". Tak np. organizacja partyjna Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego potępiła prowokację bydgoską, a imienne Główny Zarząd Polityczny WP, który był bezpośrednio w tę prowokację włączony. Dziesiątki innych, podobnych w swej wymowie, przypadków solidaryzowania się z "Solidarnością" Rosjanie mogli śledzić właściwie we wszystkich niemal ogniwach Sił Zbrojnych.

W tym stanie rzeczy - wobec bardzo zdecydowanej postawy państw zachodnich, wobec wyraźnego zarysowania się po prowokacji bydgoskiej jakiegoś ogólnonarodowego frontu sprzeciwu przeciwko użyciu siły, do którego dołączyła się nawet znaczna część Ludowego Wojska Polskiego - oferta władzy krajowej, a zwłaszcza gen. Jaruzelskiego, że zrobi to na własny rachunek, okazała się dla Rosjan lepsza niż wzniecenie w Polsce pożaru, który trudno byłoby ugasić, albo koszty którego dla ZSRR byłyby zbyt wielkie.

K.: - Z tego, co Pan dotychczas powiedział, wynika, że gen. Jaruzelski wspólnie zresztą ze Stanisławem Kanią obiecywali Rosjanom wprowadzić stan wojenny, ale nie ulega kwestii, że czynili wiele, aby ten moment jak najdłużej odwlec, a może nawet, aby się z tego całkowicie wymigać. Kiedy Pana zdaniem nastąpił przełom w ich podejściu do tej sprawy i kiedy zaczęli poważnie myśleć o tym, co nastąpiło 13 grudnia 1981 roku?

R.J.K.: - W postawie Stanisława Kani, od momentu wybrania go na I Sekretarza KC PZPR aż do IV Plenum KC PZPR, na którym został zmuszony do rezygnacji, nie było żadnych zmian. Kania przychylił się wprawdzie do żądań radzieckich, ale w istocie uznawał tylko walkę środkami politycznymi. Niewykluczone, że gdyby w Polsce wystąpiła nie urojona przez Moskwę, ale faktyczna kontrewolucja i sięganie siłą po władzę, Kania aprobowałaby nawet i stan wojenny. Ale takich zagrożeń nie widział i stanowi wojennemu, tak długo jak tylko mógł, przeciwwstawiał się.

Po IX Nadzwyczajnym Zjeździe, na którym w demokratycznych wyborach uzyskał mandat PZPR, jego niechęć do użycia siły przekształciła się w zdecydowany opór.

W postawie gen. Jaruzelskiego, prawdopodobnie pod wpływem potwornej - skoordynowanej - działalności rodzinnej Targowicy - radzieckiej presji, której towarzyszyły nowo mniejsze napięcia wewnątrz kraju, można było zauważyć wyraźne skłanianie się do rozwiązań siłowych jeszcze przed wystąpieniem oczekiwanych przez niego "sprzyjających mu temu warunków". Był już temu bardzo blisko w połowie czerwca. Odzwierciedleniem tego było jego wystąpienie na kolejnym, odbytym 19 czerwca 1981 roku, posiedzeniu Komitetu Obrony Kraju, poświęconym sprawie ewentualnego wprowadzenia stanu wojennego. Mówił on wówczas między innymi: "Trzeba poczynić

korekty w scenariuszu wprowadzenia tego stanu. Na przeprowadzenie akcji "Wiosna" nie ma obecnie sił. Jest wielce prawdopodobne, że stan wojenny wprowadzi się dopiero w szóstym, siódmym dniu eskalacji bądź trwania zaburzeń, strajków czy niepokoju. Należy widzieć możliwość działań ograniczonych do poszczególnych regionów, a także selektywnego uruchomienia przewidzianych planem przedsięwzięć".

Od tego czasu, z małą przerwą w okresie przygotowań do IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR i tuż po jego zakończeniu, gen. Jaruzelski coraz bardziej oddalał się od linii politycznej Stanisława Kani. Krytyczny moment przyszedł na początku września, kiedy to - mimo dość złożonej sytuacji na tle dostępu "Solidarności" do środków masowego przekazu - I Sekretarz KC PZPR Stanisław Kania podtrzymywał swój sprzeciw wobec dość stanowczego żądania premiera-generała, aby wprowadzić na tym tle stan wojenny. Z tego co wiem z bardzo pewnego źródła, powiedział on wprost gen. Jaruzelskiemu: "dałem swoje słowo, że nie użyjemy siły na VI i IX plenum KC PZPR, a także na Nadzwyczajnym Zjeździe Partii i muszę go dotrzymać".

W tej sytuacji, gen. Wojciech Jaruzelski zwołał na 13 września posiedzenie Komitetu Obrony Kraju, na które zaprosił Stanisława Kanię, aby wywrzec na niego odpowiednią presję i wymusić zgodę na rozpoczęcie tak długi przygotowywanego uderzenia.

Posiedzenie było starannie wyreżyserowane przez samego premiera. Jednym z posunięć przygotowawczych było specjalne spotkanie kierownictwa MSW z kierownictwem Sztabu Generalnego dla uzgodnienia wspólnej linii i taktyki działania na posiedzeniu Komitetu Obrony Kraju. Spotkanie odbyło się wieczorem 10 września w Sztabie Generalnym WP. Ze strony MSW uczestniczył w nim gen. dyw. Czesław Kiszczak oraz gen. dyw. Bogusław Stachura. Ze strony MON szef Sztabu Generalnego WP, gen. broni Florian Siwicki oraz wszyscy czterej jego zastępcy: gen. dyw. Tadeusz Hupałowski, gen. dyw. Jerzy Skalski, gen. dyw. Antoni Jasiński oraz gen. bryg. Mieczysław Dachowski.

Po tej owocnej naradzie, na odbytym w dniu 13 września 1981 roku nadzwyczajnym posiedzeniu Komitetu Obrony Kraju z udziałem zaproszonego Kani, wojsko i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wystąpiło we wspólnym bloku z postulatem niezwłocznego wprowadzenia stanu wojennego.

Gen. Kiszczak przedstawił "druzgocące dowody" parcia "Solidarności" do kontrrewolucyjnej zmiany ustroju PRL, poinformował o rzekomym tajnym planie "Solidarności" przejścia środków masowego przekazu, a także o tym, że ruch ten posiada jakiegoś ukrytego sprzymierzeńca w samym centrum planowania stanu wojennego. Jako dowód tego przytoczył fakt, iż duża część działaczy "Solidarności" zna dokładnie nasze plany, łącząc z planem internowania, listą osób przewidzianych do aresztowań, a nawet kryptonimem tej operacji. W dalszej części swego wystąpienia gen. Kiszczak przedstawił stan przygotowania MSW do wprowadzenia stanu wojennego, stwierdzając, że są one w pełni gotowe do działań. W konkluzji zwrócił się o podjęcie decyzji politycznej o wprowadzeniu stanu wojennego.

Gen. Siwicki stwierdził na wstępie, że - cytując dosłownie - "Sztab Generalny WP podziela przedstawioną przez Ministra Spraw Wewnętrznych, tow. gen. dyw. Cz. Kiszczaka ocenę zamiarów przeciwnika, który na pierwszej części zjazdu "Solidarności" odkrył swoje karty. Jesteśmy zgodni co do tego, iż w forsowanej obecnie przez radykałów nowej próbie sił same środki polityczne nie będą już w stanie powstrzymać niekorzystnego biegu wydarzeń w kierunku kontrrewolucyjnej zmiany systemu społeczno-politycznego oraz przejścia władzy przez siły wrogie socjalizmowi.

Od początku konfliktu niezmiennie uważamy, że wprowadzenie stanu wojennego powinno być ostatecznością. Z tym większym niepokojem przyjmujemy - przygotowaną na wielką skalę przez ekstremę "Solidarności" - konfrontację o dostęp do środków masowego przekazu oraz ustanowienie anarcho-syndykalistycznej koncepcji samorządów pracowniczych, która tę ostateczność w sposób niebezpieczny przybliża".

Wychodząc z powyższej ocery, gen. Siwicki - zgodnie z wytycznymi gen. Jaruzelskiego - przedstawił Komitetowi Obrony Kraju do rozpatrzenia dwa zasadnicze warianty działań.

W wariantcie pierwszym: "W wypadku proklamowania przez KKP "Solidarności" gotowości strajkowej lub strajku prasy, radia i telewizji połączonego prawdopodobnie z kontynuowaniem dotychczasowych, bądź rozpoczęciem nowych lokalnych i regionalnych strajków, w tym także strajków" - gen. Siwicki zaproponował: "rozpocząć

podwyższenie gotowości bojowej sił zbrojnych, sił resortu Spraw Wewnętrznych oraz ogólnej gotowości niektórych centralnych i terenowych organów administracji państwowej - jako wyraz zdecydowania władzy do radykalnego przeciwdziałania destrukcjom".

Omawiając ten wariant działań gen. Siwicki stwierdził, że: "Demonstracyjnie jawne oraz prowadzone z pełną determinacją przygotowania obronne w dziedzinie bezpieczeństwa państwa mogą spowodować cofnięcie się ekstremy, bądź czasowe złagodzenie jej presji i rozpoczęcie poszukiwań możliwych do przyjęcia przez władzę rozwiązań bez przekraczania progu fizycznej konfrontacji.

Wariant ten tworzy tylko pewną niewielką szansę przewyższenia impasu bez użycia siły. Jego zasadniczą słabością jest natomiast rezygnacja z czynnika zaskoczenia".

W dalszym wywodzie szef Sztabu Generalnego WP stwierdził, że: "Z punktu widzenia skuteczności działania organów i sił egzekwujących postanowienia o stanie wojennym, zwłaszcza prowadzenia niezwykle istotnych operacji specjalnych, wcześniejsze ujawnienie przygotowań nie jest celowe. Dlatego też drugi wariant - traktowany przez Sztab Generalny, a także resort Spraw Wewnętrznych jako zasadniczy - zakłada:

- po pierwsze - pełną skrytość przygotowań;
- po drugie - taki dobór momentu wprowadzenia stanu wojennego, który zapewniłby największe zaskoczenie niezbędne zarówno do celów operacyjnych, jak i wywołania silnego wstrząsu w społeczeństwie".

Przy omawianiu tego wariantu gen. Siwicki poinformował, że: "Analiza posiadanych i stale uaktualnianych dokumentów planistycznych i wykonawczych upoważnia do zameldowania, iż w sensie organizacyjnym możliwe jest obecnie właściwie w bardzo krótkim czasie osiągnięcie do tego środka obrony państwa".

W konkluzji gen. Siwicki stwierdził, że: "stan wojenny jest niezwykle trudną i złożoną operacją. Już sam fakt odwołania się władzy do tego środka obrony spowodować może różne, nieznanne nam dziś, reakcje społeczeństwa. Jak zwykle w takich przypadkach o charakterze szczególnym pozostaje kwestia użycia broni. Many jednak prawo sądzić, że przeciwko decyzji władz może aktywnie wystąpić jedynie nieliczna ekstrema, natomiast większość społeczeństwa odczuwająca poważne dołączliwości obecnego stanu zachowa wstrzemięźliwość, a następnie władzę poprze. Ponadto trzeba uwzględnić fakt, iż nie jesteśmy sami. W przypadku niekorzystnego rozwoju sytuacji zawsze możemy liczyć na pomoc naszych niezawodnych przyjaciół. Rodzi się więc potrzeba pełniejszego zacieśnienia sojuszniczej współpracy ze Związkiem Radzieckim oraz pozostałymi państwami Układu Warszawskiego. W ocenie Sztabu Generalnego WP istnieje jednak duża szansa rozstrzygnięcia problemów własnymi siłami. Dla osiągnięcia tego celu konieczne jest zdecydowanie ofensywne i precyzyjnie zsynchronizowane działanie wszystkich pozostających w dyspozycji państwa sił".

Wiceminister Obrony Narodowej i sekretarz Komitetu Obrony Kraju - gen. broni Tadeusz Tuczapski przedstawił komitetowi do rozpatrzenia akty prawne stanu wojennego /w 99% te same, z którymi kraj zapoznał się 13 grudnia/.

Za wprowadzeniem stanu wojennego wypowiedzieli się właściwie wszyscy członkowie KOK.

Przebieg posiedzenia zaskoczył Stanisława Kanię. Nie kwestionując nieuchronności wprowadzenia stanu wojennego, powiedział on jednak, że: "konfrontacja z wrogiem klasowym jest nieunikniona. Oznacza to walkę środkami politycznymi, a dopiero, gdy te zawiodą, mogą być stosowane represje".

Od 13 września 1981 roku tylko Kania stał na przeszkodzie podjęcia ostatecznej decyzji politycznej o wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego. Usunięcie tej przeszkody nie było trudne. Zaszczuty przez Moskwę, która niemal zaraz po IX Nadzwyczajnym Zjeździe Partii zaczęła go zupełnie ignorować, zmuszony został do ustąpienia miejsca temu, w kim Moskwa pokładała jeszcze ostatnią nadzieję. Formalna rezygnacja Kani z funkcji I Sekretarza KC PZPR nastąpiła - jak wiadomo - 18 października 1981 roku, na IV Plenum KC PZPR. W praktyce faktyczne władzę w partii utracił on właściwie w tym momencie, kiedy 13 września 1981 roku sprzeciwił się użyciu siły przeciwko "Solidarności".

Mimo że 13 września w obecności Kani Komitet Obrony Kraju nie podjął żadnej ostatecznej decyzji, nazajutrz - na osobiste polecenie gen. Jaruzelskiego - Sztab Generalny, przy współpracy MSW, przystąpił do szczegółowego opracowania

zrzec dodatkowych wariantów wprowadzenia stanu wojennego:

- pierwszy - w przypadku zagrożenia strajkami okupacyjnymi;
- drugi - sytuacji trwania strajków okupacyjnych;
- trzeci - polegający na stopniowym "wpełnieniu w stan wojenny".

Równocześnie z tym przystąpiono do przestawiania MON na wojenną strukturę dowodzenia. W ramach tej struktury Zarząd Operacyjny Sztabu Generalnego WP miał stanowić główne centrum kierowania państwem w czasie stanu wojennego. Do wzmocnienia zarządu oficerami z innych instytucji MON oraz funkcjonariuszami kluczowych resortów cywilnych w zarządzie miały funkcjonować dwa zespoły:

- planowania, na czele którego postawiono mnie /Ryszarda Kuklińskiego/ oraz
- dowodzenia, którym miał kierować płk. Franciszek Puchała.

Od końca września zaczęto przygotowywać miejsca pracy oraz wyposażać je w specjalne środki łączności do kierowania operacjami w czasie stanu wojennego.

W skromnych pomieszczeniach mojego oddziału zaczęło się robić ciasno, a atmosfera pracy stawała się coraz bardziej nerwowa. Do stałego zespołu operacyjnego, który dyżurował bez przerwy od momentu ogłoszenia strajków na Wybrzeżu w roku 1980, włączeni zostali dodatkowo oficerowie z innych instytucji centralnych MON oraz funkcjonariusze MSW. Drzwi do mojego gabinetu, gdzie zbiegały się wszystkie nici planowania, prawie się nie zamykały. Po blisko rocznym okresie przygotowań do wprowadzenia stanu wojennego przyzwyczałem się do przelewania planów na papier. We wrześniu zaczęły się jednak pierwsze zderzenia z tymi samymi sprawami tyle, że w jednostkowych ludzkich wymiarach. Złe się czułem słuchając przedstawiciela wydziału propagandy KC PZPR, kiedy roztaczał przede mną wizję zamknięcia tygodników i gazet, które czytałem i nawet cenilem, albo gdy zaczął wymieniać nazwiska publicystów, których lubiłem słuchać lub czytać, a którzy mieli niebawem zamilknąć. Strach mnie ogarniał, gdy słyszałem nazwiska różnych oportunistycznych miernot dziennikarskich, które miały zastąpić moich ulubionych redaktorów.

Jeszcze gorzej czułem się w służbowych kontaktach z przedstawicielami MSW, a zwłaszcza z dyrektorem zarządu tego ministerstwa, płk. Bronisławem Pawlikowskim, totemu marzyła się "noc długich noży" - krwawa rozprawa z niektórymi działaczami "Solidarności". Wiedziałem, że jego ręce mogą być za krótkie, by mogły osiągnąć tych wszystkich, do których pałał nienawiścią. Niepokoiło jednak to, że operacja internowania pozostawała w wyłącznej gestii resortu płk. Pawlikowskiego.

W sumie mimo sprzeciwu Kani, przygotowania do tego, co miało nastąpić 13 grudnia ruszyły pełną parą już w połowie września. W październiku i listopadzie ciężar przygotowań wyraźnie przesunął się do MSW oraz wydziału propagandy KC PZPR, które miały przygotować silne, trafiające społeczeństwu do przekonania usprawiedliwienie użycia siły. W tym samym czasie dla generała Jaruzelskiego, który doskonale zdawał sobie sprawę, że w Polsce - ze względów historycznych - zawsze będzie potępiony ten, kto tej siły przeciwko społeczeństwu użyje, stworzenie sobie jakiegoś alibi było sprawą bodajże najważniejszą.

Ponieważ z fabrykowania dowodów o sterowanej rzekomo z Zachodu kontrrewolucji nic nie wychodziło, MSW oraz wydział propagandy KC uruchomiły wszystkie swe siły, aby "Solidarność" przedstawić społeczeństwu jako ruch pohany przez jej przywódców do konfrontacji, a nawet jako siłę niszczącą, natomiast władzę jako stronę występującą w obronie państwa i jego obywateli.

W końcu października następuje spiętrzenie fali strajkowej. W szczególności jednogodzinny ostrzegawczy strajk powszechny, do którego doszło 28 października, wpłynął w sposób decydujący na dalszy bieg wydarzeń. W dniu tym byłem na posiedzeniu Rady Wojskowej Zjednoczonych Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego w Budapeszcie, i miałem możliwość obserwowania jak co najmniej połowa członków tego organu, w tym wszyscy Rosjanie i Polacy, śledziła przebieg tego strajku i jego wyniki. Jeszcze tego samego dnia wieczorem otrzymaliśmy w Budapeszcie oficjalne informacje, że strajk się nie udał. Według szacunku Sztabu Generalnego WP i wstępnych obliczeń, strajk popar o zaledwie niecałe 40% członków "Solidarności"; ponad połowa zakładów i pracowników uważała, że był on nieusprawiedliwiony i w strajku udziału nie wzięła. Była to najlepsza wiadomość, jaką Kulikow usłyszał od wielu miesiocy.

Kiedy 31 października wraz z delegacją WP pod przewodnictwem gen. Molczyka wylądowaliśmy na płycie wojskowej lotniska Okęcie, od jednej z najwyższej postawionych osobistości wojskowych, które nas witały, usłyszałem to, czego się obawiałem wcześniej: "Decyzja już zapadła. W tej chwili "Najwyższy", czyli Jaruzelski,

uzgadnia z sojusznikami konkretny termin i plan operacji".

W dniu 2 listopada, około godziny 14-tej, zostałem wezwany do zastępcy Szefa Sztabu Generalnego WP - gen. dywizji Jerzego Skalskiego, który nadzorował planowanie stanu wojennego przez Zarząd Operacyjny Sztabu Generalnego. Razem ze mną wezwani zostali: szef Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego WP - gen. Wacław Szklarski oraz pozostali dwaj jego zastępcy - płk Czesław Witt i płk Franciszek Puchała.

W tym gronie gen. Skalski w tonie najwyższej powagi poinformował nas o dwóch nowych, niezwykle ważnych elementach, które będą miały istotny wpływ na nasze planowanie. Pierwszym z nich był fakt, że do generała Jaruzelskiego skierowane zostało formalne ultimatum pewnej grupy sekretarzy PZPR szczebla centralnego i terenowego, którzy zagrozili przejęciem inicjatywy w swoje ręce w przypadku dalszego zwlekania z rozpoczęciem akcji. Drugi element to wiadomość z wiarygodnego źródła, że Amerykanie są w posiadaniu najnowszej wersji naszych planów łącznie z projektami aktów prawnych regulujących stan wojenny. Ultimatum sekretarzy nie wywołało większego wrażenia, gdyż Moskwa posługiwała się Targowicą od grudnia 1980 roku, a ponadto niewiele to zmieniało podjęte już decyzje. Nikt z nas nawet nie pytał o nazwiska autorów ultimatum, domyślając się, że chodzi tu o Stefana Olszowskiego, Stanisława Kociołka, współautora grudniowej masakry na Wybrzeżu, twarogółowego Tadeusza Grabskiego, a w wojsku gen. broni Eugeniusza Molczyka, gen. broni Włodzimierza Sawczuka, gen. dyw. Tadeusza Krepskiego i jeszcze kilku imnych.

Natomiast wiadomość, że nasze tajemnice przeciekły na Zachód i w każdej chwili "Solidarność" może być ostrzeżona, sparaliżowała wszystkich obecnych.

Doszło do dramatycznej wymiany zdań. Wszyscy zabierający kolejno głos: gen. Szklarski, płk Puchała, płk Witt zapewniali, że nie mają nic z tym wspólnego i oddawali się do dyspozycji władz bezpieczeństwa. Występujący jako ostatni z tej trójki, płk Witt powtórzył od dawna głoszony przez siebie pogląd, iż wszystkie dotychczasowe akcje "Solidarności" od jej powstania aż do dnia dzisiejszego wskazują, że ma ona ukrytego sojusznika w samym centrum władzy.

Kiedy oczy wszystkich skierowały się na mnie, aby usłyszeć, co ja o tym sądzę, doszedłem już do siebie i byłem zdecydowany potwierdzić tezę płk. Witta oraz oświadczyć, że byłem jednym z nich i przedstawić swoje racje. Zacząłem od tego, że w pełni podzielałem opinię mojego poprzednika, że jestem do dyspozycji władz i gotów jestem współdziałać w tocącym się śledztwie... Kiedy zacząłem zbierać myśli, aby kontynuować dalej, gen. Skalski przerwał mi, twierdząc, że on nie prowadzi śledztwa /tym zajmują się służby bezpieczeństwa/, a ponadto grono podejrzanych nie ogranicza się do nas czterech. Powiedział następnie, że powinniśmy się zastanowić jak najlepiej zorganizować naszą pracę, aby wykonać stojące przed nami zadania. Otwierając na ten temat dyskusję, gen. Skalski poinformował nas o wnioskach, jakie w opinii gen. Jaruzelskiego oraz gen. Siwickiego wynikają z powstałej sytuacji.

Wniosek pierwszy: w świetle otrzymanego ultimatum, od wprowadzenia stanu wojennego nie tylko nie ma odwrotu, ale musimy być do tego gotowi wcześniej niż szukająca się do przejęcia władzy "Targowica".

Wniosek drugi: w związku z tym, że nasze plany przeciekły na Zachód, musimy być przygotowani na dużo większe trudności. Jest bowiem pewne, że jeśli "Solidarność" zostanie ostrzeżona, to podejmie uprzedzające akcje obronne, a więc ogłosi strajk generalny i wezwie załogi do zabarykadowania się w fabrykach i zakładach pracy. Gdybyśmy do tego dopuścili - mówił generał - to naszych sił może nie wystarczyć i będą musieli pomóc nam inni. Aby tego uniknąć, musimy być gotowi do akcji uprzedzającej jakiegokolwiek posunięcia "Solidarności".

Od 2 do 7 listopada w Sztabie Generalnym WP wszystko szło w tym kierunku, jaki w imieniu Ludowe Wojsko Polskie w podniosłym nastroju święciło uroczyste sześćdziesiątą czwartą rocznicę Rewolucji Październikowej, stał się ostatnim dniem mojej służby w jego szeregach.

K.: - Jest ludzkie i zrozumiałe, że w sytuacji poważnego zagrożenia pańskiego życia oraz ewentualnych represji wobec pańskiej najbliższej rodziny, zdecydował się Pan opuścić kraj. Czy mógłby Pan przedstawić jak do tego doszło?

R.J.K.: - Zagrożenie nie wykonało się nagle i niespodziewanie na początku listopada. Mimo tego nigdy nie myślałem o opuszczeniu kraju. Nawet po 13 września, kiedy organy bezpieczeństwa wszczęły w moim środowisku energiczne poszukiwania źródła przecieku naszych planów do "Solidarności", pozostałem na swoim miejscu. Ponieważ ujawnienie kryptonimu operacji internowania "Wiosna" zawężyło krąg podejrzanych do tych, którzy go znali, liczyłem się z aresztowaniem w każdej chwili. Całą swoją reakcję ograniczyłem jednak wyłącznie do napisania czegoś w rodzaju politycznego testamentu. Ale wtedy czułem się jeszcze potrzebny. Między 2 i 7 listopada tę wiarę coraz bardziej traciłem.

W godzinach rannych 7 listopada uczestniczyłem w rutynowej odprawie szefa Sztabu Generalnego WP. Gen. Siwicki nie miał nam nic nowego do zakomunikowania, ale właśnie to jeszcze bardziej przekonało mnie, że nic już nie może zapobiec wprowadzeniu stanu wojennego.

Opuszczając około południa małą salkę konferencyjną Sztabu Generalnego WP zacząłem bierać myśli. Co dalej? Kierowca mojej "Wolgi" ruszył pełną szybkością z ulicy Rakowieckiej, aby jak zwykle Puławską, I Armii Wojska Polskiego, Trasą Łazienkowską i Wisłostradą dowieźć mnie do naszego mieszkania na Nowym Mieście. - Dziś nie musimy się śpieszyć - zwróciłem się do kierowcy, prosząc go, aby jechał bardzo powoli. Po raz pierwszy od ponad roku zacząłem przyglądać się przechodniom, domom, a nawet drzewom mojego miasta.

Kiedy mijaliśmy zamek królewski przypomniałem sobie niewielki epizod kiedy zupełnie bezwiednie naraziłem się gen. Jaruzelskiemu. Otóż w czasie przygotowań do posiedzenia Komitetu Ministrów Obrony państw Układu Warszawskiego, które miało miejsce w grudniu 1979 roku w Warszawie, generał spytał mnie co Niemcy pokazywali członkom komitetu w czasie ostatniego posiedzenia w Berlinie i co my możemy im pokazać u nas. - Niemcy - odpowiedziałem - zaprezentowali swój szklany Pałac Kultury i Odpoczynku, bo ze spuścizną Bismarcka mieli jeszcze pewne zahamowania. Ale my naprawdę mamy coś godnego do pokazania temu gremium. W świetle przewidywanej problematyki posiedzenia obiekt ten jest bardzo w czasie, towarzyszu generale! - Co takiego? - zapytał z zaciekawieniem minister Obrony Narodowej. - Zamek królewski - odparłem. W tym momencie twarz generała tak się zmieniła, jakbym popełnił jakiś wyjątkowy nietakt. Zmrożony odwrócił się i bez słowa zaczął się oddalać. - Ja wiem, że zamek nie jest jeszcze wykończony - powiedziałem, podążając za sztwną postacią generała - ale nawet w tym stanie w jakim jest obecnie robi niezwykle wrażenie. Ja tam chodzę i wiem... W tej chwili ten pokaz naszej historii jest jak najbardziej... - Nie skończyłem, gdyż generał nie chciał tego słuchać. Uważał, że pokazanie Rosjanom naszego Zamku Królewskiego w momencie gdy zażądali oni od Polski oraz reszty państw Układu Warszawskiego zrzeczenia się resztek suwerenności nad siłami zbrojnymi może być poczytane za prowokację. Dziś prowokacją wobec ZSRR jest "Solidarność" i dlatego trzeba ją zniszczyć.

Kiedy z Wisłostrady zaczęliśmy skręcać w ulicę Sanguszkę mój sympatyczny żołnierz-kierowca, którego lubiłem jak własnego syna, zapytał kiedy ma przyjechać pod dom aby mnie zawieźć do pracy. - Jutro z pułku wal prosto na parking Sztabu Generalnego - odpowiedziałem - samochód może być potrzebny oficerom naszego oddziału. W poniedziałek tak samo... Jeśli będę czego potrzebował, zadzwonię. - Mijając ulicę Przyrynek, po raz któryś z rzędu zauważyłem dwóch młodych ludzi szybko odwracających twarze. Podobna sytuacja na końcu ulicy Rajców, tuż przy plebanii kościoła Najświętszej Marii Panny, a więc niecałe 50 metrów od mojego domu. Sterczeli tam dzień i noc prawie od tygodnia. Wiedziałem dobrze, że nie są to ekstremiści "Solidarności", którzy - według oficjalnych ostrzeżeń moich przełożonych - zamierzali porwać członków rodzin ważnych osób wojskowych, aby w drodze szantażu łagodzić, a nawet zakazać operacji stanu wojennego. Wiedziałem również doskonale, że nie jest to także ochrona mojej rodziny przed taką ewentualnością, ponieważ w tym celu miało być użyte wojsko, a nie cywilna służba bezpieczeństwa. Domyślałem się, że zostałem już obstawiony.

Nie oczekiwałem, że aresztowanie nastąpi natychmiast, a nawet w ciągu najbliższych dni, gdyż służba bezpieczeństwa musiała najpierw wytropić najistotniejsze dla śledztwa moje ewentualne konspiracyjne kontakty i powiązania wewnątrz sił zbrojnych PRL, w relacjach z Armią Radziecką i pozostałymi armiami Układu Warszawskiego, z partią, opozycją, "Solidarnością" itd. Tym niemniej sytuacja była dla mnie i mojej rodziny w swych rachubach mylić. Zacząłem więc od porządkowania

domu, gdzie oprócz dużej biblioteki, w której znajdowały się również pewne pozycje drugiego obiegu, miałem jednak duży zbiór najbardziej tajnych materiałów i dokumentów dotyczących nierównoprawnej współpracy wojskowej PRL ze Związkiem Radzieckim w ramach Układu Warszawskiego oraz wszystkich przygotowań do wojny wadzenia stanu wojennego, co przecież łatwo można było zakwalifikować jako szpiegowskie.

Tu muszę wyjaśnić, że nigdy nie podważałem celowości pozostawienia Polski w Układzie Warszawskim na zasadzie sojuszu równoprawnych sprzymierzeńców, ale z dezaprobatą odnosiłem się do wszystkiego, co przekształcało tę organizację w narzędzie radzieckiego ekspansjonizmu, co pozbawiło państwa członkowskie suwerennych praw do kierowania własnymi siłami zbrojnymi i własną obroną, co wreszcie tworzyło podstawy do ingerencji ZSRR w wewnętrzne sprawy Polski. Ponieważ moje opinie w tych sprawach spotykały się jedynie z negatywnymi reakcjami moich przełożonych, w pewnym momencie zacząłem gromadzić odbliski niemal wszystkich protokołów posiedzeń, uchwał i decyzji państw Układu Warszawskiego od momentu powstania tej organizacji, aż do jesieni roku 1981, łącznie z materiałami wyrażającymi stanowisko PRL we wszystkich rozpatrywanych sprawach.

Od listopada 1980 roku zacząłem gromadzić wszystkie dokumenty i materiały dotyczące stanu wojennego. Spośród innych materiałów miałem bardzo cenne dokumenty dotyczące udziału Polski w radzieckiej inwazji Czechosłowacji w roku 1968, roli Wojska Polskiego w tragicznych wydarzeniach grudniowych na Wybrzeżu, spraw represji za praktyki religijne w wojsku, a także wszystkie osobiste notatki z tajnych rozmów i rokowań kierownictwa MON PRL z Rosjanami.

Wszystkie zgromadzone dokumenty traktowałem jako pewnego rodzaju rozwinięcie i poszerzenie prowadzonego przeze mnie od sierpnia 1968 roku z niewielkimi przerwami dziennika, a właściwie notatek pisanych nocami, z myślą, że może kiedyś wyłonią się możliwości wydobycia ich na światło dzienne. Osobiste papiery, takie jak: listy, spis telefonów, adresy, zdjęcia znajomych i wszystko co choćby w najmniejszym stopniu mogło narazić niewinnych ludzi, selekcjonowałem i paliłem 4, 5 i 6 listopada. 7 listopada, zaraz po powrocie do domu, zacząłem palić moje cenne archiwum. Mieszkanie było pełne dymu, ponieważ przy tak dużej ilości papieru, komin odmówił posłuszeństwa. Aby nie ulec zacczadzeniu otwierałem okna, ale uchodzący z mieszkania dym zwracał uwagę krążących wokół domu tajniaków, którzy mogli w każdej chwili wtargnąć do mojego domu.

Z drugiej strony coraz bardziej uświadamiałem sobie, że niszczę kopie dokumentów o dużej wadze historycznej, których oryginały zapewne nigdy nie będą ujawnione. Ponieważ w czasie ewentualnego aresztowania nic już nie mogło mi ani zaszkodzić, ani pomóc, postanowiłem opuścić kraj wraz z pozostałymi, niespalonymi dokumentami. Wydaje mi się, że jest jeszcze za wcześnie aby przedstawić okoliczności, jak do tego doszło. Wierzę jednak, że kiedyś w przyszłości i te sprawy będą mogły być ujawnione.

K.: - Wspomniał Pan, że z dezaprobatą odnosił się Pan do wszystkiego, co przekształcało Układ Warszawski w narzędzie radzieckiej dominacji nad Polską. Czy mógłby Pan powiedzieć, jak wygląda stosunek zależności Wojska Polskiego od dowództwa radzieckiego? Czy jest to stosunek rozkazodawczy czy też Jaruzelski ma możliwość przecistawiania się decyzjom Układu Warszawskiego, albo poddawania ich pod dyskusję?

R.J.K.: - Przede wszystkim chciałbym rozwiać panujący na Wschodzie i Zachodzie mit, że sama przynależność do Układu Warszawskiego niejako automatycznie pozbawia państwa członkowskie suwerennych praw do decydowania o swoim losie, w tym także decydowania w sprawach własnej narodowej obrony. To jest zwykłe nieporozumienie, ponieważ ani zawarty w roku 1955 Układ /który zresztą jest jawny i powszechnie dostępny/, ani żadne jego tajne klauzule tych suwerennych praw poszczególnych państw członkowskich nie przekreśliły. Z niezwywalnych praw suwerenności państwa członkowskiego Układu Warszawskiego korzysta w całej rozciągłości Socjalistyczna Republika Rumunii, która prowadzi nie tylko niezależną od ZSRR politykę, ale zachowała także całkowicie niezależną od ZSRR obronę narodową. W dziedzinie obrony narodowej Rumunii, w tym także dowodzenia jej siłami zbrojnymi nie ma dwóch praw: jednej na użytek własnego społeczeństwa i armii, a drugiej na użytek wspólnoty socjalistycznej pod przewodnictwem Związku Radzieckiego, jak to jest w PRL.

Rumunia bez żadnych dwuznaczności i niedomówień ustanowiła w swej konstytucji, że siłami zbrojnymi Socjalistycznej Republiki Rumunii, zarówno w czasie pokoju jak i wojny, dowodzi narodowe dowództwo i od tego konstytucyjnego prawa rumuńskie kierownictwo nigdy nie odeszło. Rumunia, mimo znacznej presji, jaką na nią wywierano, w ramach Układu Warszawskiego nigdy nie podpisała żadnego dwu lub wielostronnego porozumienia, które by tę zasadę naruszało. W ten sposób socjalistyczna Republika Rumunii - mimo iż jest członkiem Układu Warszawskiego oraz ma takie same jak Polska uwarunkowania geostrategiczne - pozostała wyłącznym dysponentem swych sił zbrojnych oraz swego potencjału obronnego.

Sytuacja PRL, której przywódcy od schyłku lat sześćdziesiątych zaczęli stopniowo wyzywać się suwerenych praw Polski do dysponowania własnymi siłami zbrojnymi i własną obroną, jest bardzo skomplikowana, choć nie we wszystkich warunkach i sytuacjach beznadziejna.

Beznadziejna jest tylko w okresach zagrożenia wojennego oraz na czas wojny, ponieważ - zgodnie z przyjętym przez PRL na przełomie roku 1979/1980, tak zwanym "Statutem Zjednoczonych Sił Zbrojnych i Organów kierowania nimi na czas wojny" - w tych sytuacjach kierowanie obroną Polski oraz dowodzenie jej siłami zbrojnymi przechodzi całkowicie w ręce tak zwanego Jedyne Najwyższego Naczelne Dowództwa. PRL zgodziła się dobrowolnie, że tym Jedynym Najwyższym Naczelnym Dowództwem będzie niepodzielnie Najwyższe Naczelne Dowództwo Sił Zbrojnych Związku Radzieckiego, a jego organem roboczym wyłącznie radziecki Sztab Generalny. Strona polska zgodziła się nawet na to, że przy Najwyższym Naczelnym Dowództwie nie ma i nie będzie żadnego polskiego przedstawiciela lub choćby misji łącznikowej.

Polskimi Siłami Zbrojnymi radzieckie Najwyższe Dowództwo dowodzić będzie poprzez swe niższe organy dowodzenia. I tak:

Polski Front, a więc całe operacyjne Wojska Lądowe oraz Wojska Lotnicze podlegać mają bezpośrednio radziekiemu Naczelnemu Dowódcy na Zachodnim Teatrze Działań Wojennych.

Całą Marynarkę Wojenną PRL, łącznie z jej lądowymi bazami dowodzić będzie dowódca Floty Bałtyckiej ZSRR, który w sytuacji zagrożenia lub wojny staje się automatycznie dowódcą, a jego sztab sztabem tak zwanej Zjednoczonej Floty Bałtyckiej państw Układu Warszawskiego.

Nawet Wojska Obrony Powietrznej Kraju /uważane od momentu ich sformowania za trzon obrony własnego terytorium/ nie będą dowodzone przez narodowe lecz przez radzieckie dowództwo. Pikantnym szczegółem porozumienia w tej sprawie jest ustanowienie uprawnień radzieckiego dowództwa do używania jednostek obrony powietrznej Kraju poza terytorium PRL.

W sumie, w przypadku zagrożenia i wojny, do 90% ludowego Wojska Polskiego znajdzie się bezpośrednio pod rozkazami radzieckich dowództw. W gestii narodowego kierownictwa wojskowo-politycznego pozostaną właściwie jedynie krajowe jednostki logistyczne, jednostki inżynieryjno-techniczne zabezpieczenia tranzytu wojsk radzieckich przez terytorium PRL oraz jednostki przewidziane do szkolenia rezerw dla uzupełniania strat wojennych.

Wszelkie rozkazy i dyrektywy radzieckie dowództwa kierować będą bezpośrednio do podległych im polskich wojsk z pominięciem narodowego dowództwa. W praktyce oznacza to nieograniczone prawo ZSRR do dysponowania Ludowym Wojskiem Polskim bez żadnych uprzednich konsultacji z władzami PRL. Będący pod radzieckimi rozkazami żołnierze WP nie mają nawet zagwarantowanej narodowej, to jest polskiej jurysdykcji, polskich sądów wojennych. Nawet praca partyjno-polityczna koordynowana będzie nie przez KC PZPR lecz przez radziecki wydział polityczny przy Naczelnym Dowództwie na Zachodnim Teatrze Działań Wojennych.

Rola narodowego dowództwa PRL ograniczona będzie wyłącznie do funkcji wszechstronnego zaopatrzenia walczących pod radzieckim dowództwem wojsk polskich, szkolenia rezerw oraz uzupełnienia ludzkich i materialnych strat wojennych.

Wszystkie powyższe ustalenia, z uwagi na ich wyjątkowo drażliwy charakter, były se najwyższe tajemnicą i nikt w Wojsku Polskim poza ścisłym kierownictwem nie ma o nich zielonego pojęcia. Nawet dowódcy rodzajów sił zbrojnych i organów wojskowych znają tylko tę część postanowień, która ich bezpośrednio dotyczy.

W czasie pokoju radzieckie kierowanie siłami zbrojnymi i obronnością państw Układu Warszawskiego zamaskowane jest szyldem tak zwanego Zjednoczonego Dowództwa Zjednoczonych Sił Zbrojnych. Dowództwo to zorganizowane jest w taki sposób,

że wszystkie stanowiska kierownicze od Naczelnego Dowódcy, Szefa Sztabu, zastępców Naczelnego Dowódcy do spraw Obrony Powietrznej, Lotnictwa, Flot, Techniki, Tyłów, poprzez wszystkie szczeble w dół, aż do szefa oddziału /wydziału/ w Sztabie i Komitecie Technicznym Zjednoczonych Sił Zbrojnych obsadzone są wyłącznie przez kadrę radziecką. Oficerowie pozostałych armii Układu Warszawskiego - niezależnie od nazwy zajmowanych stanowisk - spełniają wyłącznie funkcje informacyjne i łącznikowe w odniesieniu do ich własnych armii narodowych.

W czasie pokoju radzieckie Zjednoczone Dowództwo ZSZ państw Układu Warszawskiego, będące faktycznie filią Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych ZSRR - przynajmniej oficjalnie - nie ma uprawnień tak wielkich, jak w czasie zagrożenia i wojny.

Z pewnymi, zresztą dość istotnymi wyjątkami, które odnoszą się do wojsk Obrony Powietrznej Kraju oraz systemu przestawiania sił zbrojnych PRL ze stanu pokojowego na wojenny - dowództwo to nie ma żadnych formalnych praw do kierowania lub dowodzenia Wojskiem Polskim ponad głową ministra Obrony Narodowej lub szefa Sztabu Generalnego. Wszelkie dyrektywy, rozkazy czy też rekomendacje Naczelnego Dowódcy ZSZ mogą być kierowane wyłącznie do ministra Obrony Narodowej lub szefa Sztabu Generalnego WP, i dopiero po odpowiednim ich przerobieniu w ministerstwie Obrony Narodowej kierowane są w dół pod firmą Ministerstwa Obrony Narodowej PRL. Z reguły projekty dyrektyw i rozkazów kierowanych do WP jeszcze przed podpisaniem przez Naczelnego Dowódcę ZSZ uzgadniane są z ministrem Obrony Narodowej PRL, który może je przyjąć bez zastrzeżeń, może zgłosić propozycje zmian lub nawet wręcz odrzucić. W ważniejszych sprawach, na wniosek ministra Obrony Narodowej, decyzje podejmuje premier rządu i I sekretarz KC PZPR. Jednakże od chwili, gdy gen. Jaruzelski został ministrem Obrony Narodowej, w sferze polityki i rozwiązań militarnych Rosjanie nigdy nie mieli kłopotów z Polską. W latach 1968-1981 otrzymywali wszystko co chcieli bez potrzeby sięgania ponad głową polskiego narodowego dowództwa. Na początku lat osiemdziesiątych kontrolowali już właściwie wszystko, co było związane z obronnością PRL oraz funkcjonowaniem jej sił zbrojnych.

Moskwa określa np. w cyklach wieloletnich stan liczebny Wojska Polskiego na czas pokoju i wojny, jego struktury organizacyjne, uzbrojenie i wyposażenie, stan gotowości bojowej i mobilizacyjnej, kierunki szkolenia, zadania i plany użycia w czasie wojny itd., itp.

Z przyjętych w tym względzie zobowiązań ministerstwo Obrony Narodowej PRL rozliczane jest przez radzieckie dowództwo dwukrotnie w ciągu roku. Istnieje podwójny system sprawozdań. Jedne sprawozdania do Moskwy przesyła ministerstwo Obrony Narodowej, a drugie identyczne w formie i treści, lecz oparte na radzieckich narodowych źródłach - radzieckie Przedstawicielstwo Naczelnego Dowódcy ZSZ przy WP. Moskwa analizuje te sprawozdania, porównuje je z wszelkimi odchyłkami od przyjętych zobowiązań, niewykonania planów lub tylko niedokładności polskiej wersji sprawozdań trzeba się gęsto tłumaczyć.

Są nawet takie paradoksy, że stan liczebny Wojska Polskiego, który Polska zgłosiła w czasie rokowań wiedeńskich /oczywiście niezgodny z prawdą/ określony został przez Sztab Generalny Sił Zbrojnych ZSRR w Moskwie. Ponieważ nieprawdziwe dane komplikowały negocjacje w Wiedniu w roku 1980, Sztab Generalny WP zamierzał je nieco przybliżyć do rzeczywistych. Towarzyszyłem właśnie gen. Siwickiemu w jego zabiegach w tej sprawie w Moskwie i byłem osobistym świadkiem kiedy dwugwiazdkowy radziecki generał Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych ZSRR powiedział memu szefowi Sztabu Generalnego WP: nielzja, po czym wręczył nam gotową kartkę z danymi, którymi mogliśmy operować w negocjacjach z Zachodem.

Na podstawie przyjętych przez PRL zobowiązań Sztab Generalny musi uzgadniać z radzieckim dowództwem między innymi pokojową dyslokację jednostek Wojska Polskiego.

Rosjanie mają zagwarantowane prawo prowadzenia inspekcji i kontroli jednostek Wojska Polskiego. Brak konkretnych ustaleń co mogą oni kontrolować, a czego nie, prowadzi np. do takiej sytuacji, jaka miała miejsce na początku lutego 1981 roku, kiedy pod pretekstem kontroli przygotowania Wojska Polskiego do ćwiczeń "Sojuz 81", radzieccy generałowie ze Zjednoczonego Dowództwa sprawdzali w istocie gotowość różnych szczebli i jednostek polskich do konfrontacji z "Solidarnością".

Pytał Pan, czy generał Jaruzelski ma możliwość przeciwstawienia się decyzjom dowództwa Paktu Warszawskiego, albo poddawania pod dyskusję sowieckie decyzje?

myślałem się, że chodzi Panu o możliwość przeciwstawienia się takim decyzjom jak np. inwazja Polski, czy też jakakolwiek inna forma ingerencji tych państw wewnętrzne sprawy Polski. Gdyby Pan to samo pytanie sformułował bezimiennie, ktoś np. do przywódcy państwa członkowskiego Układu, nie byłoby kłopotów z odpowiedzią. Odpowiedziałbym bez wahania tak, ponieważ Układ Warszawski nie daje adnemu państwu członkowskiemu czy grupie państw Układu Warszawskiego formalnego prawa do mieszania się w wewnętrzne sprawy innego państwa członkowskiego, nie świąc już o zbrojnej interwencji. Kto tej zasady broni, może się do niej odwoływać. Ja znam przypadki, kiedy w sprawach o najwyższym znaczeniu dla ZSRR, Socjalistyczna Republika Rumunii mówiła nie i nic jej się z tego powodu nie stało. Jeden z nich miał np. miejsce na posiedzeniu Doradczego Komitetu Politycznego, które odbywało się w Moskwie w dniu 23 listopada 1978 roku. Otóż na tym posiedzeniu strona rumuńska nie chciała się zgodzić na uchwałę, która zawierała generalne ostanowienie o uznaniu Najwyższego Naczelnego Dowództwa Sił Zbrojnych ZSRR a jedyne dowództwo sił Układu Warszawskiego na czas wojny. Kiedy wierni sojusznicy ZSRR zaczęli za to atakować Rumunię, prezydent Ceaușescu wstał od stołu obrad wraz z całą swą delegacją rumuńską opuścił Moskwę. Radziecka presja na Rumunię rwała jeszcze cały rok 1979, ale w końcu Moskwa musiała się cofnąć. Prezydent Ceaușescu chce być lojalnym sojusznikiem Związku Radzieckiego, ale nie jego oddanym. Jego kraj nie uczestniczył w inwazji Czechosłowacji oraz nie podpisał, jak już wspominałem - żadnych porozumień, które poddawałyby w wątpliwość suwerenność status Socjalistycznej Republiki Rumunii.

Sytuacja gen. Jaruzelskiego - który w przeszłości udzielił czynnego poparcia wiązce Radzieckiemu w jego inwazji Czechosłowacji, a więc uznał de facto rawo ingerencji Układu Warszawskiego w wewnętrzne sprawy państw członkowskich raz tak dalece uzależnił obronność Polski od Związku Radzieckiego - jest zupełnie rna i dlatego trudno mi jest wyobrazić sobie okoliczności, w których - nawet tyby tego pragnął - mógłby Rosjanom powiedzieć stanowczo NIE.

.. - Jak wiadomo, są tacy ludzie i w Polsce i za granicą, którzy dopatrują ię w generale Jaruzelskim jakiegoś Konrada Wallenroda, który kierując się zględami patriotycznymi uratował kraj przed katastrofą. Jak Pan to widzi?

J.K.: - Ja widziałem i widzę to nadal, że w Polsce była realna szansa uniknięcia radzieckiej interwencji i stanu wojennego. Na początku kryzysu generał Jaruzelski nie sprawował najwyższej funkcji w państwie. Tym niemniej od sierpnia roku 880 jego głos ważył najwięcej. Gdyby wspólnie ze Stanisławem Kanią znaleźli sobie więcej godności i siły, gdyby nie okazywali uległości wobec Moskwy, ecz stanęli uczciwie na gruncie zawartych unów społecznych, Polska prawdopodobnie yglądałaby dziś zupełnie inaczej.

/przedruk: Kultura, Paryż/

JAN NOWAK

POLITYKA USA WOBEC POLSKI

Jestem jednym z rielicznych Polaków, którzy mieli możliwość zapoznania się z polityką amerykańską nie z gazet ale z bezpośredniego doświadczenia. Pomiędzy rokiem 1952 a 1976 działałem niejako na styku tych dwu światów, polskiego i amerykańskiego, będąc kierownikiem Sekcji Polskiej Radia Wolna Europa.

Z konieczności polityka amerykańska znajdowała swoje odbicie w stanowisku i poglądach moich amerykańskich partnerów, w różnych ocenach wytycznych itd., niejednokrotnie będąc źródłem konfliktów, często rozwijała się paralelnie do społecznego myślenia naszej polskiej grupy. Konflikty, które były rozgrywały się

w sposób demokratyczny, bowiem nigdy nie byłem traktowany jako bezpieczeństwa, który nie ma za sobą nikogo poza własnym zespołem, i ludzie, którzy byli przedstawicielami supermocarstwa nigdy nie traktowali mnie jako człowieka zależnego, któremu można coś narzucić groźbą, że się go po prostu zwolni ze stanowiska.

Po przejściu na emeryturę, napisaniu książki "Kurier z Warszawy" z wyboru znalazłem się w Waszyngtonie. Na wysokich stanowiskach rządowych znajduje się tam wielu moich kolegów z RWiE dzięki czemu mogę obserwować jak ta polityka się rozwija. Przechodziła ona różne fale. W roku 1952 panowało hasło wyzwolenia i odepchnięcia /"policy of liberation and roll-back"/, która na pozór przemawiała niesłychanie do naszego poczucia polskiego interesu, budziła pewne nadzieje, ale niestety była dwuznaczna, bo nigdy nie powiedziano mi jakimi środkami i sposobami to wyzwolenie ma być osiągnięte. Czy przez wojnę, czy przez groźbę wojny - mocarstwa, które wówczas było monopolistą w dziedzinie broni atomowej, czy wreszcie drogą tzw. samowyzwolenia, gdzie mieliśmy wyzwoleńców siłami przy jakimś moralnym poparciu. Oczywiście my byliśmy przeciwni temu ostatniemu rozwiązaniu, mając świeżo w pamięci Powstanie Warszawskie i całą katastrofę ofiar okresu wojennego, która nie przyniosła nam tego celu, dla którego walczyliśmy. Dziś trzeba pamiętać, że w tych latach między 1952 a 1954 rokiem świat był dosłownie od wstos od III wojny światowej, od wojny atomowej z czego ogół nie zdawał sobie sprawy, i o czym dziś się w ogóle nie pamięta. Do wojny omal nie doszło podczas blokady Berlina, następnie podczas wojny w Korei i wojny francuskiej w Indochinach. Prezydent Eisenhower był zdecydowany użyć broni atomowej w Indochinach i tylko fakt, że Francuzi poddali się zanim ta decyzja została wprowadzona w życie zawdzięczamy, że nie doszło do wybuchu wojny światowej. Tak więc wielu z nas odgadywało, że może dojść do wojny albo że może być podjęta próba "odepchnięcia" Rosji groźbą użycia broni atomowej tak jak to nastąpiło w Iranie. Kiedy po wojnie Stalin, zamiast zgodnie z umową wycofać wojska z północnego Iranu, po wycofaniu się wojsk amerykańskich i brytyjskich zaczął tam montować "Ludową Republikę Południowego Aзербajdżanu" i wówczas Truman - o czym wtedy nie wiedzieliśmy - powiedział: albo wycofanie albo wojna. W ciągu 24 godzin wojska zostały wycofane. Więc taka możliwość istniała do czasu pierwszej sowieckiej próby z bronią wodorową bowiem wiadomo było, że Ameryka nigdy nie zaryzykuje swojego własnego bytu w żadnej prawie sytuacji z wyjątkiem takiej, w której sama będzie zagrożona. Patrząc z perspektywy czasu wydaje się, że opatrność nas uchroniła przed tym wojennym rozwiązaniem dlatego, że w świetle dokumentów, które dziś są jawne wyglądałaby ona zupełnie inaczej niż nalot na Hiroszimę i Nagasaki, które mogły być zaatakowane przez bombowce z morza, natomiast przebycie tak olbrzymiej masy ładu przez ówczesne bombowce amerykańskie było sprawą bardzo wątpliwą. Nie wiadomo było czy one mogą w ogóle dotrzeć nad cel przebijając tak olbrzymi dystans i tak dokładnie broniory i dlatego prawdopodobnie atak atomowy byłby skierowany na szlaki komunikacyjne a więc na Polskę, Niemcy Wschodnie i Czechosłowację. My jeżeli zostalibyśmy wyzwoleni, to tylko w taki sposób w jaki wyzwala śmierć. W roku 1953 stało się rzeczą jasną, że polityka wyzwolenia jest jakąś dziwną retoryką a to za przyczyną rewolty w Berlinie Wschodnim. Wówczas Stary Zjednoczone nie przeprowadziły najmniejszego nawet pozorującego ruchu wojskowego ale jednocześnie dzięki istnieniu radiostacji "Rijas", która obejmowała swym zasięgiem całą Europę, rewolta rozlała się na całe Niemcy Wschodnie w ciągu paru godzin. Nie było w jej programach żadnego "podlegania", była tylko informacja o tym, co się stało w Berlinie Wschodnim. Stało się wtedy jasne, że administracja Eisenhowera nie udzieli żadnej pomocy wojskowej. Wówczas byliśmy już w pewnym konflikcie z polityką amerykańską. Stanowczo przeciwstawialiśmy się wszystkiemu co mogłoby z powrotem pchnąć kraj do jakiegś eksplozji. Pod tym względem istniała zasadnicza różnica pomiędzy zachowaniem się Polaków i Węgrów w Radiu Wolna Europa. Myśmy używali całego naszego wpływu, żeby powstrzymać społeczeństwo przed tym jednym krokiem za daleko, za którym była już przepaść. Natomiast Węgrzy się z nas wysmiewali: "Macie taką wspaniałą sytuację, dlaczego nie zachęćcie". Kilka godzin później okazało się, czym się to skończyło. W tym momencie definitywnie skończyła się polityka wyzwolenia. Powstała nowa doktryna. Narodziła się ona nie bez wpływu czynnika polskiego. Miała różne nazwy w różnych okresach. Z początku nazywała się ona "polityką gradualizmu", potem "ewolucjonizm" a obecnie "polityką dyferencjacji". Polityka ta polega na tym, że istnieje możliwość

pewnych zmian pod wpływem nacisku społecznego, co nie zamienia się w otwarty wybuch, a która może doprowadzić do pewnych odchyień od wzorca sowieckiego, zarówno jeśli chodzi o emancypację jak i o liberalizację wewnętrzną. Był to przykład z doświadczenia polskiego gdzie okazało się, że pomiędzy całkowitą kapitulacją i uległością, co oglądamy w Rosji Sowieckiej, a gwałtownym buntem istnieje cała gama różnych możliwości oporu, które na przykładzie Polski okazały się niezwykle skuteczne, bo Polska się bardzo poważnie odchyliła i nadal odchyła nie tylko od tego, co dzieje się w Rosji, ale także w Czechosłowacji, w Bułgarii, Rumunii czy nawet na Węgrzech. Z drugiej strony Rumunia też została w pewien sposób wynagrodzona za to, że w przeciwieństwie do kierownictwa polskiego odnowiła pełną integrację wojskowej w sytuacji wojennej, np. nie wzięta udziału w inwazji na Czechosłowację. Polityka dyferencjacji polega na tym, żeby traktować poszczególne członki Paktu Warszawskiego w Europie Wschodniej niejednolicie, tylko w sposób wyróżniający, w sposób, który popiera zmiany ewolucyjne.

Ta polityka była całkowicie zbieżna z naszymi własnymi przekonaniem, bardzo nam odpowiadała i wydawała się realistyczna. Zakładała ona działanie dwutorowe. Jeden tor to dialog z rządami, drugi tor to dialog ze społeczeństwem. Pierwszy tor obejmował te instrumenty, które wchodziły w zakres bilateralnych stosunków między Waszyngtonem a Warszawą, a więc: handel, ewentualne kredyty, wymiana kulturalna i wszystko to, co mogło stanowić przedmiot umowy z rządem. Polityka ta miała na celu "otwieranie drzwi", tzn. niedopuszczenie do tego, ażeby ten kraj był izolowany. Więc np. poza kredytami było to sprzedawanie za złotówki zboża, którego Amerykanie mają w nadmiarze. Nie było to wszystko na skalę bardzo wielką ale w moim przekonaniu miało wpływ hamujący dla rządów Gomułki, którego rząd nie byłby rządami okrutnymi. Było oczywiście masę szyszan, były wypadki procesów itd., ale w niczym nie przypominały rządów poprzednika. Drugi tor - w tym czasie - to była głównie Rozgłośnia Polska RWE, która prowadziła ze społeczeństwem dialog, oddziaływała nań, a także popierała przerzucanie do Polski różnego rodzaju druków, książek. Za moich czasów rzecz ta była w gestii Komitetu Wolnej Europy. Te dwa toru w założeniu miały być od siebie całkowicie niezależne. Jednakże w latach siedemdziesiątych czyli w okresie tzw. polityki odprężenia ("détente"/ ten drugi tor zaczął przeszkadzać pierwszemu. Krótko mówiąc już za czasów ambasadora Beama dyplomacja chciała zamknąć Wolną Europę. Był to słynny incydent. Wolna Europa przeszkadzała im w dialogu z rządem. Było już o krok od katastrofy. W czasie wizyty w Warszawie prezydenta Nixona, ambasador Beam powiedział mu: "Proszę pana ja jestem przedstawicielem Stanów Zjednoczonych, tymczasem obok mnie istnieje jakiś zespół emigrantów, który prowadzi własną politykę, na którą ja nie mam żadnego wpływu i jak ja wobec tego mam być realizatorem polityki zagranicznej?". Nixon zaś odpowiedział mu: "Panie ambasadorze, pana zadaniem jest utrzymywanie stosunków z rządem i dialog z nim. Nie mieszaamy tego z instrumentem, który musi być od Pana całkowicie oddzielony, i którego zadaniem jest dialog ze społeczeństwem". Ta zasada wówczas zwyciężyła, ale mieliśmy zawsze kłopoty ze służbą dyplomatyczną, która ma swoją "profesjonalną deformację", i która przede wszystkim stawia na dobre stosunki osobiste i urzędowe z tym rządem, przy którym jest akredytowana. W okresie odprężenia znalazły się elementy, które uważały, że my przeszkadzamy w odprężeniu i senator Fuldrine wystąpił z wnioskiem o zamknięcie radiostacji. Kongres odrzucił ten wniosek w dużej mierze dzięki wpływom Kongresu Polonii, ale także innym czynnikom takim jak związki zawodowe, kościół katolicki czy lobby żydowskie, które wcale nie były zainteresowane w tym aby zamilkła radiostacja nadająca do ZSRR. Jednakże w czasie kiedy ambasadorem był Richard Davis można było zauważyć tendencję do powolnego demontażu, która się zaczęła gdzieś w roku 1973 i która w roku 1975 doprowadziła do tego, iż ja uznałem, że nie mam zamiaru być realizatorem rozbiórki pewnego przedsięwzięcia, które pomagałem budować. To zadecydowało o tym, że w roku 1975 postanowiłem przejść na emeryturę. Nie przypuszczam wówczas, że mój osobisty przyjaciel, którego poznałem, gdy miał lat dwadzieścia pięć, prof. Zbigniew Brzeziński zostanie za rok jednym z najwyższych dygnitarzy w Stanach Zjednoczonych i natychmiast ten trend odwróci.

Polityka amerykańska wobec Polski niesłychanie uaktywniła się w związku z tym, co zaszło w końcu lat siedemdziesiątych i w okresie "S". My cierpiemy wszyscy na tzw. "polonocentryzm" czyli wydaje nam się, że Polska jest pekipkiem świata, że wzrok wszystkich jest na nas zwrócony - tak nie jest. Z perspektywy

Waszyngtonu widzi się cały świat potwornie skomplikowany, pełen najróżniejszych kryzysów i widzi się, że żaden mózg ludzki nie jest w stanie tych problemów równocześnie objąć. Z tej perspektywy Polska wydaje się czymś małym. Niemniej jednak wydaje mi się, że po pierwsze, żadne inne mocarstwo nie jest tak zainteresowane Polską jak USA, czego wyrazem jest m.in. istnienie od 35 lat rozgłośni nadającej od rana do nocy, kosztem bardzo dużych nakładów i środków. Po drugie, Stany Zjednoczone są jedynym państwem aktywnie zaangażowanym, aktywnie usiłującym rozbudować w Polsce swój wpływ polityczny, aby pomagać w stopniowej liberalizacji systemu i stopniowej emancypacji. Jest w tym pewien element idealizmu, którego zupełnie nie widzę ani w polityce brytyjskiej, niemieckiej ani francuskiej. Nie należy tego elementu wyolbrzymiać, ale on istnieje, tak samo jak nie ulega wątpliwości, że istnienie w Ameryce 8.900 tys. obywateli amerykańskich, którzy poczuwają się do polskiego pochodzenia ma swój wpływ. Grupa ta nie jest w sytuacji, w której może coś dyktować, ale szczególnie w okresach przedwyborczych, a one są właściwie permanentne w USA, ma pewien wpływ. Gdyby nie ten element idealizmu i głosów nie byłoby polityki Wilsona. Bo przecież Europa Wschodnia w tym czasie Ameryki nic a nic nie obchodziła.

Wydarzenia w Polsce w 1980 roku sprawiły, że w Waszyngtonie zdano sobie sprawę z polskiego fenomenu. Dobrze ilustruje to prywatna wypowiedź prezydenta Reagana: "Kiedy ja byłem gubernatorem Kalifornii, to ja nie miałem pojęcia, gdzie leży dokładnie Polska na mapie - tak jak prawdopodobnie 3/4 Polaków nie wie dokładnie, gdzie leży Oklahoma. Ale mnie niesłychanie zaimponował ten mały kraj, który będąc zupełnie bezbronny rzuca wyzwanie gigantowi nie mając innej broni jak odwaga i gotowej do poświęceń i on w sumie wygrywa". W tym czasie Stany Zjednoczone się uaktywniły i to nastąpiło trzykrotnie: w grudniu 1980 roku, kiedy pierwszy raz Rosja była o krok od inwazji; drugi raz w marcu 1981 roku, gdy to samo się powtórzyło; i po raz trzeci w grudniu 1981 roku po ogłoszeniu stanu wojennego. Podczas pierwszego zagrożenia inwazją Brzeziński był w Białym Domu. Były to ostatnie miesiące kadencji Cartera już po przegranej wyborczej. Brzeziński wówczas zadzwonił do mnie i zapytał, czy istnieje taka możliwość, abym przekazał do Polski sygnał do kół "Solidarność", że prawdopodobnie w ciągu 48 godzin nastąpi inwazja. Odpowiedziałem, że bezpośrednio nie, ale mogę przez kogoś, kto zadzwoni. W ciągu 20 minut ta informacja została przetelefonowana do Polski. Wówczas odbywało się tam jakieś ważne zebranie. Działacze "S" rozeszali się, ale nic nie wskazywało na niebezpieczeństwo. Niemniej z zebrania nie powrócili do własnych domów, a ulokowali się w innych mieszkaniach. Po czterech dniach dostałem informację z prośbą, abym zażył dużą dawkę waleryanu. Wówczas zwróciłem się do Brzezińskiego mówiąc, że właściwie to "zrobił mnie w konia", bo żadnej inwazji nie było. Na to Brzeziński zaprosił mnie do Białego Domu. Wtedy po raz pierwszy w życiu widziałem zdjęcia satelitarne. To było coś przerażającego. Wszystkie lotniska dookoła Polski, nie tylko w Rosji ale także w Czechosłowacji i w NRD były zajęte przez samoloty transportowe, podobno na chodzie, bo ponoć istnieje możliwość mierzenia temperatury z satelity. Wszystkie drogi prowadzące do tych lotnisk były zapchane kolumnami pięciu dwojgiz spadochronowych. Pokazywano mi jak wygląda lazaret polowy. Dokładność tych zdjęć była przerażająca. Czołgi były w szyku rozwiniętym nad samą granicą. Więc wyglądało na to, że rzeczywiście inwazja nastąpi natychmiast.

Po dwóch tygodniach oglądałem te same zdjęcia - nie było śladu. Zawdzięczamy to wszystko jednemu człowiekowi, Brzezińskiemu, który okazał w ciągu tych 48 godzin nieprawdopodobną energię. Przede wszystkim on sam - kiedy został zaalarmowany z biura operacyjnego - wrócił z Montrealu, gdzie był z wizytą u swoich rodziców, przejechał to wszystko i zatelefonował do prezydenta, to był weekend, do Camp David i powiedział: "Panie prezydencie, czy pan chce, żeby pana kadencja zakończyła się jeszcze jedną katastrofą w postaci bezkarnej inwazji Polski? Co pan proponuje?" "Zwołanie Rady Bezpieczeństwa na dwunastą". "Nie, za późno: na dziewiątą". Na tej Radzie Bezpieczeństwa zostało podjętych szereg różnych decyzji, które wprowadzali w życie Brzeziński i Muskie, jeden Polak urodzony w Polsce, a drugi Polak z pochodzenia. Zwołano konferencję ambasadorów, na której zapoznano ich z tymi przygotowaniami. Zwrócono się natychmiast do wszystkich sojuszników z NATO i było solidarne ostrzeżenie Rosji, że zapłaci b. wysoką cenę ekonomiczną i polityczną. Był telefon do Pani Ghandi, która właśnie oczekiwała wizyty Breżniewa i która - jak mi powiedziano - ostrzegła go, że jeżeli

w czasie jego pobytu nastąpi inwazja Polski, skończy się rola Indii jako kraju niezaangażowanego, bo ją to postawi w sytuacji niezwykle trudnej. Wszyscy byli w to wciągnięci i dzięki obecności tego człowieka w Białym Domu Rosjanie się wyraźnie cofnęli. To samo zostało ponowione w marcu i reakcja była podobna. Natomiast w grudniu 1981 roku były już pewne rozdziewki w łonie administracji amerykańskiej. Reagan powiedział, że dzień 13 grudnia jest najczarniejszym dniem jego pierwszej kadencji. Reagan był osobiście bardzo zaangażowany. W Radzie Bezpieczeństwa nie było Brzeziewskiego, a jego następcą Richard Allan właśnie wyleciał i nie było nikogo. Odegrał ogromną rolę człowiek, który wówczas był na niższym szczeblu, prof. Ryszard Pipes, człowiek również urodzony w Polsce, miał on bezpośredni dostęp do prezydenta USA. Reagan chciał zareagować przede wszystkim sankcjami skierowanymi przeciwko Rosji, co dokładnie odpowiadało naszym postulatom: Jaruzelski jest namiestnikiem, to co nastąpiło nastąpiło pod naciskiem Rosji, Rosja jest prawdziwym sprawcą, który posługuje się polskim parawanem. Sankcje wobec Polski miały mieć znaczenie symboliczne jako wyraz solidarności z "Solidarnością". Temu przeciwstawił się przychylny nam gen. Haig, który powiedział, że "nie możemy robić nic bez naszych sojuszników, musimy najpierw stworzyć wspólny front, a później dopiero reagować". Reagan dał mu 10 dni na stworzenie takiego frontu i zapowiedział, że po tym terminie, jeżeli sojusznicy nadal będą za sobą wleki nogi, on zrobi swoje, a oni mogą się przyłączyć lub nie. Tak się stało. Ale próba, aby zmusić Rosję do ustępstw rozbiła się o stanowisko aliantów. Reagan chciał zastosować niesłychanie skuteczne środki nacisku: wstrzymanie budowy rurociągu gazowego, który zresztą Ameryka uważała za wielki błąd strategiczny Niemiec i Francji, całkowite zablokowanie kredytów dla Rosji, bankowych i nie bankowych, i całkowitego zablokowania technologii - do tego momentu tylko technologia wojskowa podlegała ograniczeniom, a tu chodziło o zakaz sprzedaży wszelkich licencji. Te trzy środki postawiłyby Rosję prawdopodobnie wobec konieczności wyboru "mniejszego zła" i być może doszłyby w Polsce do jakiegoś kompromisu, może nawet do odbudowy "S" w jakiejś ograniczonej formie. Niestety, to wszystko się rozbiło o gwałtowny protest aliantów i jak zawsze okazało się, że w systemach demokratycznych doraźny wzgląd na zatrudnienie, głosy wyborcze i zysk jest na pierwszym miejscu przed najbardziej przekonywującymi racjami natury strategicznej. W rezultacie sankcje wobec Rosji nie mogły jej do niczego zmusić, miały charakter symboliczny, marginesowy. Jeżeli chodzi o sankcje wobec Polski, to trzeba tu odróżnić dwie rzeczy. Po pierwsze, sankcje natury marginesowej, takie jak cofnięcie prawa połowu ryb, wstrzymanie wymiary technicznej i naukowej, wstrzymanie lotów pasażerskich i drugie, niesłychanie dotkliwe: blokadę kredytową. Otóż Reagan, głównie dzięki prof. Pipesowi, wprowadził politykę, która zyskała pełne nasze poparcie. A więc: sankcje nie stanowią celu samego w sobie, muszą być elastyczne tzn. służą ratowaniu czegoś czy też mają służyć jako hamulec. Strona druga musi mieć nadzieję, że za pewne koncesje zostaną zniesione, stopniowo. Tutaj powstała polityka określana mianem "kija i marchewki". W zasadzie wysunięte zostały trzy warunki: 1/ odwołanie stanu wojennego, 2/ pełna amnestia, 3/ wszczęcie dialogu z Kościołem i "S". Ten trzeci warunek został potem nieco rozwodniony pod wpływem oceny, że Rosja bez potężnego nacisku nie zgodzi się na odbudowę "S". Pierwszym krokiem Jaruzelskiego była pierwsza amnestia i odwołanie stanu wojennego. Amerykanie b. długo zwlekali z jakąkolwiek odpowiedzią uważając, że rozwiązanie to jest oszukawcze, bowiem wprowadzone zostało ustawodawstwo, które w pewnym sensie przedłużało stan wojenny. Niemniej jednak by utrzymać wiarygodność marchewki zdecydowano się po wielu miesiącach na cofnięcie dwóch najmniej istotnych sankcji. Był to rok 1983 i po delegalizacji "S" dodano do tych sankcji cofnięcie klauzuli największego uprzywilejowania. Otóż pozwolono na połow ryb na terytorium amerykańskim oraz pozwolono na tzw. czarterowe loty czyli nieregularne loty pasażerskie, a tylko wycieczkowe. Były to ustępstwa minimalne. Warunkiem wprowadzenia tej decyzji w życie było to, że wizyta papieża w Polsce będzie miała przebieg nie zakłócony żadnymi incydentami i dostęp do Niego będzie nieograniczony.

Druga sytuacja powstała kiedy zapowiedziano drugą amnestię. Były wówczas rozważane różne opcje. Była brana pod uwagę sprawa przywrócenia klauzuli największego uprzywilejowania lub cofnięcia amerykańskiego weta uniemożliwiającego przystąpienie PRL do Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Kongres Polonii

wypowiadał się za tą drugą możliwością, z następujących powodów: samo przyjęcie do MFV nie oznacza automatycznie kredytów, jest to dość długi proces, który w zależności od Amerykanów może trwać albo bardzo krótko albo bardzo długo. Węgrzy otrzymają je po 3 miesiącach, w wypadku Polski minął już rok i na razie nie ma mowy o jakichkolwiek kredytach. A więc chodziło nam o to, że będzie to długi proces, będzie to niejako czynnikiem hamującym. Po drugie, że jest to rzecz odwracalna i po trzecie, że najskuteczniejszą dźwignią nacisku są właśnie kredyty. Pierwszym warunkiem była pełna amnestia, wówczas w więzieniach przebywało ok. 600 osób, rząd warszawski był gotów zwolnić wszystkich z wyjątkiem tzw. "jedenastki" oraz B. Lisa i P. Mierzewskiego. Amerykanie powiedzieli, że dopóki nie zwolnią "jedenastki" nie ruszą się. Wtedy zwolniono jedenastkę, bez żadnych warunków. Wówczas Amerykanie oświadczyli, że cofną swoje veto w ciągu 48 godzin od uwolnienia Lisa i Mierzewskiego, co wkrótce nastąpiło i Amerykanie wtedy wycofali swój sprzeciw. Ten proces został zakłócony przez aresztowanie conajmniej 9 ludzi wypuszczonych z amnestii, wśród nich głośna sprawa Michnika, Farsyniuka i Lisa. Ale tylko 9 zostało ponownie uwięzionych, a ponad 600 pozostało na wolności i niewątpliwie ci ludzie, którzy bynajmniej nie skapitulowali, swoją obecnością, działalnością wzmacniają opozycję. Ten cały proces został wykołejony po procesie Ks. Popiełuszki, który wywołał szereg komplikacji. Niewątpliwie to morderstwo było sabotażem tych elementów tzw. twardych i miało na celu właśnie wykołejenie tego procesu.

Ponownie sprawa sankcji wypłynęła w roku ubiegłym, kiedy ze strony rządu PRL były pewne sygnały, że oni są gotowi do jakiegoś status quo. Sekretarz stanu odniósł się do tego bardzo niechętnie, ale pozwolono jechać do Polski byłemu podsekretarzowi stanu, byłemu ambasadorowi w Warszawie później w Moskwie, niezwykle wybitnemu człowiekowi panu Shtesselowi w charakterze prywatnym, bo jego córka wyszła za Polaka i mieszka w Polsce i pan Shtessel musiał wysłuchać czterogodzinnego monologu Jaruzelskiego, a później jeszcze jednego czterogodzinnego monologu pana Czyrka, ale w czasie tej wizyty dano mu wyraźnie do zrozumienia, że amnestia nie jest problemem prawnym tylko politycznym i że rząd PRL jest gotowy do różnych ustępstw w zamian za zniesienie sankcji. W tym momencie w polityce amerykańskiej nastąpił jakiś dziwny impas. Dla nas niekorzystny. Po pierwsze, uznaliśmy za konieczne, aby wprowadzić na porządek dzienny obrad w Genewie sprawę Polski wychodząc z założenia, że skoro jest Afganistan, Nikaragua, Angola, to powinna być także Polska. Otrzymałmy zapewnienie, że sprawa polska znajduje się na tzw. briefing-book /kartkowym podręczniku dla prezydenta objaśniającym mu jakie są zagadnienia/ ale także na tzw. talking-points czyli liście spraw, które mają być poruszone. Reagan rozmawiał osobno z Gorbaczowem zaś Shultz przez cały dzień rozmawiał z Szewardnadze. Po powrocie zadzwoniłem do podsekretarza stanu d/s Europy Wschodniej i Rosji, żeby się zapytał, czy sprawa polska została poruszona. Powiedział, że jeszcze nie zna notatek prezydenta, ale za cztery dni z wielkim ubolewaniem stwierdził, że niestety nie. Prezydent postanowił prowadzić rozmowę spontaniczną, ale dlaczego sekretarz stanu pominął sprawę polską - nie wiem. Druga porażka, jeszcze przed spotkaniem w Genewie, zostały cofnięte wszystkie sankcje wobec Rosji wprowadzone po Afganistanie i po Polsce, gdzie w tym czasie miała miejsce eskalacja represji policyjnych, a w Afganistanie pacyfikacyjnych. Okazało się więc, że sankcje początkowo wymierzone głównie przeciwko Rosji, obecnie wymierzone zostały przeciwko marionetkowemu rządowi. Rodzi to niejako wrażenie, że są skierowane przeciwko państwu suwerennemu.

Wizyta Shtessela przyniosła pewne wyniki, np. zrezygnowano z procesu Wałęsy, który się właśnie zapowiadał, odroczone proces przeciwko Moczulskiemu. Zapowiedziano także, choć mgliście, amnestią.

Stary Zjednoczone były jedynym państwem, które wstrzymało się od głosu przy przyjmowaniu PRL do MFV. Wstrzymanie od głosu nie mogło zapobiec przyjęciu PRL, natomiast musiało wywołać jakieś wrażenie konfuzji i sprzeczności u przeciwnika. Jak mi powiedziano niedawno, zrobiono to po to, aby uspokoić pewne skrajne elementy w Kongresie, które nie chciały w ogóle żadnych ustępstw. Wówczas ze strony warszawskiej były przez pośredników wysyłane pewne uwertury, które składały się z sześciu punktów. Były wśród nich takie jak: pełna amnestia oraz eksperymentowanie w sprawie pluralizmu związkowego na szczeblu zakładów, o ile nie będzie tendencji do odtwarzania struktur centralnych. Nie była to oficjalna oferta, tylko przez pośredników, których można było z łatwością zdezawuować, ale faktem

jest, że takie uwertury były i nie spotkały się z żadną odpowiedzią ani "tak" ani "nie". Trwał jakiś dziwny impas, który zaczął nas niepokoić. Założeniem naszej polityki /polskiego lobby w USA - przyp. red./ jest, aby dążyć do tego, aby USA miały wpływ na bieg wydarzeń w Polsce, bo tylko wtedy my możemy mieć jakiś wpływ. My możemy działać tylko za pośrednictwem Amerykanów. Instrumentami tego wpływu mogą być z jednej strony naciski czyli problem "przehandlowania sankcji" w zamian za jakies ustępstwa i z drugiej strony kredyty.

W polityce amerykańskiej w roku 1986 zapanował kompletny impas, który wyglądał na to, że w ogóle Polska została zdjeta z porządku dziennego. Rząd warszawski uznał wówczas, że musi zrobić jakiś jednostronny krok licząc, że w zamian coś otrzyma. Wówczas - przynajmniej na podstawie informacji, które do mnie docierają - pod wpływem Kiszczaka, który robi wrażenie jedynego inteligentnego człowieka w tej całej ekipie [?], doszło do jednostronnej amnestii. Oczekiwano na odpowiedź. Nasze stanowisko wyglądało w następujący sposób: sankcje nie stanowią celu samego w sobie. Sankcje, które byłyby czymś permanentnym prowadzą do permanentnej izolacji kraju oraz przyczyniają się do katastrofy gospodarczej, która wydaje się nieunikniona. W związku z tym domagaliśmy się, aby te dwie pozostałe, symboliczne sankcje zostały zniesione. Trzeba pamiętać, że przywrócenie klauzuli największego uprzywilejowania bynajmniej nie oznacza, że na drugi dzień Polska odzyska rynek amerykański. To jest kwestia co najmniej 3 lat. Tak samo dotyczy odmożenia kredytów. Zniesienie tej sankcji wcale nie oznaczało, że USA będą udzielały Polsce kredytów państwowych. W myśl obowiązującego prawa Stary Zjednoczone nie mogą Polsce udzielać kredytów, ponieważ nie zostały spłacone poprzednie. Pozostała więc tylko jedna dźwignia nacisku, a więc kredyty z MFV i Banku Światowego. Ponadto sankcje stały się mitem propagandowym w rękach rządu warszawskiego, który usiłuje zrobić z tego wielką sprawę i przerzucić odpowiedzialność za własną nieudolność na Stary Zjednoczone. Trzeba więc ten instrument z ręki wytrącić. Dlatego staliśmy na stanowisku, że należy te dwie pozostałe sankcje znieść bezpośrednio po amnestii, aby nie oznaczało to zmiany polityki, a jedynie odpowiedź na amnestię. Niestety to nie nastąpiło. W tym czasie politycy amerykańscy byli zajęci sprawą Daniloffa i sprawą szczytu w Islandii. Nie można było doprowadzić do żadnej decyzji.

Pierwsze zebranie w sprawach polskich miało miejsce 27 września i trwało pół godziny. Nie zakończyło się w zasadzie żadną decyzją poza tą, że należy wznowić dialog.

My zajmujemy stanowisko takie: macie rację, że jesteście ostrożni, sparzyliście się w roku 1984, kiedy to po amnestii nastąpiły kolejne represje. Shultz powiedział: "Kiedy mnie ktoś oszuka raz, to wina oszusta ale jeżeli zostaną oszukani przez niego po raz drugi, to już moja wina". Ale wówczas należy określić ile ma trwać kwarantanna i należy określić na jakich warunkach ma nastąpić to symboliczne posunięcie. Tymczasem na żadne z tych pytań nie odpowiedziano.

Ponadto pozbycie się tych sankcji stanowiło ważny efekt propagandowy. Nadal jako środek nacisku pozostały kredyty. Należy pamiętać, że Jaruzelskiemu nie zależy na niczym innym jak tylko na utrzymaniu się przy władzy jak najmniejszym kosztem i budowaniu własnego wizerunku. Kredyty udzielane przez MFV w odróżnieniu od kredytów "przedwojennych" są obwarowane bardzo rygorystycznymi zastrzeżeniami i prawdopodobieństwo ich znamotrawienia jest stosunkowo niewielkie. Kredyty także powinny być warunkowane politycznie przez rząd USA. Amerykanie powinni powiedzieć: uzależnimy nasze poparcie dla waszych starań o kredyty od dalszych postępów dialogu w Polsce i jakikolwiek powrót do kursu represyjnego zmieni nasze stanowisko. Celem tej polityki jest utrwalenie sytuacji jaka powstała po amnestii. Nie chodzi tylko o samą amnestię, chodzi o to, że jest w tej chwili niechętna tolerancja dla działalności niezależnej zarówno w podziemiu jak i nad ziemią. Jeżeli jest ok. 600 pism, jeżeli, podobno, ukazuje się jedna książka dziennie, jeżeli ludzie mogą rozmawiać z dziennikarzami zachodnimi, odbywać konferencje, występować z jawnymi oświadczeniami i pod swoimi nazwiskami pisywać, a jest tylko 14 więźniów, t. jest to pewna tolerancja.

W obecnej sytuacji powrót do kursu represyjnego jest mało prawdopodobny. Z jednej strony warunkuje to katastrofalna sytuacja gospodarcza, a z drugiej Jaruzelski musi zdawać sobie sprawę, że wówczas - raz na zawsze! - straciłoby na Zachodzie jakakolwiek wiarygodność.

Niniejszy tekst został wygłoszony przez Jana Nowaka w 1987 roku w Sztokholmie podczas spotkania z miejscową Polonią. Obszerne fragmenty wystąpienia Jana Nowaka spisaliśmy z taśmy magnetofonowej. Tekst nieautoryzowany. /red./.

W BIEŻĄCYM ROKU NAKŁADEM WYDAWNICTWA METRUM

UKAZAŁY SIĘ:

Mirosław Andrzejewski	- Zbiorek
George Orwell	- 1984
Cezary Kaźmierczak	- Z notatnika psychopaty
Metrum, kwartalnik nr 1	
Marugeritte Duras	- Kochanek
Józef Czapski	- Na nieludzkiej ziemi
Książeczka wojskowa /antologia wspomnień z LWP/	
Anna Achmatowa	- Requiem

W druku lub tłumaczeniu bądź opracowaniu redakcyjnym znajdują się następujące pozycje:

Henryk Wereszycki	- Historia polityczna Polski 1864 - 1918
George Orwell	- Eseje
Zygmunt Krasiński	- Memoriały polityczne
Aleksander Hertz	- Wódz i jego drużyna
Jerzy Geresz	- Zaczęło się od happeningu...
Hanna Arendt	- Wybór esejów
"Kontakt"	- Wybór artykułów z 1987 roku
Christian Mellon	- Chrześcijaństwo wobec wojny i pokoju

oraz kolejne numery "Metrum"

BOGDAN USOWICZ

KONSERWATYZM PO POLSKU

"Vetera novis augere" oznacza przeszłość, która kształtuje teraźniejszość. Ta sentencja papieża Leona XIII dobrze, jak się wydaje, charakteryzuje samą istotę konserwatyzmu. Odwołanie się do tradycji oraz wybór z niej wartości uznanych za słuszne, sprawdzone i godne kontynuacji, czyli właśnie konserwacji jest działaniem typowym dla przedstawicieli tego kierunku. Prezentacja myśli konserwatywnej wydaje się też sensowna ze względu na jej renesans w uprawianiu refleksji politycznej w kręgu prawie całej kultury europejskiej. Do kultury europejskiej zaliczamy nie tylko kraje starej Europy, ale i te państwa, które

wstawiały na bazie jej zasadniczych idei, jak choćby Stany Zjednoczone. Fala konserwatywnego zwrotu nie ominęła także naszego kraju. Jak pisze jeden przedstawiciel młodszego pokolenia tego kierunku - Jacek Bartyzel: "Szczególnym nakiem czasu" życia politycznego współczesnej Polski jest renesans myśli awicowej. Wolno przypuszczać, że zjawisko to, gdy stanie się powszechnie doczne dla obserwatorów zagranicznych, będzie kolejną - po patriotyczno-religijnym charakterze ruchu "Solidarność" - niespodzianką sprawioną przez Polaków" "Polityka Polska" 9/1987 Warszawa/.

Fenomen ten został także zauważony przez jednego z "wierzących" marksistów są i tacy/ prof. Jana Kurowickiego. Na spotkaniu Klubu Wolnej Myśli /ateistyczni sioni?/ we Wrocławiu wymienił on szereg cech mających się jakoby składać na jawisko renesansu konserwatywnego. Były to m.in. zahamowanie awansu klasowego, sentymenty współczesnej inteligencji, umacnianie swojej pozycji biurokracyzm, łpowski rodowód klasy robotniczej, wpływ inteligencji post-ziemiańskiej i jwne fantastyczne pomysły. I ja tam byłem i ... ze smutkiem musiałem skonstatować, że cała złożoność problemu została zepchnięta na koniec do wspólnego worka tywersji antysocjalistycznej", czy też czegoś podobnego. Na nic nie zdały e próby dyskusji. Jedyny piąnyąc z niej wniosek mówi o ubóstwie marksistowskiej alizy. Wyszedłem z niesmakiem i obietnicą daną sobie, że nigdy więcej na xdbną imprezę się nie wybiorę. Czasami jednak skłonności sado-masochistyczne torą górę, co miało miejsce i w tym przypadku.

Istotną sprawą dla nas jest jednak zauważenie samego faktu pojawienia się jawiska neokonserwatywnego także przez partyjnych ideologów. Skoro więc głosi i temat tego fenomenu są słyszalne z tak różnych stron, warto przyjrzeć się memu zjawisku. Poniżej przedstawimy główne zasady ideowe myśli konserwatywnej raz postaramy się o rekonstrukcję jej recepcji w Polsce.

I. Próba definicji

Zacznijmy ją od bardzo istotnego rozróżnienia pojęcia konserwatywnego. Występują za podstawowe rozumienia tego terminu:

A. Skłonność do zachowania istniejącego stanu rzeczy w danej dziedzinie, cha psychologiczna, dyspozycja. Może ona wynikać np. z pobudek utylitarnych konserwowania, czyli zachowania władzy, korzyści itp. PZPR stanowiła w jakim rozumieniu nie tylko kierunek konserwatywny, ale wręcz betonujący status o. Wspomniany Kurowicki, mówiąc o konserwatywnym biurokracji, ma na myśli jakie właśnie rozumienie tego terminu, przez co dokonuje nieuzasadnionego pomieniania płaszczyzn refleksji. Podobnie można mówić o np. konserwatywnie starszego okolaniam, jako o pewnej dyspozycji psychicznej wynikającej z faktu uznania zasów własnego dojrzewiania za pewien wzorzec pozytywny.

B. Konserwatywnym jako kierunek myśli politycznej - termin interesujący nas dalszych rozważaniach.

Podobnego podziału dokonuje też Hugh Cecil, proponując rozróżnienie pomiędzy racyonalizmem /owa skłonność psychologiczna/ a właściwym konserwatywnym. Cecil, jak się wydaje słusznie, zauważa możliwość istnienia tutaj wzajemnych iliacji. Tradycjonalizm może bowiem stać się czynnikiem nadającym spójność, macniającym tendencje recepcji idei konserwatywnych w procesach społecznych. że on sprzyjać pewnej szczególnej formie doświadczenia związanej z pozytywnym astawieniem do tej myśli. Ilustrować tę tezę może np. powstanie refleksji achowawczej w Galicji. Trafiła ona na podatny grunt po nieudarym zrywie powstaiowym i była związana z niechętnym stosunkiem społeczeństwa do wszelkiego adykalizmu. Doświadczenie klęski skłoniło ku tradycjonalizmowi, a ten z kolei odulował akceptację idei głoszonych przez "stańczyków".

Trudno jednak, zwłaszcza w odniesieniu do krajów zachodnich, mówić o powstaniu orzystnej tendencji do rozwoju zasad konserwatywnych. Chodzi tu raczej o historyzne zjawisko falowania idei. Tym niemniej zwrot konserwatywny w świecie zachodnim est faktem. Dokonało go np. społeczeństwo amerykańskie, gdzie liczni intelektualiści - dawniej podpora amerykańskiej lewicy, przeszli na pozycje konserwatywne wręcz wzorcowym przykładem może być M. Novak/. Partiami rządzącymi są konserwawcy w Wielkiej Brytanii /torysi/, za konserwatywne w szerokim sensie uznaje ię też partie chadeckie w RFN i we Włoszech. Konserwatyści posiadają też duże raczenie w życiu politycznym Japonii /Partia Liberalno-Demokratyczna/.

Podział na konserwatystów i liberałów nie pokrywa się zresztą z przynależnością partyjną; i tak np. w USA znaleziono konserwatystów zarówno wśród republikanów, jak i demokratów. Zatwardziały liberał Leopold Tyrmand identyfikował się po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych z konserwatystami. Nazwy mogą być więc często mylące. Dlatego też warto przyjrzeć się temu, co przyjęło się nazywać konserwatyzmem.

Definicja samego kierunku właściwie nie istnieje. Sam termin uzyskał swoje polityczne znaczenie w wieku XIX za sprawą Chateaubrianda, zaś w Anglii nadał mu odpowiednią konotację wspomniany Lord Cecil. Za twórcę konserwatyzmu uważa się powszechnie E. Burke'a, który wymienił cały szereg cech charakterystycznych dla tego kierunku. Najważniejsze z nich to: uznanie wartości religii, krytyka politycznych i społecznych reform krzywdzących jednostkę, krytyka hasła rewolucji i postulatów równości, akceptacja prawa własności jako niezbędnej dla dynamizmu społecznego, pojmowanie społeczeństwa jako organizmu żywego, tajemniczego, nie mieszczącego się w koncepcjach mechanistycznych, uznanie ciągłości pomiędzy przeszłością i przyszłością z wynikającym z niej postulatem przemian społecznych na drodze ewolucyjnej.

Powyższe elementy stanowią szkielet "konserwatyzmu wzorcowego", pewnej matrycy, która przykładana do wyznawanych poglądów pozwala je identyfikować /lub nie/ z tym kierunkiem. Brak niektórych z wymienionych tu cech wcale nie musi dyskwalifikować kogoś jako konserwatysty; i na odwrót np. L. Kołakowski akceptujący niektóre idee z tego kanonu /"Jak być konserwatysto-liberalnym-socjalistą"?/ wcale doń nie przynależy. Dlatego zaznaczyliśmy, że poglądy Burke'a stanowią jedynie pewien "szkielet", klasyfikacji zaś możemy dokonać dopiero po uzyskaniu odpowiedzi na pytanie: "co trzeba konserwować?". Zachowawca odpowie - Religię, Etykę, Tradycję i Autorytet. Są to tzw. "zasady pierwsze" życia społecznego wyjaśniane przez sankcję boską. Pozostałe wartości uzasadnia się przez ich legitymizację historyczną.

Przyjrzymy się teraz wybranym elementom konserwatywnego credo i temu co się na ten polityczny kierunek składa.

II. Problemy konserwatyzmu

A. Religia. Jest uznawana przez konserwatystów za podstawową wartość i zasadę funkcjonowania cywilizacji europejskiej. Mocnej podbudowy teoretycznej dostarczyły tu poglądy Polaka - F. Konecznego, który dokonując analizy porównawczej poszczególnych typów cywilizacji pośrednio akcentował wpływ religii na ich różnicowanie. Neutralność aksjologiczna badacza nie przeszkadzała mu sympatyzować z cywilizacją łańską. Obok Konecznego trzeba wymienić także Znanięckiego /"Upadek cywilizacji Zachodniej"/ oraz Zdziechowskiego jako tych, którzy uzasadniają wartość religii dla życia społecznego. Stanowią oni dość bliskie źródło współczesnego neokonserwatyzmu polskiego. Wydobyty z twierdzy zapomnienia Zdziechowaki, skazany przez wiele lat w PRL na wydawniczy niebyt, zawdzięcza swój benefis takim autorom, jak Król, Karpiński, Bartyzel, których opcja na rzecz konserwatyzmu zdaje się nie ulegać wątpliwości.

Myśl zachowawcza upatruje w światopoglądzie religijnym opokę porządku społecznego i państwowego, sprzeciwiając się tym samym sprowadzeniu religii do sfery prywatności i wyłączenia jej z życia publicznego. Oceniając pozytywny stosunek konserwatystów do sojuszu "ołtarza i tronu" nie należy zapominać o głębszej, filozoficznej, a nawet historiozoficznej podbudowie ich poglądów.

B. Sens historii. Według konserwatysty ludzkość nie posiada jakiegos ostatecznego celu dziejowego, nie dąży do realizacji "ziemskiego raju", czy bezklasowego społeczeństwa powszechnej równości i szczęśliwości. Wszystkie te utopie starają się wtłoczyć społeczeństwo w ramy wcześniej ustalonych planów. Recepta na szczęście ludzkości tymczasem nie istnieje. Zniesienie jakichś instytucji czy form nie zapewni społecznej pomyślności. Kto tak uważa, łatwo może stać się despotą. Historia nie posiada swoich ostatecznych celów. Wynika stąd odrzucenie postawy PROROKA /poszukiwanie celu/. Równie obca konserwatystom jest jednak i postawa SCEPTYKA /brak sensu dziejów/. Antynomii tej pozwala uniknąć odwołanie się do sfery wartości i kultury, przez którą te wartości się manifestują. Momenty realizacji wartości są momentami nadawania sensu historii.

C. Tradycja. Jest ona uważana za źródło zasad i praw życia społecznego.

Zasadami tymi nie są wg konserwatystów formy oparte na racjonalizmie, skonstruowane rozumowo /sztucznie/ i uznane za najlepsze. Tradycja dotyczy dziedzin życia narodowego /warunek wytworzenia się narodowości/, rodzinnego i cywilizacyjnego /przechowywanie podstawowych wartości i zasad funkcjonowania cywilizacji europejskiej/. Stąd m.in. wynika antyradykalizm, warunkowa akceptacja tego co nowe, uzależniona od niesprecyzności "nowego" z podstawowymi elementami kultury oraz prymat ewolucji względem zmian typu rewolucyjnego. Wybór tradycji i motywy tego wyboru decydują o konkretnym kształcie konserwatyizmu.

D. Etyka. Postulat włączenia etyki w poczet życia publicznego nie wydaje się niczym zaskakującym. Oprócz komunistów, którzy za etyczne uważają to, co służy interesom Partii, prawie wszyscy politycy powołują się na ideę służby społeczeństwu. Począwszy od przypadku senatora Haarta, którego kontakty pozamałżeńskie stały się przyczyną rezygnacji z kandydowania w wyborach prezydenckich, a skończywszy na przykładach zarzutów niemoralności stawianych działaczom opozycji w PRL przez władze /skryna sprawa Wałęsy w TV/ uwidacznia się, jak silnie w świadomości społecznej te dwie dziedziны - polityka i etyka - się z sobą złączają. Nawet tacy immoralisci polityczni jak komuniści starają się za wszelką cenę zdyskredytować moralnie swoich przeciwników. Co ciekawe odwołują się przy tym do powszechnie wyznawanych wartości etycznych. Jak zauważył gdzieś M. Kundera, opisując zjawisko ogłaszania przez publikatory po 1968 r. prywatnych różnów opozycjonistów z zawartymi w nich przekleństwami, ci sami ludzie, którzy na co dzień nie umieją powiedzieć jednego zdania bez leksykalnej dosadności, słuchając tego w radiu - wyrażają irracjonalne oburzenie. Jest to wyraz oczekiwań od polityka doskonałości moralnej. Z drugiej strony jakże często pada zarzut formułowany pod adresem polityki, że jest ona czymś "brudnym". Powszechności tego przekonania nie trzeba chyba nawet ilustrować.

Ta przydługa dygresja pozwala lepiej zrozumieć rolę Kościoła, jaką przypisują mu konserwatyści w dziele umacniania prawidłowych relacji społecznych. Instytucja ta, obok zadań szeroko pojętej pedagogiki, jest przecież podstawowym oparciem dla ideałów moralnych. Stosunek do etyki i religii jest też momentem zasadniczej różnicy pomiędzy myślą konserwatywną i liberalną. Liberalowie opowiadają się za sprowadzeniem roli religii do życia prywatnego, zaś konserwatyści, jak już powiedzieliśmy wyżej, widzą jej istotny wkład w życie społeczne. Także w ekonomii większość współczesnych konserwatystów, pomimo że podziela liberalną zasadę wolnej konkurencji /lesseferizm/, to jednak opowiada się za wprowadzeniem do wolnego życia gospodarczego pewnych hamulców etycznych. Bliżsi solidaryzmowi społecznemu wyjaśniają problem własności prywatnej jako prawo do zarządzania i szafowania posiadaniem dobrem, co znacznie się różni od liberalnego prawa przede wszystkim "używania" tych dóbr.

E. Elity. Uformowanie się elit jest jednym z kierunków i celów działania konserwatystów. Chodzi tu o elity polityczne, które miałyby wychowywać do np. właściwego korzystania z zasad demokracji. Elita ma wytworzyć pewne tło moralno-intelektualne, w którym spory ideologiczne będą toczyły się w sposób adekwatny dla społeczeństwa demokratycznego. Ma ona zapewnić nie tylko podniesienie ogólnej kultury politycznej, ale i ustrzec społeczeństwo przed zagubieniem się wśród propozycji poszczególnych partii. Status moralno-intelektualny elity ma także chronić przed demoralizacją osoby sprawujące władzę.

III. Konserwatyzm w Polsce

Spróbujemy teraz omówić w ogólnych zarysach przyczyny pojawienia się polskiego neokonserwatyizmu w skali zauważalnej dla życia politycznego oraz przedstawić niektóre ze środowisk identyfikujących się z tym kierunkiem.

A. Moda czy trwały powrót?

Jak powiedziano, zwrot ku neokonserwatyzmowi na Zachodzie da się wyjaśnić falowaniem idei. Ciekawej analizie dostarcza w tym miejscu A. Hertz w "Szkicach o ideologii". Chociaż zjawisko, o którym mówi, jest właściwie tradycjonalizmem /zob. wcześniejsze wyjaśnienie terminu/, to jednak w skłonności do jego akceptacji zawiera się częściowe wyjaśnienie popularności m.in. rządów Teatcher i Reagana. Hertz pisze: "Konserwatyzm jako zjawisko światowe, wynikające z akceptacji takiego a nie innego rozwoju cywilizacji, w której się uczestniczy, powoduje stopniennie ostrą radykalizację, rewolucyjność. Nawet komuniści /tam, gdzie są

siłą realną np. w Italii/ - charakteryzują się ostrożnością swoich sądów i nie są skłonni do posunięć radykalnych".

Afirmatywnego stosunku do rzeczywistości nie można jednak przenieść na psychikę Polaka końca lat 80-tych. Renesans konserwatywny w Polsce ma dwojakie przyczyny. Zewnętrzne - będące częścią zjawisk ogólnoswiatowych oraz immanentne, wynikające z przebiegu pewnych procesów społecznych w naszym kraju. Tych drugich można by wymienić kilka. Duże zasługi położyła sama komuna, która tak obrzydziła ludziom życie, że zniechęciła ich do wszystkiego, co podpada pod kategorię lewicy. Stąd paradoksy, że robotnik staje się prawicowcem, zaś potomek lubomirskich zasiada w rządzie. Po drugie sytuacja klęski i niejasność bliskiej perspektywy zmian skłania ku poszukiwaniom nowych rozwiązań politycznych /casus M. Króla i "Res Publici"/. Po trzecie konserwatywny istniał w Polsce przez długie lata, teraz jedynie zaś znalazł swoje rozwinięcie /wspomniana sytuacja klęski - b.daleka, ale zawsze, analogia do stańczyków/. Rok 1980 przyniósł z sobą m.in. rozwój myśli politycznej. Odkryto /przyspieszono ten proces/ źródła konserwatywny, rozbudowano zainteresowanie tradycją. Nie bez wpływu pozostaje też wzrost roli Kościoła katolickiego w życiu społecznym naszego kraju. Dodajmy, na co zwrócił słuszną uwagę P. Wierzbicki w "Myślach staroświeckiego Polaka", że od momentu utrwalenia się "ludowej władzy" nastąpił proces zniszczenia bądź deformacji całej myśli prawicowej. Likwidacji uległo zaplecze konserwatywny. Nie wznawia się pewnych ksiązek, nie wydaje innych. Uniwersytety zostają opanowane przez różnej maści socjalistów lub sympatyków. Stamtąd wyszli "rewizjoniści". Naturalne zaplecze konserwatywny zostało zniszczone. By mógł on powrócić na polityczną mapę Polski, musiał odrodzić się z popiołów, co znacznie przedłużyło okres jego rozwoju. Na prawicy znaleźli się ludzie o często niższym statusie społecznym niż opozycja lewicowa. Proces formowania się i kontynuacji kierunku konserwatywny trwa nadal. Dokonany wysiłek intelektualny świadczy, że zjawisko to nie jest jedynie efemerydą, lecz że neokonserwatywny staje się trwałym elementem działań części społeczeństwa, którego wielkość będzie można określić dopiero po przeprowadzeniu w tym kraju wolnych wyborów.

B. Wokół programu

W sferze działań praktycznych konserwatysta będzie podejmował wysiłki na rzecz obrony wielowartościowego świata kultury. W programie tym są zawarte takie elementy, jak: walka o autonomię kultury i sztuki, sprzeciw wobec wszelkich form totalitarnych, opowiadanie się za wielością i różnorodnością polityczną, społeczną i narodową oraz kierowanie się wartościami chrześcijańskimi jako źródłem pewności moralnej. Myśl polityczną konserwatywny cechuje realizm działania, tj. podejmowanie go ze względu na wyniki analizy rzeczywistości, nie zaś ze względu na założony wcześniej cel /doktrynerstwo/. Konserwatywny jest "myśleniem państwowym", zajmującym się takimi problemami, jak sposoby wyłaniania elit, ustrojem, problematyką międzynarodową, błędami ustrojowymi, ogólnymi zasadami życia gospodarczego.

Ponieważ wartości narzucone po II wojnie światowej w Polsce nie nadają się do konserwacji, konserwatyści w naszym kraju stoją przed dylematem: jak uprawiać "myślenie państwowe" unikając przy tym zaprzaństwa i legitymizacji ustroju komunistycznego? Czy można w PRL na drodze manewrów politycznych /ewolucyjnych/ stwarzać warunki sprzyjające niepodległości? Czy poza uprawianiem "stylu konserwatywnego myślenia" /działań formacyjnych, ideotwórczych, wychowawczych/ można realnie wpływać na losy kraju? Polityka konserwatywna powiodła się w Galicji, gdzie istniało minimum wolności dla działań typu politycznego. W innych zaborach polityka ugodowa prowadziła często do zdrady i zaprzaństwa. Jak dotąd koło młyńskie realnego socjalizmu jedynie "gruchotało kości" próbując uprawiać własną politykę w oficjalnych strukturach lub w ramach "urawników" wyrzucało na brzeg, gdzie budzono się z ręką w nocniku... Nie oznacza to jednak, że w dobie jakiejś "pierestrojki" PRL nie będzie się działo inaczej. Pozostają także działania w sferze kultury, teorii polityki, państwa itp. Casus M. Króla i wydawanego oficjalnie pisma "Res Publica" jest jednym z ciekawszych eksperymentów ostatnich lat.

C. W podziemiu i na wierzchu

Nim dokonamy krótkiej prezentacji pism i ugrupowań, które można /przy wielu zresztą zastrzeżeniach/ identyfikować z konserwatywnem, przedstawimy rys historyczny rozwoju tego kierunku na ziemiach polskich.

Przed 1914 myśl zachowawczą reprezentowało Stronnictwo Prawicy Narodowej w Galicji oraz Stronnictwo Polityki Realnej w zaborze rosyjskim /pismo "Kraj" wydawane w Petersburgu/. W okresie międzywojennym istniały tylko luźne grupy konserwatystów. W Wilnie tzw. "grupa żubrów", skupiona wokół "Słowa" St. Cate Mackiewicz. W Krakowie Stronnictwo Zachowawczo-Monarchistyczne /Morawski, Plater/. Próby utworzenia partii konserwatywnej nie powiodły się. Polscy konserwatyści byli na ogół zwolennikami monarchizmu. Wynikało to z przeniesienia tradycji Austro-Węgier w okres międzywojenny i pozytywnej oceny systemu politycznego C.K. Taką pozytywną ocenę przyniósł np. do Wilna, działający wcześniej w Krakowie, prof. M. Zdziechowski /nota bene po zamachu majowym kontrkandydat prof. Mościckiego na stanowisko prezydenta państwa/.

Staby rozwój myśli zachowawczej na gruncie polskim był spowodowany brakiem własnej państwowości. Tradycja "stańczyków", którzy wykorzystywali pole manewru politycznego niesprzecznego z racjami niepodległościowymi czy Hotelu Lambert we Francji, gdzie ks. A. Czartoryski mógł w takim duchu uprawiać politykę międzynarodową, nie znalazły wielu naśladowców. Co ciekawe na podobne trudności natrafili w Polsce rozwój liberalizmu. Hasło "wolności" w okresie zaborów było utożsamiane z działaniami głównie niepodległościowymi i tylko w daleki sposób nawiązywało do swojego odpowiednika w krajach zachodnich.

Po II wojnie światowej najwcześniej idee konserwatywne podjął "Tygodnik Powszechny" i związana z nim grupa osób. Motywy tego kierunku są obecne w publicystyce krakowskiego pisma. Należy do nich m.in. obrona roli jednostki w procesie kształtowania dziejów, odwołanie się do roli i znaczenia różnych tradycji oraz znaczenia ich ciągłości w formowaniu się postaw współczesnych. Dalsze dzieje rozwoju myśli konserwatywnej zaszczepiają się z dziejami i rozwojem opozycji demokratycznej. W 1979 roku zaczyna się ukazywać "Res Publica" i niektóre inne pisma poszukujące korzeni ideowych. W tymże to roku pojawia się Ruch Młodej Polski i pismo tego ruchu "Bratniak". Zainteresowania intelektualne J. Bartyzela - publicysty m.in. "Bratniaka" idą świadomie w kierunku neokonserwatyizmu, łączy go z nim także pewien styl uprawiania refleksji. Zespół "Polityki Polskiej" kontynuujący w pewien sposób linię ideową RMP /"PP" powstała już po Grudniu 71/, przez podjęcie m.in. takich problemów jak geopolityka, moralność sprawowania władzy, rola Kościoła w życiu społecznym, nawiązanie do zasad ogólnocywilizacyjnych Europy itp. dokonuje w wielu momentach swojego programu opcji na rzecz wyborów typowo konserwatywnych. Jednak w publicystyce tych pism równie silnie występuje wątek odwołujący się do idei narodu. Podobnie, tylko częściowo konserwatywnym, można nazwać pismo założone przez J. Korwin-Milkego "Stańczyk" /mimo podtytułu "pismo konserwatywno-liberalne"/, ponieważ akcent jest tu wyraźnie przesunięty na rozwiązania typu liberalnego. "Myślenie państwowe" charakteryzuje /obok przede wszystkim "Res Publici" i "Polityki Polskiej"/ niezależne pismo "Głos" i jego lidera A. Maciarczewicza. W kierunku wyborów neokonserwatywnych podąża też pismo "Kurs". Przeważa tutaj jednak charakter literacki tego periodyku i w związku z tym lepiej mówić o polityce wydawniczej ukierunkowanej na czytelnika konserwatystę - książki Soriana, Friedmanów. Listę tę można by jeszcze przedłużyć o wiele nazwisk /np. W. Karpiński, P. Wierzbicki/ i tytułów /np. nowe pismo, którego pierwszy numer leży przede mną jeszcze "ciepły" - "Myśl", kontynuująca, jak się wydaje, idee narodowej demokracji, ale i nie bez odniesień typowych dla konserwatyizmu/. Pragnę jednak ustrzec się przed tym klasyfikowaniem i przydzielaniem etykietek wypada naszą listę zamknąć. "Co to jest koń każdy widzi" i mam nadzieję, że rozumiejąc podstawowe idee charakteryzujące myślenie konserwatywne - a prezentacja ich była motywem napisania niniejszego artykułu - uważny czytelnik potrafi odnaleźć je w niektórych pismach sam.

Bogdan Usowicz

POCHWAŁA REWIZJONIZMU

Od redakcji:

Poniższy tekst powstał latem 1981 roku. Złożony w redakcji jednego ze stołecznych tygodników i zakwalifikowany do druku /rzecz jasna po skrótach/, przeleżał w redakcyjnej szufladzie do 13. grudnia. Publikujemy ten szkic pod nagłówkiem "Świadectwa" - wprawdzie o dezaktualizacji mowy być tu nie może, ale wiele w nim śladów tamtego czasu. Przede wszystkim sporo ówczesnej naiwności, ale też - dobrej woli.

"Godzi się, by śmiertelny śmiertelne,
nie zaś nieśmiertelne myśli rodził".

/Epicharm z Kos/

Wyjdźmy od banalnego spostrzeżenia: skoro coś nie działa tak jak powinno, próbujemy to naprawić; skoro z czegoś niezbyt jesteśmy zadowoleni, próbujemy to zmienić. Jeśli dom, w którym mieszkamy, zaczyna się walić, staje się dokuczliwie dysfunkcyjny czy też - co wpisane jest w ludzką naturę - najwycześniejszą przestaje nam się podobać, najczęściej robimy wówczas jedną z dwóch rzeczy /w zależności od wielkości kapitału, jakim dysponujemy/ - albo decydujemy się na remont /by próchno nie sypało nam się na głowę, by brudne ściany nie utrwały turpistycznych nawyknień, by wreszcie dobić się sanitariatów itd./, albo decydujemy się na zburzenie starego domu i zafundowanie sobie nowego. Wyjście trzecie, a więc bezczynne wyczekiwanie na cud, czytać trzeba bądź jako objaw skrajnej nędzy i wywołanej nią niemocy, bądź daleko posuniętej indolencji gospodarza. Dotąd wszystko, jak sądzę, jest proste i chyba do bezdyskusyjnego przyjęcia. Ale dotąd było o sprawie myślowo jednorodnej, będącej bez reszty domeną kalkulacji, najprostszymi ekonomicznymi wyliczeń. Kłopoty zaczynają się wówczas, gdy ten schemat rozmowania zechcemy przenieść na sferę mniej namacalną, wprawdzie również podległą kalkulacji, ale nie tylko do niej się ograniczającą. Mogą to być duże kłopoty, gdy z naszym /nie przeczę, może i donorosłym/ naprawiectwem zapagniemy przybrać się do któregoś z myślowych systemów, szczególnie - co nie daj Boże - pełniących funkcje ideologiczne czy polityczne. Ani się wówczas obejrzmy, jak ze zwolennika i entuzjasty staniemy się wrogiem, a wyznawcy - odszczepieńcem; jak nam przyczepią brzydkią etykietkę "rewizjonista".

Pojęcie "rewizjonizm", wywodzone z końca XIX wieku i niemal na stałe skojarzone z osobą Bernsteina, przewdźniaw karierę-zrobiło dopiero w wieku XX. Jest więc pojęciem historycznym i historycznie obciążonym. Burzliwe dziesięciolecia naszego wieku, zdominowane ostrą walką polityczną i pod jej dyktando przebiegające, przyniosły taką masę jego wcieleń, że z czasem definiowanie "rewizjonizmu" przez wskazanie stało się niemal niewykonalne; z określenia w miarę precyzyjnie charakteryzującego nurty obce marksizmowi wyrodziło się w workowatą etykietę, niewiele dziś znaczącą, za to emocjonalnie tak wyraźnie, wręcz dosadnie zarysowa-

na, iż będąca wprost wymarzoną młotkiem do bicia wszystkiego i wszystkich, który choćby w drobniaczkach odbiegała od oficjalnej wykładni doktryny, zresztą niezależnie czy odbiegała w lewo, czy w prawo. Abstrahując od meandrycznych losów pojęcia, ograniczę się tu jedynie do przytoczenia pewnego zestawu wyrażeń, w kontekście których pojęcie to zwykle było używane: nurty liberalno-burżuazyjne, kosmopolityzm, reakcja klerykałna, prawicowy i lewacki /pseudolewicowy/ oportunistyczny, awanturnictwo, nihilizm, antyrewolucyjność, antyproletariackość, antysocjalizm, siły drobnomieszczańskie. Trudno się dziwić, że pojęcia "rewizjonizm" i "rewizjonista" stale używane w takim polu semantycznym budziły i nadal mogą budzić uczucia tylko jednoznaczne - stały się synonimami zła i wroga.

Przecierając szlaki marksizmu w Polsce, Stanisław Ossowski już w roku 1947 wskazywał na pewne czynniki, które rozwój jego ograniczają. Pośród nich znalazła się właśnie skłonność do sformułowań myślowo pustych, za to uczuciowo przeładowanych, nacelowanych głównie na wyrobienie w czytelnika pewnych stałych reakcji emocjonalnych. Skłonność tę traktował autor jako symptom zjawiska o wiele szerszego - irracjonalności postaw religijnych na teren marksizmu. Przejmowanie pewnych pojęć właściwych dla systemów religijnych /takich jak: sekciarstwo, ortodoksja, herezja/, wprowadzanie pokrewnych im terminów nowych /typu: rewizjonizm, odchylenie/, uznał Ossowski za oznakę niczym nie uzasadnionych obaw i przekonań - "obawy, że naruszenie doktryny, chociażby w sferach ściśle teoretycznych, może osłabić zwartość organizacyjną ruchu robotniczego; przekonania, że odchylenie od teorii jest w większym lub mniejszym stopniu odstępstwem od grupy". Przypomnienie, że już Marks i Engels przestrzegali przed tym, by w materializmie dialektycznym szukać nie dogmatu, lecz metody; postulat, by marksiści próbowali włączyć marksizm w nurt nowoczesnej nauki, by przestali być jedynie apologetami; wezwanie, by nie mieszać metod walki politycznej z metodami pracy naukowej - wszystko to powiedziane zostało u nas już wtedy. Tyle tylko, że - jak pokazał to czas - jeszcze przez długie lata nic z tego pod uwagę nie zostało wzięte. Marksizmem zawładnąć mieli apologety, wierni "metodzie mott i wersetów", zachylający się co zgrabniejszymi aforyzmami klasyków, mogący pozostawać wyznawcami tylko za cenę zupełnego ignorowania rozgrywającego się wokół nich życia.

Pod koniec lat 50-tych Adam Schaff, zaliczany wówczas raczej do grona "dogmatyków", zaprezentował następujące rozumowanie. Uznając marksizm za filozofię z definicji otwartą, gdyż tylko to gwarantować może jej żywy i twórczy charakter, przyjął, że konieczna jest stała modyfikacja jej też w zależności od postępów nauki. Stąd też wszelkie próby traktowania marksizmu jak wiedzy objawionej, która zawiera w sobie opisanie tak przeszłości, jak i przyszłości, i która z tego względu zmieniana być nie może, uznał za rewizjonizm w sensie właściwym. Dogmatyk staje się rewizjonistą dlatego, iż przez swój upór, motywowany jedynie ślepa wiara, systematycznie zaprzecza najbardziej konstytutywnej cesze marksizmu - jego twórczemu charakterowi. I to właśnie on, i tylko on jest rzeczywistym wrogiem doktryny.

Wracając do naszej specyfiki: że nawet wbytnio zabiegać nie trzeba, by inni ochrzcili nas mianem "rewizjonista", wynika to stąd, iż poza domowymi pieleszami /dokładniej: poza sferą podpierzynową - a i ten wyjątek jest dyskusyjny/ wszystko pozostałe obojętne czy niewinne ideologicznie nie jest. Wczasy spędzone w Baden-Baden a nie w Karlowych Varach, lektura "Polityki" zamiast "Barw", a nawet, z góry przepraszam za przykład, korzystanie z miejskich szaletów /ileż w nich miejsca na "wrogiem" napisy! / miast z domowego wychodka - wszystko to, jeśli się nieco nadprzenikliwić, przestaje być niewinne, to coś znaczy, znaczy nie samo w sobie, ale przede wszystkim znaczy nam danego człowieka. I tylko patrzeć jak te znaki, te rysy, przez nas samych z rzadka tylko dostrzegane, inni skrupulatnie zbiorą i posłużą się nimi jak nitką do wyciącia: REWIZJONISTA. A to wcale nie brzmi u nas dumnie, to brzmi brzydtko. Znaczy to tyle co - wróg. Wróg ludzkości, wróg ustroju, wróg narodu, a wreszcie - wróg życia i wróg samego siebie - bo przecież nie sposób inaczej traktować kogoś, kto występuje przeciwko wszystkiemu tym i wszystkiemu temu, pośród których i czego żyje i żyć musi. Krótko: wróg i głupiec.

Tu paradoks: wrogiem i głupcem ochrzczonego można zostać nie tylko wtedy, gdy usiłuje się doktrynę zrewidować, ale i wówczas, gdy próbuje się być wiernym jej literze. "Rewizjonista", a więc ten, który stara się dowieść, że w czasie,

jaki upłynął od chwili, gdy Marks budował swój system myślowy, zaszły tak głębokie zmiany, iż koniecznym stało się przeformułowanie pewnych tez doktryny, jest tak samo wrogiem /może tylko odrobinę większym/ jak "dogmatyk", a więc ten, który próbuje powrócić do źródeł, sięga po "Rękopisy" czy "Kapitał" i dowodzi, że w świetle sformułowań samego Marksa nie jest u nas tak, jak być miało czy powinno /pomijam tu kwestię, jak bardzo pewien typ egzegezy może być dla ureligijnionego marksizmu "groźny"/. Charakterystyczne jest i to, że postawy te pojawiają się zwykle razem; w czasach przesilen równie popularne jest czytanie młodego Marksa czy Gramsciego, jak próby reinterpretacji dotychczas lansowanego tez. I, o dziwo, postaw tych nawet nie usiłuje się odróżniać, obydwie wędrują do "rewizjonistycznego worka". W taki to sposób wróg mniejszy - dogmatyk staje się wrogiem większym, a sam zastęp wrogów - liczebnie pokażniejszy i przez to bardziej widoczny. Chwył taki możliwy jest jedynie wówczas, gdy istnieje grupa ludzi uznających, iż tylko lansowana przez nich interpretacja marksizmu /nigdy w gruncie rzeczy do końca nie wyartykułowana/ jest poprawna i jedynie właściwa.

Na płaszczyźnie teoretycznej mówić w pełni uprawnienie o "rewizjonizmie" można tylko wówczas, gdyśmy uprzednio doktrynę skanonizowali, tzn. każdą z jej tez sformułowali w postaci nie pozwalającej na jakiekolwiek interpretacyjne dowolności. Niezbędne jest tu również przyjęcie dwóch założeń dodatkowych - że system nie jest wewnętrznie sprzeczny oraz że opisuje całokształt zjawisk. Już choćby założenie ostatnie jest naukową utopią - nigdy nie istniały i zapewne nigdy istnieć nie będą systemy myślowe opisujące i kontrolujące całokształt zjawisk. Puste miejsca, pola przez doktrynę nie uchwycone są zawsze obszarami, skąd grozić jej może niebezpieczeństwo. Najważniejsze jest jednak to, że używając pojęcia "rewizjonizm" na tej płaszczyźnie odbieralibyśmy mu całą drapieżność i emocjonalne nacechowanie. "Rewizjonista" w żadnym wypadku nie mógłby być traktowany jak wróg, a jedynie jak myślowy konkurent, partner dialogu, któremu - miast potępienia i nienawiści - winniśmy szacunek. Natomiast spór - różnica zdań czy rozbieżność w zakresie któregoś z twierdzeń, możliwy byłoby do rozstrzygnięcia na drodze "czysto technicznej": przyjęta zostaje ta teza, której prawdziwości jesteśmy w stanie dowiedzieć /a więc: nie istnieją argumenty ją obalające, istnieje większa liczba świadectw ją potwierdzających itd./.

Natomiast gdy wykraczamy poza płaszczyznę teoretyczną, gdy przedmiot sporu traci swą naukową niewinność, a zaczyna funkcjonować jako spór również ideologiczny czy polityczny, zaś adwersarz z partnera dialogu przeradza się we wroga ideologicznego, wówczas pojęciu "rewizjonizm" towarzyszy milczące założenie, że istnieje specjalna instancja sprawująca kontrolę nad "czystością" doktryny i ona /i tylko ona/ ma prawo orzekać, co jest, a co nie jest z doktryną zgodne. Pełnienie takich kontrolnych funkcji byłoby w miarę łatwe, gdyby doktryna była skanonizowana. Jak wiadomo, marksizm nigdy nie poddał się i nigdy się nie podda tego typu zabiegowi - każda udana próba byłaby w tym przypadku równoznaczna z uśmierceniem samej dialektyki. Dlatego też wobec instancji czuwającej nad "czystością" tej doktryny postawić należy pytanie: jakimi kryteriami w swojej pracy się kieruje? według jakich zasad dokonuje podziału na swoich i wrogów, na wyznawców i rewizjonistów? Skoro wiadomo, że tych kryteriów i zasad nie można wywieść z samej litery, która jest i musi pozostać pochodną wobec życia i razem z nim się zmieniać, poszukiwać ich należy gdzie indziej - w sferze doraźnych celów politycznych.

W dziejach marksizmu polskiego, jak zresztą w powojennych dziejach całego naszego narodu, rok 1948 posiada znaczenie przełomowe. Początkował on okres, z którego do dziś dnia nie wszyscy są w stanie się wypowiedzieć. Dla marksizmu /mój osobisty stosunek do tej filozofii jest tu bez znaczenia/ oznaczał rzecz najstraszniejszą - całkowitą instytucjonalizację, zagwarantowanie partii /a właściwie jej wodzowi/ prawa do wyłączności w decydowaniu o losach doktryny. Na gruncie polskim było to doświadczenie najzupełniej nowe - oto doszło do pełnego zespolenia marksizmu z polityką, ale w parze tej nie naukowa teoria wiodła prym, lecz była bezwolnym narzędziem w rękach władzy. W okresie tym o "rewizjonizmie" nie mówiono się u nas - proces dogmatyzacji /nazwany później dogmatycznymi uproszczeniami marksizmu/ został posunięty tak daleko, a jednocześnie skłórzony z przemocą, iż o jakimkolwiek odstępstwie mowy być tu nie mogło. Tego typu sprawy załatwiała się, by tak rzec, od ręki.

Okres stalinowski całkowicie podporządkował doktrynę władzy. Zabrzmiał to paradoksalnie, ale dzięki temu zabiegowi marksizm stał się ważniejszy - wyrugowany z życia, pozostał w propagandzie, w hasłach i na sztandarach, urosł do roli zasadniczego i w gruncie rzeczy jedyne uprawnocnienia nowego systemu. Świadomość tego faktu ugruntowała wśród sprawujących władzę nawyk patrzenia na wszelkiej maści odnowicieli jak na wrógów, pragnących nie tyle system doskonalić, ile go obalić. Nawyk ten pozostał właściwie do dziś dnia: "rewizjonista" to nie ten, który chce system reformować, lecz ten, który chce go zniszczyć; stąd obowiązkowo - musi być wysłannikiem obcych, burżuazyjnych sił. By zyskać taką kwalifikację, wystarczy bardzo niewiele - wystarczy uchylić się od obowiązku instytucjonalnej /partyjnej/ akceptacji. /W okresie stalinowskim wystarczyło cytować z klasyków nie te fragmenty, które ogólnie zostały uznane za godne cytowania./ Dzieje marksizmu polskiego w latach 1948-56 pozwalają na sformułowanie następującej tezy: instytucjonalizacja, upaństwowienie doktryny prowadzi do jej skostnienia. Marksizm oddany w ręce władzy i realizacji tylko jej celów służącej, staje się li tylko narzędziem walki politycznej; eksploatowany jedynie w swojej warstwie ideologicznej - w niej tylko zdolny jest się reprodukować, natomiast w warstwie naukowej - zamiera. Być może dzisiaj czas umysłowi władzy prawdę podstawową: jej uprawomocnienie /rzeczywistym, mocnym/ ma być wola społeczeństwa, zaś marksizm - jedynie narzędziem i metodą sprawowania rządów, metodą tym efektywniejszą, im bardziej przystającą do społecznych przemian.

Okresy, które w naszej powojennej historii uznano za szczególnie "rewizjonistyczne", przypadają na lata 1956-57 i 1966-68 /kończące daty dzienne są tu stosunkowo łatwe do ustalenia - 3.X.1957 i 30.III.1968/. Również i dziś o "rewizjonizmie" mówić zaczyna się coraz więcej. Czyżby miało być to zaśpiewem końca "odnowy"? /Nb. "odnowa" jest pojęciem rodem z podręcznego arsenału rewizjonizmu; w roku 1956 używano określenia mniej "trefnego" i bardziej obrazowego - "odwilż"/. Jak to wyjaśnić? Istnieje prosta prawidłowość: każda kryzysowa sytuacja kreuje nieodpartą potrzebę wroga /przeciwnika, kozła ofiarnego, dziecka do bicia/, który będzie - po pierwsze - samą swą obecnością, choćby zmyfikowaną, uzasadniał konieczność używania starych lub wręcz wprowadzania nowych nadzwyczajnych środków /wedle zasady: używam miecza póki trwa walka/, a po drugie - będzie przejmował na siebie całe odium przewin - za niepowodzenia, klęski, niedopatrze- nia, nieudolność innych /wedle zasady: zło trzeba upostaciwić/. Te dwie funkcje "rewizjonizmu" pełnił u nas z powodzeniem.

Aktualny stan społecznej świadomości zdaje się potwierdzać tezę, iż długotrwa- łe zamykanie marksizmu w obrębie doraźnych działań politycznych znacznie osłabiło moc jego oddziaływania; jego atrakcyjność zmalała do zera. Trudno nie zauważyć, że dziś, jeśli nawet szafuje się pojęciem "rewizjonista", to nie dlatego, iżby uważało się kogoś za przeciwnika ideologicznego czy poprawiacza teorii naukowej, lecz dlatego, że postrzega się go jako wroga pewnego układu sił. Dokonało się tu bardzo znamienne przesunięcie. W minionych okresach przypływu "rewizjonizmu" łatwo było wskazać kogo i dlaczego uważa się za rewizjonistę. Filozofowie byli nimi dlatego, że usiłowali wzbogacić marksizm o współczesne kierunki filozofii zachodnio-europejskiej; socjologowie - że postulowali ewolucję w kierunku rozszerzania mechanizmów kontroli społecznej nad władzą; ekonomiści - że usiłowali odwoływać się do mechanizmów rynkowych, sugerowali decentralizację i reformę planowania; historycy - że "zamazywali" jakże klarowny i prosty obraz przeszłości; literaci - że konfrontowali istniejący realnie system z ideałami. Nosicielem poglądów rewizjonistycznych był Stefan Żółkiewski, Adam Schaff miał w swojej postawie wiele rewizjonistycznych inklinacji, Leszek Kołakowski rewizjonistą coraz bardziej się stawał, Andrzej Malewski był nim od samego początku itd.

Podobnych specyfikacji dokonać dziś nie byłibyśmy już w stanie. Staré ideowo- moralnych coraz mniej, skróciła się także czasowa perspektywa toczonych sporów; tu już nie chodzi o rzyszłość za kilkanaście czy kilkadziesiąt lat, tu chodzi o tygodnie i miesiące. Perspektywa ta /a własnie: jej brak/ świadczy m.in. o tym, że miejsce też czy twierdzeń zajęły osoby, miejsce ogólne ideału - latami tkana misterna siatka powiązań personalnych. Tak naprawdę to, co w latach 1956-57 czy 1966-68 chrzono było mianem "rewizjonizmu", rewizjonizmem być przestało, nawet więcej - wysuwane wówczas postulaty dziś uznaje się za niezbędne przesłanki wyjścia z kryzysu. Życie dowiodło fałszywości etykiety,

choć nie oznacza to wcale, że została ona z obiegu wycofana. Jest nadal - odarta z resztek opisowości, bezwartościowa, może właśnie dlatego coraz popularniejsza. Cóż więc oznaczać może dziś pojęcie "rewizjonizm"? Oznacza nadal to samo - wróg, tyle że w całkowicie innym wymiarze: "wróg" znaczy dziś "nie swój", "spoza układu". Wszystko inne jest zbędnym przydatkiem, ozdobnikiem, zasłoną dymną, bo przecież - wedle potocznego powiedzenia - nawet w nic nie wierząc, należy udawać, że tak nie jest, że chodzi tu o coś więcej aniżeli tylko personalne gierki.

Wiara w słuszność ideologii, zakładającej ten a nie inny kierunek przemian, dopuszczająca jego i tylko jego bezustanną afirmację, wiara uznana u nas za cnotę, do której zaprawiani jesteśmy już od dzieciństwa, nie jest i być nie może rozciągana w sposób automatyczny na sfery podległe rozumowi i nauce. W chwili narodzin marksizmu kierunek zależności został określony jasno: to z nauki i rozumu wyrastają przeświadczenia, nigdy zaś odwrotnie. Gdy kierunek ten próbuje się odwracać, sprowadza się życie do roli służebnej, z czasem - zupełnie traci się nad nim kontrolę; autentyczne przekonanania podmieniają się udawaniem, wyjaśnienia rzeczywiste - pozornymi, prawdę - ogólnikami, półprawdami czy wręcz kłamstwem.

Dla marksistów-dozorców już sam postulat wyraźnego odróżniania też o charakterze filozoficznym od też naukowych pachnie rewizjonizmem; dla nich marksizm jest niepodzielny i traktować go można tylko w sposób blokowy. A przecież w postulatcie nie mówi się o odrywaniu czegokolwiek, mówi się jedynie o konieczności odróżniania pewnych grup twierdzeń, posiadających odmienne statusy i pełniących w doktrynie odmienne funkcje. O ile do przyjęcia też o charakterze filozoficznym, światopoglądowym wystarczy przeświadczenie o ich prawdziwości, o tyle wobec też naukowych przeświadczenie czy nawet wiara nie wystarcza - też tych trzeba dowodzić. W nauce ideologia jest jak kaganiec, jak knebel. W nauce nie ma i być nie może też, których prawdziwość byłaby z góry założona, wobec których rzetelnie przeprowadzony dowód dałoby się podnieść barwnym doświadczalnym ornamentem. Bo choćby nawet ornament ten najzgrabniej udawał dowód, to przecież dowodem nigdy nie będzie - ograniczanie pola obserwacji jedynie do faktów, które daną tezę potwierdzają, klóci się m.in. z tak podstawowym dla badań naukowych wymogiem, jak konieczność rejestrowania, wręcz poszukiwania faktów z daram twierdzeniem niezgodnych.

Fakt, iż postulat taki był i nadal jest nagninnie ignorowany, a sprzeciwiających się takiemu stanowi rzeczy traktuje się jak heretyków, da się wyjaśnić na gruncie samego marksizmu. Ograniczę się tu tylko do sugestii: skłonność do negowania czy bagatelizowania tych faktów i poglądów, które mogłyby podważyć istniejące stosunki, akorelowana jest z przynależnością do grupy, której dobrze się dzieje; z kolei akonność przeciwna, a więc szczególnie uwrażliwienie na tego typu fakty i poglądy, cechuje głównie ludzi, którym w istniejących stosunkach dzieje się źle.

Niezbędność "rewizjonizmu" jest oczywista. Wystarczy powiedzieć: każde społeczeństwo podlega zmianom. Tylko kwestionując to bardzo ogólne, w gruncie rzeczy banalne stwierdzenie, zakładając, że mamy do czynienia z systemem zakonserwowanym w sposób doskonały, odbieralibyśmy "rewizjonizmowi" rację bytu. A właśnie z takim fenomenem mamy do czynienia na naszym gruncie. Nieprawdopodobne, ale to u nas, nie gdzieś na zgniłym zachodzie, marksiści najwytrwalej zaprzeczają własnej teorii rozwoju społecznego - przechodząc do "socjalizmu", zawieszają /w praktyce odrzucają/ działania prawideł własnej teorii. I dlatego w ich wydaniu "rewizjonizm" brzmi tak wstrętne i wrogo. Bardzo lubią używać tej nalepki - bo taka wyrazista i dosadna. Pożytek z tego niewielki, dla nas chyba tylko taki, że jak na patelni mamy wszystkich tych, którzy ochno po tę etykiętę sięgają. Dowodzą w ten sposób, iż doktrynę, której wyznawcami się mienia, gotowi są traktować jak system religijny, że dzieła klasyków są dla nich rodzajem pisma świętego, doskonale akonzonego, niewrażliwego na wszelką krytykę. W ich ustach oskarżenie o "rewizjonizm" jest w gruncie rzeczy oskarżeniem o to, że się myśli, że w ogóle próbuje się jeszcze dochodzić do czegoś samodzielnego.

Ale - zawsze jest nadzieja. I w fakcie, że "rewizjonizm" powraca dzisiaj, też można doszukać się pocieszającej drobiny. Jeśli uda się sprawić /a to już zadanie dla marksistów/, by pojęciu temu przywrócić sens opisowy, wyrażający poza doraźne cele walki politycznej, wtedy uzyskają dowód, iż ich doktryna żyje.

może nawet więcej - że się rozwija i umacnia. Jeśli jednak dopuszczą, by określenie to całkowicie zatraciło swą moc opisową, by stało się wyłącznie poręcznym epitetem w walce z ludźmi dla władzy niewygodnymi, wówczas mogą być pewni, że rozpoczął się nowy etap mumifikacji doktryny, że z warsztatu pracy stała się kapliczka, z metody poznawania świata - parawanem bezprawia. A wtedy radzę nie zapominać o ... lusterku - zanim ktokolwiek zechce powołać się na marksizm, niech uprzednio sprawdzi; czy nadal mamy do czynienia z ciężko chorym, czy też już z trupem.

Ani ja marksista, ani specjalny wielbiciel tej doktryny. Ale żyję tu, nie gdzie indziej. Dlatego w ogóle zdecydowałem się tę pochwałę rewizjonizmu napisać. Sądzę, że do tego mam prawo. Zaś wszystkim "prawdziwym marksistom", "znawcom" /jeśli tacy jeszcze u nas istnieją/, którzy gotowi byłiby - w co nie wątpię - przystać na powyższe uwagi, a jednocześnie uznając je za nazbyt zdroworozsądkowe, nie traktować ich zobowiązująco, odpowiadam słowami T. Huxley'a: "Nauka nie jest niczym innym, niż zdrowym rozsądkiem wyrobionym i zorganizowanym; różni się od niego tylko o tyle, o ile weteran może różnić się od surowego rekruta; jej metody różnią się od metod stosowanych przy posługiwaniu się zdrowym rozsądkiem tylko tak, jak cięcie bądź pchnięcie żołnierza gwardii różni się od sposobu, w jaki dzikus macha swoją maczugą".

/czerwiec 1981/

PIOTR WANDYCZ

REALIZM I IDEALIM W DZIEJACH POLSKI

Od redakcji:

Niniejszy tekst przedrukujemy za małą
znany londyńskim kwartalnikiem politycznym
"Trybuna" nr 50 - 51/106 - 107,
1985 r.

Pragnąłbym zacząć moje uwagi od przypomnienia oczywistego truizmu, a mianowicie, iż poszukiwanie prawdy stanowi ostateczny cel badań historycznych. Z kolei, co jest również chyba bezsporne, prawda dziejowa jest tylko częściowo poznawalna - "człowiek ma to do siebie, że niepodobna go wyczerpać historycznie", jak zauważył kiedyś obecny Papież Jan Paweł II. Obiektywizm u historyka oznacza więc nic innego jak chęć poznania i pokazania prawdy, tak jak on ją widzi, czyli bez pomijania niewygodnych faktów lub naciągania interpretacji w kierunku apriorystycznych tez. Jak to określił wybitny historyk krakowski Józef Szujaki: "Tendencja, panowie, zaczyna się tam, gdzie kończy się nauka".

Nauka historii, jak wszystkie nauki humanistyczne czy społeczne, różni się jednak zasadniczo od nauk ścisłych, przede wszystkim dlatego, iż obiektem jej badań jest człowiek w społeczeństwie, a badający jest zaangażowany subiektywnie w inny sposób niż naukowiec pracujący w laboratorium. Związek historii z etyką, filozofią, religią, językoznawstwem, etc. etc. sprawia, iż studia dziejów są nieodłączną częścią samego procesu dziejowego. Co więcej człowiek zaangażowany w otaczające go życie polityczne, społeczne, ideowe itd., często sięga do przeszłości w poszukiwaniu wzorów lub precedensów. Historia widziana jest wtedy jako nauczycielka życia /magistra vitae/ i odwoływanie się do niej służy "udowodnianiu" słuszności różnych tez i programów. Nawiasowo można dodać, iż wyciąganie takich czy innych nauk z historii nie łączy się koniecznie z jej znawstwem. Poszedłbym dalej; im mniejsza znajomość dziejów, tym większa dezynwoltura w operowaniu

przykładami historycznymi i mniejsze zahamowania w ferowaniu wyroków.

Zjawisko realizmu i idealizmu, czy pozytywizmu i romantyzmu - chociaż jak będą starał się wykazać, nie są to pojęcia wymienne - należy rozpatrywać na dwóch poziomach. Primo, na szczeblu naukowo-historycznym, secundo, na szczeblu popularno-historyczno-politycznym.

W pierwszym wypadku występuje przede wszystkim konieczność odpowiedzi na pytanie co to jest rzetelność i co stanowi obiekt badań. Odpowiedzi na to pytanie oczywiście się zmieniały, stąd historia widziana na przykład jako narracja, odwarzająca możliwie wiernie obraz przeszłości, lub historia jako metoda szukania odpowiedzi na kluczowe pytania. Upraszczając nieco to dość skomplikowane zagadnienie można powiedzieć, iż pozytywizm w nauce historycznej dążył do wykrywania związków między zjawiskami, podczas gdy idealizm starał się odkryć "istotę" badanej rzeczy. Przykładowo, wielki filozof włoski Benedetto Croce widział historię jako dzieje wolności, a kładąc główny nacisk na intuicję badacza, uważał jednostkę za główny obiekt badań. Niewątpliwie można go zaliczyć do "idealistów" w sensie widzenia idei jako tworzących w dziejach ludzkości. Historycy pozytywistyczni byli głównie zafascynowani modelem nauk przyrodniczych i podejściem empirycznym. Osobną z kolei szkołę stanowili marksiści, ujmający dialektycznie "niezmienną" prawa historii oraz operujący modelem historycznego materializmu i determinizmu.

Nie jest moim zamiarem przedstawianie tutaj całego bogactwa różnych szkół historycznych. Powyższe uwagi są jedynie wstępem do krótkich rozważań o historiografii Polski, która w jakimś stopniu była powiązana z ogólnoeuropejskimi kierunkami naukowymi, a równocześnie podlegała bardzo silnie wpływowi lokalnym. Zaczynając od Joachima Lelewela, ideologia demokratycznej myśli i w jakimś sensie twórcy republikańskiej interpretacji historii Polscy, powstaje pytanie czy należy włączyć go do nurtu idealistycznego, jak również romantycznego? Zakładając, iż tak, czy "monarchistyczna" szkoła krakowska - widziana jako kierunek naukowy przeciwstawny - ma być zaszerzegowana do realizmu i pozytywizmu? A jak umiejscowić szkołę warszawską, będącą głównym protagonistą historyków krakowskich? Szablony romantyzmu /idealizm/ kontra pozytywizm /realizm/ jest tu dość trudny do zastosowania. Z historyków krakowskich, Szujski i Kalinka należą z postawy raczej do idealistów, Bobrzyński i Smolka są w swym aparacie pojęciowym raczej pozytywistami. Ze względu na nacisk jaki szkoła krakowska kładła na dydaktyczno-wychowawczą rolę historii /magistra vitae/, nie od rzeczy jest przypomnieć znane sformułowanie Bobrzyńskiego: "historia nie jest sądem sumień społeczeństw i jednostek, ale sądem wypadków i wiążących się z sobą przyczynowo zdarzeń". W innym miejscu Bobrzyński pisał, iż ocena czynów ludzkich w przeszłości powinna być "nie według moralnej wartości ich zamiaru, lecz według ich następstw i skutków". Wreszcie, zafascynowany rozwijającą się socjologią, wielki uczony krakowski stwierdził, że "praca historyka nie jest niczym innym, jak zebraniem faktów dziejowych i zastosowaniem do nich wyników nauk społecznych i politycznych".

W sporze szkoły krakowskiej z warszawską nie mamy do czynienia z konfrontacją postaw idealistycznej /romantycznej/ z realistyczną /pozytywistyczną/ ale raczej ze starciem interpretacji pesymistycznej /krakowskiej/ z optymistyczną /warszawską/. Dotyczy to oczywiście głównego zagadnienia - przyczyn rozbiorów Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Powstanie szkoły krakowskiej było częściowo wynikiem szoku jakim był upadek powstania w 1864 r. i próbą przewartościowania dziejów Polski z pozycji konserwatywnej. Pierwsza wojna światowa i odzyskanie niepodległości naturalnie rzutowały również na kierunki w historiografii. Pesymistyczna interpretacja dziejów Polski, podsytkowana pogodzeniem się z faktem rozbiorów i pozbowienia narodu swej niepodległości, wydawała się nie do przyjęcia z chwilą gdy rodziła się Druga Rzeczpospolita. Jak pisał Henryk Serejski "podnosiła się fala optymistyczna", a "równocześnie zarzucało trzeźwy realizm, nawracano do romantycznych tendencji apologetycznych w stosunku do przeszłości". Czy tendencje apologetyczne są konieczne związane z romantyzmem? Wróćmy jeszcze do tego zagadnienia później.

Nie było chyba rzeczą przypadku, iż w 1942 r. w Londynie, w pierwszym numerze Nowej Polski ukazał się artykuł wybitnego historyka Olgierda Górki, będący wyznaniem pod adresem zarówno historiografii jak i polskiej myśli politycznej. Górka w latach 1930-tych występował już jako szermierz prawdy historycznej, zafałszowa-

nej, jego zdaniem, nie tyle w pracach ściśle naukowych, co w Trylogii Sienkiewicza. W sporze, który wówczas rozgorzał, historycy tacy jak Halecki, Kukiel i inni wzięli żywy udział. W swej wypowiedzi londyńskiej Górka postawił tezę, że albo Polska ma warunki, by egzystować jako niepodległe państwo, a jej upadki zdarzające się od czasu do czasu wynikają z błędów jej przywódców, albo też błędy nie są popełniane i upadek /na przykład we wrześniu 1939/ jest wynikiem braku warunków niezbędnych do niepodległej egzystencji. Wypowiedź Górki była wyraźnie uwarunkowana sytuacją polityczną Polaki w czasie II-ej Wojny Światowej i postawienie sprawy albo-albo z "tertium non datur" tylko pozornie wyglądało na nową konfrontację realizmu z idealizmem. Podobnie w Polsce Ludowej odwoływanie się do spuścizny Lelewela nie oznaczało wcale nawrotu do romantyzmu. Debaty po październiku 1956 roku obracały się między innymi dokoła zagadnienia optymizmu czy pesymizmu w interpretacji naszych dziejów, że wspomnę tu tylko znaną wypowiedź Henryka Wereszyckiego o "pesymizmie biednych tez". Nie oznaczało to oczywiście odejścia od schematu dwóch biegunów - Romantyzm-Pozytywizm - w ocenach, zwłaszcza publicystyczno-popularyzatorskich, dziejów XIX i wczesno XX wieku. Schemat ten, wysuwany parokrotnie wygląda następująco: od wojen napoleońskich do upadku powstania styczniowego panuje romantyzm; od 1864 do 1914 - z wyjątkiem słabnięcia od lat 1890-tych - pozytywizm; następnie znów romantyzm, dominujący nad okresem II Rzeczypospolitej i drugiej wojny światowej. Wreszcie, w niektórych opiniach /na przykład Adama Bromke/: pozytywizm w latach 1950-tych i 1960-tych i romantyzm w 1970-tych osiągający swój punkt szczytowy w Solidarności.

Przyklejanie pewnych etykietek do całych okresów historycznych, czasami może użyteczne, musi z natury rzeczy powodować uproszczenia i wypaczenia. W historiografii polskiej, uwarunkowanej zarówno ogólnymi prądami idealizmu i realizmu jak i konkretnymi wydarzeniami-wstrząsami /jak powstania, klęska postycywnia, odzyskanie niepodległości i druga wojna światowa/, sprowadzenie całej gąry interpretacji do dwóch biegunów zuboża bardziej niż tłumaczy bogactwo myśli historycznej. Podobnie sprowadzenie dwóch głównych kierunków walki o niepodległość na przestrzeni XIX wieku: powstańców i pracy u podstaw, do idealizmu i realizmu wydaje się być pewnym a może nawet szkodliwym nieporozumieniem.

W mowie potocznej i publicystyce, słowa te mają swój określony wydźwięk. "Realista" to synonim człowieka myślącego trzeźwo, pozbawionego złudzeń i widzącego rzeczy takimi jakimi są, a nie takimi jakby chciał, aby były. Realista nie kieruje się mrzonkami czy pobożnymi życzeniami i pamięta dictum, że Pan Bóg jest po stronie silniejszych batalionów. Odzegnując się od zarzutu cynizmu czy amoralności w polityce, "realista" stwierdza, że nie jest jego winą, że w świecie panuje prawo silniejszego. Dla niego liczą się natychmiastowe rezultaty i osiągnięcia, choćby nawet były połowiczne. Większa lub mniejsza doza oportunistów często towarzyszy tej postawie.

Jest dość charakterystyczne, iż ruchy polityczne pod koniec XIX wieku, ale oczywiście i później, starały się przedstawić swój program jako realistyczny, z równoczesnym potępieniem przeciwników za ich rzekomy brak trzeźwego i realnego myślenia. Choć jedynie Stronnictwo Polityki Realnej miało ten przymiotnik w swej nazwie, Liga Polska i narodowa demokracja podkreślały swój realizm, włączając doń też elementy romantyzmu i pozytywizmu. Kozicki pisał: "Metodę empiryczną wzięli twórcy Ligi od pozytywistów, uznali wskazania pracy organicznej, uzupełnili je tylko polityką. Jeśli zaś chodzi o pojęcie narodu i cele działania politycznego, to są spadkobiercami romantyków". "Realizm w polityce", podkreślał Popławski w Przeglądzie Wschepolskim, "nie odrzuca bynajmniej zasad, tylko inaczej je określa". Innymi słowy: "Co innego jest polityka uczuć, a co innego liczenia się w polityce z uczuciami, które są siłą bardzo realną". Jeszcze w 1896 r. Przegląd Wschepolski zastrzegł się, iż roztropność polityczna nie ma "nic wspólnego z pospolitym dziś, lekkim krótkowidztwem, uważającym każde zakłócenie stosunków istniejących za klęskę, a utrzymanie spokoju za wielkie dobrodziejstwo polityczne". Tenże sam artykuł podkreślał, iż nic bardziej fałszywego jak określenie szkodliwości działania politycznego liczbą ofiar, tym bardziej, że na ogół nie liczy się ofiar, "które ponosimy dla utrzymania spokoju".

Przechodząc do popularnego przedstawienia postawy "idealisty", jest to postać, która za przykładem romantyków "mierzy siły na zamiary", przywiązuje przesadną wagę do imponderabiliów, nie dostrzega lub nie chce dostrzec mechanizmu działania realnych sił, a z rzeczywistości wybiera to, co odpowiada nadziejom. Postawa

ta bliższa jest rzekomo polskiej mentalności niż sztuka realnego myślenia. Podkreśla to przedwojenny czeski publicysta, Vaclav Fiala, dobrze znający Polskę, gdy pisał: "Leży to już w polskiej naturze, iż apodyktycznie wytycza sobie wielki cel, nie troszcząc się zbytnio o możliwość osiągnięcia go i nie odważając swych sił na aptekarskiej wadze. Woli wielkie, choć daremne wysiłki niż drobne sukcesy czy załatwianie drobnych spraw".

Dlaczego ma się dawać znak równania pomiędzy pojęciem idealisty a romantyka, a co więcej przedstawiać tego ostatniego jako osobę politycznie nieodpowiedzialną a więc szkodliwą. Piłsudski pisał kiedyś, że "po upadku powstania 1863 r., słowo 'romantyczny' nabrało jakiegoś dziwaczного charakteru, zaczęło oznaczać po prostu 'głupi'". Piłsudski dodawał, iż, "jest zwyczajem nazywać grzecznie 'romantycznym' tego, komu się coś nie udało", co jest raczej humorystyczne w ustach różnych polityków trójlojalizmu, no nie im, ale właśnie "romantycznym" legionistom historia przyznała rację.

Abstrahując od tego co podkładamy pod wyraz "idealistyczny", "romantyczny", "realistyczny", wszystkie te stereotypy nie są w pełni zadawalające. Trudno jest odnaleźć typy absolutnie jednolite, które pasowałyby bez reszty do tych określeń. Jeśli mowa o politykach-idealistach czystszej krwi, może Ghandi stanowi jakiś wyjątek, jeśli traktujemy Ghandiego jako polityka. Ucieleśnieniem realisty pur sang był Edward Benes, dążący do sprowadzenia polityki /szczególnie polityki zagranicznej/ do prawie że matematycznych formułek. Jednocześnie większość jego analiz okazywała się zabarwiona "wzrostu thinking", a poseł amerykański w Pradze, zauważał, iż "Dr. Benes był, choć może nieświadomie, najprawdziwszym romantykiem jakiego znałem". Generał Comelin cytował kiedyś po iedenia dwóch marszałków Francji, Focha - zwycięskiego wodza w pierwszej wojnie światowej - i Lyauteya'a, jednego z budowniczych kolonialnego imperium. Foch mówił "Można przedsięwziąć wszystko i wszystko osiągnąć pod warunkiem, że nie zapomni się nigdy, że dwa plus dwa równa się cztery". Zaś Lyautey oświadczył: "Można odważyć się na wszystko i wszystko osiągnąć pod warunkiem, że nie zapomni się nigdy, że dwa plus dwa nie równa się cztery; w nieudolnych rękach mamy czasem trzy albo i mniej, ale można również osiągnąć pięć lub sześć". Trudno byłoby nazwać Lyauteya niepoprawnym marzycielem czy niepraktycznym idealistą i jego uwaga wydaje się szczególnie warta zapamiętania. Zaryzykowałbym twierdzenie, że pojęcia romantyzm i realizm jako hasła wywoławcze mogą być przydatne w dyskusji o taktyce i strategii - "romantyzm i maksymalizm celów oraz realizm i stopniowość środków" jak pisze Micewski - ale zawodzą jako przewodnik bądź to po historiografii bądź to po najnowszej historii Polaki. Byłbym też skłonny zgodzić się z Micewskim, gdy sprzeciwia się przypisywaniu romantyzmowi "pojmowanemu jako bunt, rewolucja, sprzeciw, kontestacja, niepokorność i protest moralny" - jeszcze jedna definicja - głównej roli dziejotwórczej w XIX wieku. Zgadzam się głównie dlatego, iż uważam proces historyczny za zbyt złożony, aby można go wyjaśnić jednym nurtem, choćby tak szeroko potraktowanym jak wyżej wymieniony.

Zmienność postaw z "romantycznej" - w powyższym rozumieniu tego słowa - na pozytywistyczną lub odwrotnie, obserwujemy wielokrotnie na przestrzeni XIX stulecia: Staszic, Szaniawski, Gurowski, Czartoryski, Wielopolski, itd. itd. Postawy te nie były tak skrajnie przeciwstawne jak wydawało się to współczesnym, czy też historiografii Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w latach 1940-tych i 1950-tych. Co więcej, stanowi to pewną pikanterię, iż ta ostatnia tak bardzo potępiała organiczników, jeśli lata 40-te i 50-te mają być latami realizmu. Ludzie zmieniali się. Sienkiewicz atakowany przez Górkę za apologetyzm romantyczny, uchodził początkowo za realistę. A neoromantyk Żeromski? Jak mamy go klasyfikować. Postać idealisty występuje zarówno wśród społeczników i zwolenników pracy organicznej jak i u rewolucjonistów-niepodległościowców. Czy "romantyk" Piłsudski nie jest równocześnie pragmatykiem i realistą w polityce? W okresie porobiorowym polski "realizm" przegrywał w Rosji, osiągnął znikome sukcesy polityczne pod zaborem pruskim, natomiast owocował na poli politycznym, choć nie gospodarczym, w Galicji. Realizm Wielopolskiego stał się zupełnie teoretyczny, gdy program jego zawisł w powietrzu, nie otrzymując poparcia ani Polaków ani Rosjan i zamieniając się w fikcję. Ks. Adam Chartoryski stwierdzał kiedyś, że dążąc do postępu musimy mieć wciąż przed oczami cel nieosiągalny, z czego wcale nie wynika, że brakowało mu realizmu politycznego; można go zaliczyć i do "organiczników" i do kierowników walki zbrojnej. A jaką etykietką należy opatrzyć wypowiedź Stanisława Grabskiego

w liście do Paderewskiego z 23 stycznia 1919 r.? Grabski pisał: "Polska nie umie być rozważna, nie była taką nigdy i nie będzie. Polska może być albo bohaterką albo podłą". Czy uważa to świadczy o realizmie oceny Grabskiego, czy o idealistycznej interpretacji charakteru Polski?

Tzw. realisci okazywali się często w przeszłości wyjątkowo nierealistyczni w taktyce i doborze środków. Stronnictwo Polityki Realnej nie mogło poszczycić się sukcesami; podobnie polityka rosyjska Dmowskiego przed wybuchem wojny, a stawianie na kartę francuską z mniejszym uwzględnieniem anglosaskiej na konferencji pokojowej, nie dawało najlepszych wyników. Przykładów takich można by cytować więcej.

Jakie wnioski nasuwają się z dotychczasowych rozważań? Przede wszystkim należy sobie uświadomić, że "czysty realizm" trudno określać jako realizm w ogóle, gdyż zamienia się natychmiast w jałowy oportunizm. Podobnie idealizm, oderwany zupełnie od rzeczywistości, staje się jakąś abnegacją, heroizmem bezprzedmiotowym lub walką z wiatrakami. Skoro nie mówimy o takich wynaturzonych zjawiskach, powstaje pytanie o jakim realizmie czy idealizmie jest mowa i do jakiego stopnia polskie warianty XIX wieczne - pozytywizm/praca organiczna i romantyczna tradycja powstańcza - mogą być traktowane jako drogowskazy w badaniach historii Polski. Jako klucz do historiografii pojęcia te są użyteczne jedynie w małym stopniu i nie pokrywają się dokładnie ani z pesymizmem czy optymizmem ani z republikanizmem czy monarchizmem. Odwoływanie się do realizmu/pozytywizmu lub romantyzmu/idealizmu nie przestało jednak być nadal aktualne w polemikach politycznych, w których analogie historyczne, realne czy fikcyjne, zdają się pełnić funkcje języka zastępczego. Mamy tu do czynienia nie tylko z upraszczaniem dylematów myśli i polityki polskiej XIX i XX wieku, ale i z anachronistycznym posługiwaniem się terminologią dla celów doraźnych. Kiedy w marcu 1982 r. prof. Bohdan Suchodolski pisał o odkrywaniu "na nowo wartości polskiego pozytywizmu", stwierdzając, iż "w gruncie rzeczy był to program solidarności narodowego wysiłku", dobór słów i sformułowania miały wyraźny podtekst polityczny.

Potoczne używanie, a szczególnie nadużywanie pojęć realizm-idealizm może łatwo przerodzić się w wystawianie cenzurek tym, z którymi się zgadzamy, a potępianie przeciwników. Zarzut braku realizmu, nierozumienia rzeczywistości, niepoprawnego idealizmu staje się bronią czy instrumentem w sytuacjach konfliktowych. Podobnie mogą brzmieć zarzuty o bezideowości i oportunizmie. Fakt, iż każda myśl polityczna i każde polityczne działanie musi zawierać w sobie pierwiastek idei i ich realizacji jest chyba bezsporny. Gloryfikowanie jednego z odrzuceniem drugiego nie ma sensu. Zapewne, można się zgodzić, iż pewne nastawienia /w których góruje jeden z tych elementów/ występowały w ściśle uwarunkowanych momentach na przestrzeni XIX i XX wieku w Polsce. Postawa "realistyczna", którą w zależności od konkretnych sytuacji i osób można by raczej nazwać "ugodową" czy "pesymistyczną" występowała często u ludzi załamanych w wyniku klęski idei ich młodości. Sprawa postaw łączy się /ale jest nieco innym zagadnieniem/ ze sprawą kierunków pozytywistycznego i powstańczego. Te dwie drogi w walce o Polskę, jak to stwierdził Bobrzyński w ostatnim tomie swej historii Polski, a przypominał Stefan Kieniewicz w przemówieniu w 1978 r. w jakiś sposób się uzupełniały. Sięganie po te modele obecnie przy próbach formułowania nowych koncepcji wydaje się raczej anachroniczne. Zdanie Popławskiego napisane w Przeglądzie Wszeczpolskim prawie sto lat temu nie straciło nic na swej aktualności: "Nasza myśl polityczna wytrzeźwiała, może nawet zanadto, ale bynajmniej nie dojrzała". Myślę, iż nawet tym, dla których przydatność kryterium realizm-idealizm dla oceny dziejów jest wciąż bezsporna, wypadnie zgodzić się z Andrzejem Micewskim, że "dziś tak postawione pytanie zawiera błąd w założeniu, w metodzie myślenia".

Zapewne, widzimy dziś w Polsce pewne zewnętrzne podobieństwa z przeszłością, ale górują czynniki nowe i odmienne. Pozytywizm XIX-wieczny był związany ze wzrostem koniunktury gospodarczej, z liberalizmem ekonomiczno-politycznym i z przestrzeganiem pewnych podstawowych norm prawnych. Niepowodzenia wynikały częściowo z ograniczonego zakresu funkcjonowania tych warunków. Analogicznych trendów obecnie nie dostrzegam. Z kolei identyfikowanie postawy romantyczno-idealistycznej z samoograniczającą się "rewolucją" Solidarności też nie przemawia mi w pełni do przekonania. Konteksty zewnętrzne i wewnętrzne - polityczne, gospodarcze, społeczne, ideowe, religijne - są w obu wypadkach zbyt od siebie odległe. Reasumując, obracanie się w zaklętym kręgu schematu realizm-idealizm, opartym na uproszczonej

interpretacji naszych dziejów, zuboża tylko możliwości rozwojowe polskiej myśli politycznej: zawęża naszą wizję wczoraj i dziś.

GEORG STEINER

GEORG LUKÁCS I JEGO PAKT Z DIABLEM

Od redakcji:

Tłumacz usunął z eseju kilka fragmentów, które zawierały specjalistyczne rozważania na temat m.in. powieści wiktoriańskiej czy dawno zapomnianych romansów. Drukowany przez nas esej pochodzi z tomu "Language and Silence" /"Język i cisza"/. Szkic tegoż autora pt. "Pisarz i komunizm" drukowaliśmy w pierwszym numerze naszego kwartalnika.

W dwudziestym stuleciu nie jest łatwo uczciwemu człowiekowi być krytykiem literackim. Jest tyle pilnych zadań do wykonania, do których krytyka jest zaledwie dodatkiem. Bowiem sztuka krytyki polega na poleceniu dzieł literackich uwadze właśnie tych czytelników, którzy w ostatnim rzędzie takim pomocy potrzebują; wszak ktoś, kto czytuje krytyków poezji, dramatu czy powieści musi być sam w dużym stopniu wykształcony literacko. Z drugiej jednak strony krytyk ma dwóch kusicieli: z prawa - Historię Literatury, o solidnym wyglądzie, z akademickimi listami polecającymi do wglądu. Z lewa - recenzje krytyczne, właściwie nie będące nauką, a raczej techniką, pozostająca na służbie obłudnej teorii głoszącej, że każdego roku ukazuje się coś warte czytania. Nawet najlepszy z krytyków może ulec którejsz z tych pokus. Pragnąc zyskać uznanie jako intelektualista i osiągnąć mocną pozycję erudyty, krytyk może jak Sainte - Beuve, stać się nieomal historykiem literatury. Albo też może ulec wymogom powieści i chwili; znacząca część wypowiedzi krytycznych Henry Jamesa nie przeżyła szmiry, którą chwaliła. Dobre recenzje są bardziej nawet efemeryczne, niż złe książki.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego trudno jest poważnemu umysłowi, zrodzonemu w tym męczącym i niebezpiecznym stuleciu angażować się poważnie w krytykę literacką. Nasza epoka to absolutna dominacja nauk naturalnych. 90% wszystkich naukowców jeszcze żyje. Zakres osiągnięć naukowych, rozszerzanie się horyzontów przed poszukującym duchem nie da się już porównać z sytuacją w przeszłości. Nowe Ameryki odkrywane są każdego dnia. Atmosfera naszego wieku przeniknięta jest wartościami naukowymi. To przenosi ich wpływ i stopień fascynacji nimi daleko poza zasięg, jaki miały nauki pojmowane w sensie klasycznym. Historia i ekonomia uważają się za nauki w podstawowym sensie, tak samo logika i socjologia. Historia sztuki wykształciła narzędzia i techniki, które uważa za naukowe. Kompozytor, operujący zestawem 12 dźwięków porównuje swoje skromne konstrukcje do matematycznych. Durrell poprzedza swój "Kwartet" stwierdzeniem, iż usiłował perspektywę Względności przełożyć na język i konstrukcję utworu.

Wszechobecność nauki wprowadziła nowe ograniczenia i nowe ambicje. Nie dowierzając czystemu impulsowi nauka domaga się ścisłej składni rygoru i dowodu. Za to, w ramach atrakcyjnej wymiary, oferuje cud pewności, niezawodnej wiedzy i intelektualnej własności, strzeżonej przed zwątpieniem. Naukowcy naprawdę wielkiego formatu odrzucają taką perspektywę - utwierdza ona wątpliwości w samym sercu odkrycia. Jednak nadzieja na obiektywną prawdę istnieje zawsze i przyciąga najtęstsze umysły epoki.

Krytyka literacka nie ma swojej Ziemi Obiecanej dowiedziorych faktów, ani Utopii pewności. Z natury swojej krytyka jest personalna. Nie może niczego

zakwestionować, ani logicznie dowieść. Nie dysponuje narzędziami, które mogłyby być bardziej precyzyjne, niż broda Housmana, jeżąca się, gdy wspaniały ciąg poetycki rozwijał się w jego głowie. Od dawna jednak krytyka usiłuje pokazać, że jej "métier" to mimo wszystko nauka, że ma obiektywne kanony i dysponuje środkami do ujawniania prawd absolutnych. Coleridge zaprzął swój wybitnie personalny, często zmienny geniusz w jarzmo metafizycznego systemu. W słynnym manifestie Taine głosił, że nauka o literaturze jest nie mniej precyzyjna niż nauki ścisłe. Dr I. A. Richards zabezpieczył nadzieję, że istnieje obiektywna psychologiczna podstawa dla aktu estetycznego osądu. Najwybitniejszy z jego zwolenników, profesor Empson, nauczył sztukę krytyki literackiej sposobów i chwytów, jakich używa matematyka.

Jednak pozostaje faktem, że krytykę literacką uprawia indywidualna osobowość, osądzająca dany tekst zgodnie z aktualnymi skłonnościami swego ducha, pod wpływem nastroju czy też własnej wiary. Jego sąd może mieć większą wartość niż mój czy twój - wyłącznie dlatego, że poparty jest szerszym zakresem wiedzy czy też przedstawiony z bardziej przekonywującą jasnością. Nie może on być przedstawiony w sposób naukowy, ani też nie może rościć sobie praw do trwałości. Prądy gustów i mody są niestałe i każda generacja krytyków ocenia od nowa. Opinie o wartości dzieł sztuki są poza tym nie do zbicia. Balzac sądził, że pani Radcliffe jest większej miary pisarzem niż Stendhal. Nietzsche, jeden z najbardziej przenikliwych umysłów, jaki kiedykolwiek zajmował się muzyką, wchodził w spory, że Bizet był prawdziwym kompozytorem, nie zaś Wagner. Czujemy w głębi duszy, że takie sądy są przewrotne i fałszywe. Nie możemy jednak ich obalić, tak jak naukowiec nie może obalić fałszywej teorii. Kto wie zresztą, czy przyszłe wieki uznają za słuszne zdania, które dziś wydają się fałszywe. Historia gustów wydaje się przypominać spiralę. Idee, które zrazu oceniano jako skandaliczne czy ewangeliczne, następną generację używały za reakcyjną i uświęconą wiarę.

Stąd krytyk współczesny czuje się podwójnie zagrożony. Krytyka bynajmniej nie przeżywa okresu bezczynności. Niektawo jest na gruncie moralnym oprócz się przemożnym wymaganiem ekonomicznym, społecznym i politycznym. Gdy pojawia się zagrożenie barbarzyństwem i polityczną autodestrukcją, pisanie esejów, czy "belles - lettres" wydaje się zajęciem raczej marginalnym. Drugi dylemat ma charakter intelektualny. Nawet dużego formatu krytyk nie może uczestniczyć w głównym nurcie przygody współczesnego umysłu - w zdobywaniu pozytywnej wiedzy, w openowaniu naukowych faktów, czy badaniu prawd dających się udowodnić. I jeżeli jest uczciwy w ocenie samego siebie, krytyk literacki wie, że jego sądy nie mają trwałej wartości i naza jutrz mogą stracić ważność. Jedną tylko rzecz może zadecydować o trwałości jego dzieł - siła i piękno stylu. Poprzez wartości stylu krytyka stać się może literaturą.

Mistrzowie współczesnej krytyki próbowali uporać się z tymi dylematami w różny sposób. T.S. Eliot, Ezra Pound i Thomas Mann, na przykład, uczynili krytykę narzędziem pomocniczym twórczości. Pisma krytyczne stały się dla nich komentarzami do własnych dzieł, zwierciadłami, w które intelekt każe spoglądać twórczej wyobraźni. U D.H. Lawrence'a krytycyzm jest samoobroną; pozornie mówiąc o innych pisarzach, polemizuje w rzeczywistości z własną koncepcją sztuki powieściowej. Dr Leavis zaś przyjął wyzwanie i użył swojej mocy krytycznej do tworzenia namiętnej moralnej wizji. Pragnie ustanowić w literaturze normy dojrzałości i ładu, aby ogół społeczeństwa w sposób również dojrzały i uporządkowany mógł nadażyć za nią.

Nikt jednak nie użył wobec dręczących krytykę literacką dylematów bardziej radykalnych rozwiązań niż Georg Lukács. Jego prace wyrażają dwie wiary. Po pierwsze - krytyka literacka nie jest luksusem; nie jest tym, co najbardziej przenikliwy z amerykańskich krytyków nazwał "dyskusją znawców". Przeciwnie, krytyka jest główną i aktywną siłą, kształtującą życie ludzkie. Po drugie Lukács utrzymuje, że praca krytyka nie jest ani subiektywna, ani poddana niepewności. Jest nauką, mającą swój własny rygor i precyzję. Prawdziwość sądem może być zweryfikowana. Georg Lukács jest, oczywiście, marksistą. Jest niemniej jednym z największych talentów filozoficznych, jaki objawił się wśród szarej masy sług marksistowskiego świata.

2.

W eseju, datowanym z 1948 roku, Lukács przedstawił znaczącą analogię. Stwier-

dził mianowicie, iż fizyka newtonowska dała osiemnastowiecznemu społeczeństwu najważniejszy z wyzwalających impulsów, ucząc umysły przeżywania wielkiej przynagody rozumu. Zdaniem Lukácsa taką samą rolę powinna odegrać w naszych czasach ekonomia polityczna. Właśnie na podstawie ekonomicznej, w sensie marksowskim, powinniśmy zorganizować nasze rozumienie spraw ludzkich. Sam Lukács doszedł do literatury poprzez ekonomię, tak jak można powiedzieć o Arystotelesie, że doszedł do dramatu przez systematyczne sondowanie moralności.

Materializm dialektyczny utrzymuje, że literatura, jak i wszystkie inne formy sztuki jest "ideologiczną nadbudową", gmachem ducha, wzniesionym na fundamentach faktu ekonomicznego, społecznego i politycznego. Stylem i treścią dzieła sztuki dokładnie odzwierciedla swoją materialną i historyczną bazę. Iliada jest nie mniej uwarunkowana przez społeczne okoliczności /rozpad feudalnej arystokracji na małe, rywalizujące królestwa/ niż powieści Dickensa, tak wyraźnie odbijające gospodarke serializacji i wzrost ilości masowych odbiorców. Zatem, dowodzi marksista, postępowanie w sztuce podporządkowane jest prawom historycznej konieczności. Nie można wyobrazić sobie Robinsona Crusoe napisanego, zanim nie narodził się merkantylny ideał. W załamaniu się powieści francuskiej po Stendhalu widzimy szerszy obraz upadku francuskiej burżuazji.

Ale tam, gdzie są prawa, tam jest też nauka. I tak krytyk marksistowski zabywa luksusu przekonania, że działa nie pod wpływem opinii, lecz wymogów obiektywnej rzeczywistości. Bez tego przekonania Lukács nigdy nie zwróciłby się ku literaturze. Dojrzał intelektualnie pośród chaosu okrucieństwa wojennego i rewolucyjnego w Centralnej Europie. Doszedł do marksizmu krętą drogą heglowskiej metafizyki. W jego wczesnej twórczości dominują dwa nurty: poszukiwanie klucza do widocznego zamętu w historii i wysiłki intelektualisty, pragnącego usprawnić swoje kontemplacyjne życie. Można sobie wyobrazić, jak Lukács musiał starać się opanować w sobie wrodzony pociąg ku literaturze i estetycznej stronie życia. Marksizm dał mu decydującą sposobność zostania krytykiem literackim, nie obciążoną poczuciem, że marnuje energię na błahą w jakiś sposób i niesprecyzowaną działalność. W 1918 roku Lukács wstąpił do Węgierskiej Partii Komunistycznej. W czasie pierwszego, krótkiego okresu komunistycznych rządów w Budapeszcie służył jako komisarz polityczny i kulturalny w Piątej Armii Czerwonej. Po upadku Beli Kuna Lukács wyemigrował. Do 1932 roku żył w Berlinie, potem znalazł schronienie w Moskwie. Tam mieszkał i pracował przez 12 lat. Powrócił na Węgry dopiero w 1945 roku.

Jest to fakt o oczywistej doniosłości. Niemiecki to podstawowy język Lukácsa. Z czasem jednak stał się chwiejny i mroczny. Jego styl jest stylem emigranta - zatracił nawyki żywej mowy. Dokładniej: ton całej twórczości Lukácsa, płomienny, często jednak zawężony obraz jego wizji, odbija sytuację wychodźstwa. Z Moskwy Lukács, otoczony wąskim kręgiem współemigrantów obserwował narastający w Europie Zachodniej kryzys. Jego prace o literaturze francuskiej i niemieckiej stały się namiętną obroną przeciw kłamstwu i barbarzyństwu okresu nazistowskiego. Tłumaczy to największy paradoks jego zachowania. Komuniści z przekonania, materialista dialektyczny z racji swojej metody krytycznej, Lukács mimo to stale i z całym przekonaniem odwracał się ku przeszłości. Tomasz Mann wyczuwał w jego pracach wybitny sens tradycji. Pomimo nacisków ze strony swoich rosyjskich gospodarzy, Lukács pobeżnie tylko odnotowywał przereklamowane osiągnięcia "sowieckiego realizmu". Rozwodził się natomiast nad wielkim dziedzictwem XVIII i XIX-wiecznej europejskiej poezji i prozy, nad Goethem i Balzakiem, Walterem Scottem i Flaubertem, Stendhalem i Heinem. Gdy zaś pisał o literaturze rosyjskiej, zajmował się Puszkinem i Tołstojem, nie zaś stalinowskimi wierszokletami. Perspektywa historyczna była więc ściśle marksistowska, lecz wybór tematów "centralno-europejski" i konserwatywny.

W rozkwicie jawnego triumfu faszyzmu Lukács zachował aktywny spokój. Usiłował ujawnić tragiczną skazę, posiew chaosu, z którego wyrosło szaleństwo Hitlera. Jedną z jego prac /książka zresztą drewniana i ciwilami zakłamaną/, zatytułowana jest "Destrukcja rozumu" /1955/. Zawiera ona dążenie filozofa do rozwikłania tej samej zagadki, którą Tomasz Mann udratmizował w "Doktorze Faustusie". Jak to się stało, że fala ciemności zalała duszę niemiecką? Lukács doszukuje się zaczątków dramatu w irracjonalizmie Schellinga. Jednocześnie jednak podkreśla integralność i siłę życiową wartości humanistycznych. Będąc komunistą nie wątpi, że socjalizm ostatecznie zwycięży. Uważa więc za swój osobisty cel aranżowanie

momentu uwolnienia bogactw duchowych zawartych w europejskiej literaturze i filozofii. Gdy poezje Heinego znów zaczęły być w Niemczech czytane, Lukács dostarczył eseju, wznoszącego pomost między przysiałością i prawie ze sączym światem liberalizmu, do którego należał Heine.

W ten sposób zaproponował Lukács rozwiązanie dwuelementowego dylematu współczesnej krytyki. Jako marksista, dostrzega w literaturze wpływy sił ekonomicznych, społecznych i politycznych. Wpływy owe wynikają z bezwzględnych praw historycznej konieczności. Krytyka, będąc sztuką, jest dla niego jednak w pierwszym rzędzie nauką. To, że przedkłada on Balzaka nad Flauberta nie wynika z osobistego smaku, czy objawienia. To wynik obiektywnego zdeterminowania, które ujawnia się poprzez analizę faktów materialnych. Poza tym Lukács stosował swoją twórczość do pilnych potrzeb chwili - uwarunkowana jest społecznymi sytuacjami i aktualnymi rozgrywkami politycznymi. Jego rozprawy o literaturze, podobnie jak pisma Trockiego, są narzędziami walki. Ktoś, kto pojął dialektykę "Fausta" Goethego, powiada on, jest lepiej przygotowany do rozwiązania okrutnych zagadek naszych czasów. Klęska Francji w 1940 roku jest zapisana w "Komedii Ludzkiej". Argumentacja Lukácsa dotyczy podstawowych spraw naszego życia. Jego krytyka nie jest tylko echem literatury. Nawet w momentach, gdy stają się sekciarskie i polemiczne, prace jego odznaczają się wyjątkową szlachetnością. Jest w nich to, co Matthew Arnold nazywa "najwyższą powagą".

3.

Jakie są jednak rzeczywiste, największe osiągnięcia Lukácsa jako krytyka i historyka idei?

Jest ironią, że jedna z najwybitniejszych prac Lukácsa powstała w okresie gdy komunizm jego skazony był herezją. "Historia i świadomość klasowa" /1923/ to książka prawie już legendarna. To "livre maudit", dzieło spalone na stosie, którego jedynie kilka kopii ocalało. Znajdujemy tam podstawową analizę "reifika-cji" człowieka /Verdinglichung/, degradacji osoby ludzkiej do statystycznego faktu w procesie politycznym i industrialnym. Partia potępiła to dzieło, a autor odciał się od niego. Jednak książka weszła do obiegu podziemnego i niektórzy pisarze, jak Tomasz Mann i Sartre uważali ją za arcydzieło Lukácsa.

Moim zdaniem jednak jego wybitny talent objawia się gdzie indziej: w esejach i monografiach, które pisał w latach 30-tych i 40-tych, i które do końca wojny utworzyły imponującą bibliotekę. Prawdziwy Lukács to studium "Goethe i jego czasy" /1947/, eseje "Realizm rosyjski w literaturze światowej", tom zatytułowany "Niemiecy realności XIX wieku" /1951/, książka o Balzaku, "Stendhalu i Zoli, oraz wielka praca "Powieść historyczna" /1955/. Do tego zaliczyć należy szereg obszernych prac o bardziej filozoficznym charakterze, jak "Przyczynek do historii estetyki" /1954/, i to, co stanowi zapewne "magnum opus" Lukácsa - studium o Heglu /pierwszy tom ukazał się w roku 1948/.

Nie jest możliwe krótko i celnie ująć tak ogromny materiał. Wiele jednak wątków tego dorobku wzbogaciło na stałe zasób naszego rozumienia literatury.

Należy do nich analiza załamania się francuskiej powieści. Lukács jest najwybitniejszym żyjącym znawcą Balzaka, i uważa "Komedie Ludzką" za arcydzieło realizmu. Jego odczytanie "Straconych złudzeń" stanowi przykład postępowania, w którym dociekliwość historyka użyta została do oceny dzieła sztuki. Ta dociekliwość wiedzy Lukácsa bezpośrednio do potępienia Flauberta. Balzaka i Flauberta rozdziela klęska 1848 roku. Przygasa blask liberalnych nauk i Francja zbliża się do tragedii Komuny. Balzak patrzy na świat z pierwotnym zapałem zdobywców. "Komedia Ludzka" stworzyła imperium języka, na podobieństwo tego, które ustanowił Napoleon. Flaubert patrzy na świat pogardliwie, jak przez szybę. W "Madame Bovary" szlif i wyrachowanie słów stają się sztuką dla sztuki. Gdy Balzak opisuje kapelusza, czyni to, ponieważ ktoś go nosi. Opis kapelusza Charlesa Bovary z kolei jest popisem technicznej brawury; widać, jak Flaubert opanowany na francuski słownik stroju. Nie ma w tym jednak życia. Ujawniając te kontrasty w sztuce powieściowej Lukács ukazuje przemianę społeczeństwa dojrzałego kapitalizmu. W społeczeństwie pre-industrialnym, czy tam, gdzie przemysł rozwinał się tylko na małą skalę, związki człowieka z otaczającymi go przedmiotami fizycznymi mają cechę naturalnej bezpośredniości. Produkcja masowa niszczy ją. Wyposażenie, jakie otacza nas w życiu jest produktem procesu zbyt złożonego i nieosobowego, by można go było ogarnąć. Wyzolowany od podbudzającej zmysły rzeczywistości, czując odrzę do szarżyny fabrycznego świata, pisarz szuka schronienia w satyrze, czy romantycz-

-nych wizjach przeszłości. Flaubert jest przykładem tych dwóch dróg ucieczki: "Bouvard i Pécuchet" to encyklopedia pogardy; zaś "Salambo" można uznać za wymysł nieco sadystycznego antykwariusza.

Z owych dylematów wyrasta to, co Lukács określa jako złudzenie naturalizmu, wiare, że artysta może odzyskać poczucie rzeczywistości w procesie akumulacji. Bowiem gdy realista selekcjonuje, naturalista gromadzi. Jak nauczyciel w "Ciężkich czasach" Dickensa żąda wciąż nowych faktów. Zola miał nienasycony apetyt na okolicznościowe szczegóły, pasję do rozkładów jazdy i inwentarzy /vide katalog serów w "Le ventre de Paris". Miał zapal, aby tchnąć życie w notowania gieldowe. Jednak, jak dowodzi Lukács, jego teoria powieści była z gruntu fałszywa, prowadząc do reportażu poprzez śmieć wyobraźni.

Lukács nie zawiera kompromisów ze swoimi sądami krytycznymi. Wychwala Balzaka, człowieka o przekonaniach klerykalnych i rojalistycznych. Potępia Zolę, postępowego w sensie politycznym pisarza, prekursora "socjalistycznego realizmu". Intuicja jedynie podlega wątpliwności...

Jeszcze bardziej oryginalne i autorytatywne są opinie Lukácsa o powieści historycznej. Temu gatunkowi literackiemu krytycy zachodni przyjrzeni się tylko pobieżnie. Niełatwo jest zredukować zakres powieści historycznej do jednego trafnego sądu. Bywa, że głowa jej buja w mitologicznych obłokach, przeważnie jednak cała istota opiera się na solidnym gruncie komercyjnej tandety. Samo pojęcie nasuwa wyobrażenia barwnych obwolot, kryjących przygody nieprawdopodobnych kawalerów, ściągających przestraszone, choć raczej skapo odziane młode damy. W bardzo rzadkich przypadkach, gdy wkracza taki pisarz jak Robert Graves, uświadamiamy sobie, że powieść historyczna ma swoje własne wartości i wspinała tradycję. Na to właśnie powołuje się Lukács w obszernej pracy "Powieść historyczna".

Ta forma powieściowa wyrosła z kryzysu wartości europejskich. Rewolucja francuska i okres napoleoński przejęły świadomość zwykłego obywatela poczuciem historii. I chociaż Fryderyk Wielki pragnął, aby wojny prowadzono, nie naruszając normalnego biegu zdarzeń, armie napoleońskie maszerowały przez Europę i wycofywały się, odmieniając świat na swojej drodze. Historia nie była już domeną archiwów ani książąt, stała się tworzywem codziennego życia. Przemianie tej proroczy i bezpośredni odzew dała powieść "Waverley". I oto znów Lukács znalazł się na świeżym gruncie. Nie można brać Sir Waltera Scotta całkiem serio. Prawdopodobnie jest to niesprawiedliwe. Jeżeli zadamy sobie trud zbadania, jak roważnym twórcą był Scott, i jak głębokie wycucie historii wykazał w "Quentinie Durwardzie", to dobrze będzie, jeżeli przeczytamy książkę napisaną w Moskwie przez węgierskiego krytyka.

/.../ Czy ktoś zgadza się z analizami Lukácsa, czy nie, ich oryginalność i rozległość wniosków jest oczywista. Obrazuje ona zasadniczą praktykę Lukácsa: dokładne studiowanie tekstu literackiego w perspektywie dużo ogólniejszych zagadnień filozoficznych i politycznych. Pisarz i jego książka stanowią punkt wyjścia, z którego wychodzi on ku bardziej złożonemu problemom. Nie traci jednak z oczu zasadniczej myśli i tematu. W końcu dialektyka dopełnia się, egzemplifikując i perswadując w swoim duchu. /.../

Umysłowość Lukácsa jest filozoficzna w sensie technicznym. Literatura wybiera i konkretyzuje te sensy znaczeń, które odnoszą się szczególnie do filozofii. W tym względzie Lukács zalicza się do chlubnej tradycji. Jego "Poetyka" jest krytyką filozoficzną /dramat widziary jako teoretyczny model działania duchowego/; tak samo prace krytyczne o Coleridge'u, Schillerze i Croceme. Jego wywód bywa ciężki, ale i przedmiot argumentacji jest zawsze złożony. Jak inni filozofowie - krytycy, Lukács wprowadza pytania, które komplikują dociekania od czasów Platona. Jakże są podstawowe różnice między epiką a dramatem? Co to jest "realność" w dziele sztuki - starożytne zagadnienie ducha przeważającego nad materią. Jaki jest związek między poetyką wyobraźnią a powszechną percepcją? Tu Lukács podnosi zagadnienie "typowej" osobowości. Czemu niektóre postacie literackie - Falstaff, Faust, Emma Bovary - mają większą siłę życia, niż tysiące irrych wymyślonych bytów? Czy dlatego, że są archetypami, w których skupiły się cechy uniwersalne i przybrały niezapomniany kształt?

Badania Lukácsa bazują na niesłychanie szerokiej europejskiej. Wyda się, że operuje on swobodnie w całym zakresie współczesnej europejskiej i rosyjskiej literatury. To pociąga za sobą rzadkie połączenie nieustępliwiej filozoficznej ścisłości z rozległością spojrzenia. W porównaniu z nim Dr Leavis, równie przeko-

nary moralista i myśliciel - jest jawnie zaściankowy. Pod względem uniwersalności z Lukácssem mógłby równać się jedynie Edmund Wilson.

Medal jednakże ma dwie strony. Krytycyzm Lukácsa ma momenty zaślepienia i niesprawiedliwości. Czasami pisze on zjadliwie i w sposób zawikłany, jakby chciał pokazać, że studia o literaturze to nie rozrywka, a dyscyplina i nauka, są trudno przystępne, jak i inne dziedziny naukowe. Dlatego nie może słuchać wielkich muzyków języka - brak mu ucha, nie ma tego wewnętrznego kamertonu, który Ezra Poundowi umożliwiał natychmiastowe pochwytnie blasku długiego poematu czy zapomnianego romansu. To, że Lukács pomija Rilkego świadczy o ukrytej niechęci do jego wspaniałego języka. Niejednokrotnie jednak pisze sam aż nazbyt dobrze. Choć zaprzeczyłby temu, tym niemniej Lukács ma tendencje do popełniania tego arcy-błędu wiktoriańskiej krytyki, gdzie treść narracji i jakość fabuły wpływały na sąd oceniającego. Nie uwzględnianie przez niego Prousta wywołało wątpliwości co do całości poglądów Lukácsa na literaturę francuską. Lecz konkretna fabuła "W poszukiwaniu straconego czasu", perwersje i zbytki, o których opowiada Proust, wyraźnie drażnią surową moralność Lukácsa. Marksizm jest wiarą purytańską.

Jak wszyscy krytycy, tak i on ma swoje osobiste animozje. Nie znosi Nietzschego i obojętny jest mu geniusz Dostojewskiego. Będąc jednak konsekwentnym marksistą, zaślepienie swoje czyni wartością i oskarżeniem nadaje obiektywny, usystematyzowany sens. Dr Leavis jest ewidentnie zażenowany Melvillem. T.S. Eliot widzi rozklekłe i wnikliwe spory na temat poezji Milтона. Nigdy jednak nie zbywało im na kurtuazji. Argumenty Lukácsa skierowane są "ad hominem". Rozgorczył poglądami Nietzschego i Kierkegaarda, posyła osoby twórców i ich prace do duchowego piekła pre-faszyzmu. Jest to wyraźnie błędna i grotakowa interpretacja faktów. Z czasem wypaczenia jego poglądów stają się bardziej drastyczne. Oszepta do "Destrukcyjności" i eseje o estetyce, które powstały po niej. Niewątpliwie jest to kwestia wieku. Lukács w 1955 roku miał 70 lat, i jego urazy pogłębiały się. Z drugiej strony również przerażony był upadkiem niemieckiej i europejskiej cywilizacji. Szukał sprawców, aby oddać ich pod sąd Historii. Przede wszystkim jednak sądzi, że chodzi tu o głęboki dramat osobisty. Na początku swojej oświecającej kariery Lukács zawarł diabelski pakt z historyczną koniecznością. Ów demon obiecał mu poznanie tajemnicy prawdy obiektywnej. Dał mu moc rozdawania błogosławieństw i rzucać klątw w imię rewolucji i "praw historii". Od momentu, gdy Lukács powrócił z emigracji, diabeł krążył wokół niego, żądając zapłaty. W Październiku 1956 zapukał otwarcie do drzwi...

4.

Dotknęliśmy tutaj eprawy natury osobistej. Rola Lukácsa w rewolucji na Węgrzech i jego późniejszy, odosobniony tryb życia mają decydujące znaczenie historyczne. Zawierają wątek osobistej agonii, niedostępny prawie dla zewnętrznego obserwatora. Człowiek, który traci swoją religię, traci wiarę. Komunściści, dla którego historia stanęła dęba, grozi utrata przekonani. Być może stało się jeszcze gorzej. Kto tego nie doświadczył, zaledwie może sobie uświadomić, jak wygląda taki upadek wartości. Poza tym motywy postępowania Lukácsa nie są jasne.

Przyjął stanowisko ministra kultury w rządzie Nagy'ego. Nie po to, jak sądzę, by znaleźć się wśród przywódców ruchu antysowieckiego, lecz by utrzymać marksistowski charakter intelektualnego życia na Węgrzech i strzec jego radykalnego dziedzictwa przed odradzającymi się siłami katolicko - agrarnej prawicy. A dokładniej, może dlatego, iż Lukács nie mógł ustąpić ze swego skrzydła historii, choćby przybrała ona absurdalne formy. Nie mógł być widzem. Jednak 3 października, na dzień przed wejściem Armii Czerwonej do Budapesztu, Lukács zrezygnował ze stanowiska. Dlaczego? Czyżby uznał, że marksista nie powinien sprzeciwiać się woli Związku Radzieckiego, w którą, na dobre, czy złe, wpisana jest przyszłość materializmu dialektycznego? Czy też został namówiony przez przyjaciół, niespokojnych o jego życie, do wycofania się z przegranej sprawy? Nie wiemy.

Po okresie emigracji w Rumunii Lukácsowi pozwolono wrócić do kraju. Otrzymał jednak zakaz nauczania, a dotychczasowe jego prace stały się przedmiotem złośliwego i coraz gwałtowniejszego ataku. Ataku dotyczącego faktycznie Października. Węgry miały swoje wersje Zdanowa w miniaturze - okrutnego małego człowieka, który nazywał się Joseph Reval. Dawny uczeń Lukácsa, później zazdrośny o jego sławę, Reval opublikował w 1954 roku pamflet o "Literaturze i demokracji ludowej". Wyszłańca ten: stalinowskie zarzuty w stosunku do całego dorobku życiowego Lukácsa. Oskarżony go o konsekwentne pomijanie całej współczesnej literatury radzieckiej.

Uznał zainteresowanie Lukácsa Goethem i Balzakiem za niebezpiecznie reakcyjne. Nawet średniej jakości powieść, napisana przez komunistę, argumentował Revai, jest nieskończenie lepsza od wybitnego dzieła autora reakcyjnego, czy pre-marxistowskiego. Lukács jego zdaniem przedkładał "formalistyczne" ideały literackie ponad interes klasy i partyjny. Zaś jego styl pisania niezrozumiały jest dla czytelnika proletariackiego.

Po Październiku te oskarżenia stały się jeszcze ostrzejsze. Publicyści z Węgier i Wschodnich Niemiec odgrzebali dawne posądzenia o herezję w stosunku do wczesnych prac Lukácsa. Przypomnieli jego młodzieńcze zachwyty nad Stefanem George i wysłedzili trop "burżuazyjnego idealizmu" w dziełach późniejszych.

Mimo to stary człowiek pozostał nietknięty i w wyniku jednego z dziwnych, Salomonowych, wydawanych czasami przez komunistyczne reżimy wyroków, pozwolono mu nawet opublikować mały tom esejów w prasie zachodniemieckiej /Wider den misserverstandenen/ Realismus, Hamburg 1958/. Swoją względną nietykalność mógł zawdzięczać Lukács zainteresowaniu, jakie mieli dla jego sprawy socjaliści - intelektualści zza żelaznej kurtyny. Napewno jednak ważniejsze jest pytanie: jak sam Lukács postrzegał swoje poglądy i osiągnięcia w świetle październikowej tragedii? Czy wciągała go straszna otchłań rozczarowania? Czy na koniec zawiedli go jego bogowie? Nie można dociekać takich spraw zbyt głęboko, byłoby to zachwalstwem; byłoby pytaniem o ukryty świat złudzeń, niezbyt do zachowania religijnej, czy też rewolucyjnej świadomości. Ocena Lukácsa rewolucji węgierskiej zawarta jest w przedmowie, którą napisał w kwietniu 1957: "Ważne wydarzenia zaszły na Węgrzech i gdzie indziej, zmuszając nas do ponownego przemyślenia wielu problemów, związanych z dorobkiem Stalina. Reakcją na to, zarówno w świecie burżuazyjnym, jak i w krajach socjalistycznych, jest jakoby chęć rewizji nauk Marksa i Lenina. Z pewnością stanowią to wyraźną groźbę dla marksizmu-leninizmu". Słowa te wydają się beznadziejnie chybione. Ale pamiętajmy zawsze o jednym: dla ludzi takich jak Koestler, czy Malraux, komunizm był tymczasowym wyrazem pasji. Komunizm Lukácsa zakorzeniony jest w jego intelekcie. Bez względu na to, jaką interpretację przyjąłby dla Października 1956, nie wyszłaby ona poza ramy dialektycznej wizji historii. Człowiek, który stracił zdolność spostrzegania, określa nadal swoje otoczenie w kategoriach zapamiętanych wyobrażeń. Starając się ocalić swój byt intelektualny, Lukács musiał ukształtować w sobie rodzaj wewnętrznego kompromisu; takie karne interwencje we własną świadomość są cechą charakterystyczną kondycji marksisty. Wskazuje na to jego komentarz o zagrożeniu rewizjonistycznym. Jeżeli dobrze rozumiem, Lukács chciał powiedzieć, że epizod węgierski jest ostatecznym rozwinięciem, i zarazem "reductio ad absurdum" polityki stalinowskiej. Polityka ta jednak była fałszywym odchyleniem od doktryny marksistowsko-leninowskiej i sama tyrania jej rządów świadczy o jej bankructwie. Dlatego właściwa reakcja na katastrofę węgierską nie wymaga złamania podstawowych zasad marksizmu. Wprost przeciwnie, trzeba przywrócić tym zasadom ich rzeczywisty sens. Albo też, jak przedstawił to jeden z przywódców buntu: "Pozwólcie nam walczyć z Armią Czerwoną w imię Leningradzkiej Rady Robotniczej z 1917 roku". Być może myśl ta wyraża owe dawne żądne marzenia o komunizmie oczyszczonym z partykularnych ambicji i z obskurantyzmu rosyjskiej dominacji.

Lukács zawsze starał się być odpowiedzialny wobec historii. To upoważniało go do szczególnie dosadnego wyrażania we wszystkich swoich pracach okrutnego i surowego ducha swej epoki. Czy podzielał jego wiarę, czy nie, nie ma wątpliwości, że nadał on pośledniejszej Muzie krytyki szczególną godność. Samotność i stale powracające zagrożenie, jakiego doznawał w późniejszych latach potwierdzają to, co powiedziałem na początku: w dwudziestym wieku nie jest łatwo uczciwemu człowiekowi być krytykiem literackim. I prawdę mówiąc, nigdy nie było...

/tłum.: M.F./

i wesołego człowieka, przepełniona autentycznym, skrywanym bólem.

Druza fotografia przedstawia trzech siedzących za stołem mężczyźni. Na stole butelka wódki oraz zakąski. Za stołem siedzą: Władimir Maksimow, jakiś osobnik mi nieznamy oraz Wieniczka. Autor "Nocy Walpurgii..." jest potężnie zamharasowany, z zażenowaniem uśmiecha się - nie ma co ukrywać, Wieniczka jest po prostu nieludzko skacowany... Opuszcza wiec w pokorze głowę, bojąc się "Boga i ludzi".

Napisany "podczas robót przy układaniu kabla w Szeremietiewie jesienią 1969 roku" poemat "Moskwa - Pietuszki" rozpoczyna się w Moskwie, w drodze na dworzec Kurski. Wieniczka budzi się okrutnie skacowany i przeżywa "godziny największej niemocy i hańby /.../ te godziny od świtu do otwarcia sklepów" /s.19/. Gdy siły najwyraźniej zaczynają go opuszczać, pojawiają się Aniołowie Pańscy, którzy radzą mu udać się do restauracji na dworcu Kurskim, gdzie "jerez nigdy nie wysycha". Wienia dociera tamże, jednak miast ukojenia - spotyka go rozczarowanie: jerez nie ma, a jego wyrzucają za drzwi. "Co było potem - od restauracji do sklepu i od sklepu do pociągu - tego ludzką mową wyrazić się nie da. /.../ Może lepiej tak - minutą milczenia uczcijmy te dwie godziny umierania". /s.24/. Wieniczka wsiada do pociągu i rusza do Pietuszek, gdzie "jaśmin nigdy nie przekwitła", "gdzie syn zaręczył się z własną matką". Jedzie do ukochanej /"ballady w tonacji As-dur", "kurwy porodowej, przez którą cierpi serce poety"/ oraz do syneczka, któremu wiezie podarki, syneczka, który mimo że ma "dopiero 3 latka już zna literę 'w'". Z chwilą wejścia Wieniczki do pociągu fabuła praktycznie się urywa, dalej to już tylko: "Z Moskwy do Pietuszek. Poprzez męczarnie na dworcu Kurskim, poprzez oczyszczenie w Kuczynie, poprzez marzenia w Kupawnie do światła i do Pietuszek. Durch Leiden - Licht!" /s. 57/. Powierzchnię wypełniają opowiadania i rozważania Wieniczki na tematy egzystencjalne, polityczne, moralne, filozoficzne, społeczne i praktyczne. Otrzymujemy m.in. wspaniałą historyjkę o zwolnieniu Wieniczki ze stanowiska brygadzysty; przyczynek do portretu konduktora na linii "Moskwa - Pietuszki", Siemionycza /opłatę pobierał w alkoholu: 1 km = 1 gram/; dyskusję pasażerów o literaturze i Zachodzie; prelekcję Wieniczki na temat sporządzania koktajli /"Balsam Kenański", "Duch Genewy", "Łza Komsomołki" oraz napitek "przymiewający wszystkie inne. To już nie napitek to rajaska muzyka" czyli koktajl "Fsjajucha" - już po "dwóch kielichach tego koktajlu człowiek staje się tak uduchowiony, że można podejść i całe pół godziny płuć mu w gębę z odległości półtora metra, a on słowa nie piśnie"/; oraz zjadliwy pamflet na Rewolucję Październikową. Przez całą podróż Wienia pije i w okolicach stacji Usad /105 kilometr/ doprowadza się do takiego stanu, że już nie wie, gdzie się znajduje i w którym kierunku jedzie. Tą iście kafkowską sytuację kończy zamordowanie Wieniczki /Moskwa - Pietuszki. Nieznana Brama/.

Akcja tragedii rozpoczyna się w sali przyjęć szpitala psychiatrycznego, dokąd przywieziony zostaje główny bohater Lew Guriewicz, Żyd, poeta.

Aron Guriewicz - tym razem postać autentyczna - był wybitnym rosyjskim historykiem średniowiecza. Sądzę, że ta zbieżność nazwisk nie jest zupełnie przypadkowa...

Za co Guriewicz trafił do psychuszki? Otóż stał "lekko podcięty" z przysgodnymi znajomymi na mrozie i nie szła mu para z ust. Znajomi zawiadomili kogo trzeba i Guriewicz trafił do jakiejś przychodni czy poradni gdzie zapytano go "z jakiego powodu idzie mu para". Na nic zdążył się tłumaczyć, że właśnie nie idzie mu para. Guriewicza nadal indagowano "na jakiej podstawie ma parę". W związku z tym Guriewicz poprosił o przewiezienie na 126 komisariat. Uczyniono zadość jego prośbie. Tam Guriewicz, stosując szekspirowskie jamy, opowiedział o sobie:

"podejrzewany, że jest supermenem
i do pewnego stopnia macie rację
tak, tak, istotnie, jestem nadczłowiekiem,
nic, co nadludzkie nie jest mi obce.
Jak Bonaparte, nie potrafię pływać,
Tak jak Beethoven nie lubię się czekać,
nie znam języków obcych, jak Czapajew,
mało wydatny jestem, jak Vespucci
albo Kopernik - ot, czterdzieści stronnic
tekstu przez cały mój bezpłodny żywot.
I, tak jak święty Antoni Padewski,
nóg miesiącami nie myję. Paznokci

nie strzygę, jak niemiecki poeta Hölderlin,
i tygodniami - co mówię, latami -
koszul nie zmieniam, jak owa sławetna
herzherzogini Izabella, żona
Albrechta Austriackiego, matka yeti,
takie to bowiem uczyniła śluby -
nie zmieniać koszul do czasu pełnego
zachodnioindyjskiego triumfu. Ja także
śluby złożyłem: nie zmienię bielizny,
póki ostatni z antybolshewików
na Zachód z naszej ojczyzny nie zwieje
i wreszcie będzie czysta atmosfera.
Jestem więc równy wielkim, choć niestety,
ja od Filipa numer dwa się różnię,
bo nie mam świerzbu ani także wszy,
których miał mnóstwo Sulla, władca Rzymu.

Czy mogę odejść?" "Możecie, obywatelu - powiedziano mi - oczywiście, że możecie.
Teraz odwieziemy was do domu naszym samochodem..." I przywieźli mnie tutaj."

Po wymianie zdań z lekarzem dyżurnym /"W domu wariatów nie należy się wyma-
zać"/, Lew trafia do sali, gdzie nie spotyka się z najlepszym przyjęciem.
Człowiek pobity zostaje przez sanitariusza - zomowca, Borię Walimordę, któremu
przy tegoż zemście. Gdy okazuje się, że istnieje możliwość wykradzenia z magazynu
spirytusu, lody topnieją i kontakt między Guriewiczem i pozostałymi zostaje
nawiązany. Operacja udaje się i jej owocem jest całonocna pijatka. Jej uczestnicy
zaczynają ślepać, a następnie umierać. Okazuje się, że pili alkohol metylowy,
o czym od początku wiedzieli. Ostatni kona Guriewicz.

Głównym tematem utworów Jerofiejewa jest Rosja, zarówno pociąg jak i szpital
są jej symbolami. Jeżeli "Dania jest więzieniem", to sowiecka Rosja czymś znacznie
lepszym; więzieniem psychiatrycznym, gdzie "medycyna leczy duchową słabość"
/"Noc Walpurgii..." s. 8/. "... od pewnego czasu przystąpiliśmy do hospitalizacji
nawet tych, którzy - z powierzchniowego punktu widzenia - nie wykazują objawów
zakurzeń psychicznych. /.../ Ludzie ci z reguły przez całe życie nie popełniają
ani jednego aspołecznego uczynku, ani jednego przestępstwa, nie widać w nich
śladów niezrównoważenia. I to właśnie jest najniebezpieczniejsze i dlatego
muszą podlegać obowiązkowemu leczeniu. Chociażby z powodu ich wewnętrznej niezgody
na społeczną akceptację..." /"Noc Walpurgii..." s. 9/.

Przedstawione w tragedii postacie należą do dziwnego świata, rządzącego
swoistym rytmem podległości. Na szczycie, dostrzegalnym dla Guriewicza, stoi
doktor Raninson, nad którym stoją jeszcze "ważniejsi". Niżej lekarz dyżurny,
cyniczny biurokrata otoczony przez pielęgniarki, które "tylko wykonują swoją
pracę". Do tego jeszcze zbrojne ramię proletariatu: sanitariusz - zomowiec,
Boria Walimorda oraz pacjenci: Prochorow otoczony ordynansami, uzurpujący
sobie prawo do sądenia innych pacjentów. Na samym dole zaś, tam gdzie "aż
czarno od miodu i łopat" /Herbert/, ofiary: Guriewicz, Konradmirał Michajłowicz,
Wicwa. Ta oto szajka trzyma resztę za gardło i siebie nawzajem. Zresztą ustalenie
jakieś granicy wspólnoty interesów jest niemożliwe: podział my - oni nie istnieje.
Wszyscy są jednocześnie ofiarami i katami.

Jednak Rosja Jerofiejewa to nie tylko totalitaryzm. To także - a może przede
wszystkim - lud rosyjski. Jego zwyczaje, obyczaje, poglądy. Większość tych obycza-
jów związana jest z piciem alkoholu i wokół niego krają myśli i czyny wszystkich
postaci. Według Guriewicza w historii Rosji Radzieckiej ostatnich pięciu lat
najważniejszym wydarzeniem było to, że "puste butelki po wódce, które do tej pory
kosztowały 12 albo 15 kopiejek, zaleźnie od pojemności, od tego dnia kosztują
wszystkie 20". Wydarzenie to "zostanie w pamięci milionów na całe pięć lat"
/"Noc walpurgii..." s. 8/. Nawet podczas obchodzącej stary porządek rewolucji
w Pietuszkach pierwszym dekretem buntowników będzie: "zobowiązać Szurę w Połoznach,
żelity otwierać swój sklep o szóstej rano, a nie o dziewiątej trzydzieści" /"Moskwa
- Pietuski" s. 96/.

Wielcy kasandryści spełnienia się totalitaryzmu /Orwell, Zamiatin, Huxley/
w swoich znakomitych powieściach przewidywali, że systemem totalitaryzm uda
się przetrwać w ludziach tzw. "człowieka wewnętrznego". Sądziłi, że nowoczesnym

reżimom nie wystarczy samo panowanie nad człowiekiem, jego zgoda na to i lojalność; zapragną uczynić z niego bezwolny automat - "człowiek wewnętrzny" musi być unicestwiony jako potencjalne źródło niepokoju. "Dość łapania ryb w mętnej wodzie. Czas łapać człowieka!" /"Moskwa - Pietuszki" s. 62/. Te ponure wizje nie sprawdziły się do końca, lecz totalitaryzmowi w znacznym stopniu udało się zatrąć ludzkie serca i umysły w krajach dotkniętych socjalizmem /określenie Jacka Fedorowicza/. W utworach Jerofiejewa tzw. prości ludzie radzieccy porozumiewają się dość dziwnym językiem stanowiącym mieszaninę propagandowego bełkotu i potocznego slangu. W tym języku rozważają oni też tzw. wielkie problemy tego świata. Sam Jerofiejew jest tym przerażony, ale też zafascynowany. Wprowadza ostre kontrasty ukazujące nieprzystawalność tego języka do podejmowanych tematów. Owo uformowane przez propagandę indywidualium, wyposażone w szufladkową konstrukcję świadomości, potrafi z całym przekonaniem wyznawać najrozmaitsze, wzajemnie sprzeczne głupoty. Z jednej strony CIA jawi mu się jako wszechmocna ośmiornica, kiedy indziej zaś jako bezradna, przegniła; raz Związek Radziecki jest krajem "miłującym pokój najbardziej na świecie", natomiast innym razem czerwona chorągiew ma "załopotać nad Kapitołem!"; z jednej strony poczucie osaczenia/"nasi nieprzyjaciele żyją tylko jedną myślą - jak by nas tu zdestabilizować, a potem już ostatecznie..."/, z drugiej - cały świat podziwia, zazdrości, etc.

Homo sovieticus nie widzi tutaj żadnej sprzeczności.

Stosunek do Zachodu jest mieszaną pogardy i podziwu. Jeden z pasażerów pociągu relacji "Moskwa - Pietuszki" zastanawia się czy Włosi "w ogóle coś rozumieją". Pacjenci zaś wysmiewają się z Wielkiej Brytanii "co nie ma nawet Konstytucji". Sprawiają wrażenie, jak gdyby byli powszechnym sumieniem i pepkłem świata. Rozpaczają nad niedolą innych narodów, nad Ameryką, "gdzie wolność jest widmem na tym kontynencie rozpaczy". Pozbawieni możliwości porówny ańia, z wypranym mózgiem i wyprutą duszą, nie są zdolni do ujrzenia nienormalności własnego świata. "Oni sądzą, że jest wszystko normalnie, bo jeżdżą tramwaje" - jak z ironią powiedział do żony Osip Maldensztam, obserwując moskwiian spieszących za swoimi sprawunkami. Do tego wszystkiego należy dodać jeszcze jeden, nieodłączny element systemu: nacjonalizm i antysemityzm. Sowiecki człowiek jest patriotą, arcy-patriotą. Guriewicz gotów jest rzucić się pod "dowolny czołg z wiązką granatów albo i bez wiązki"; za to otrzymuje stosowne wynagrodzenie: "A gdyby mi się wydawało, że to nie dosyć, gdybym się obraził i gdyby ojczyzna pobiegła za mną i zapytała: "Lowa, to dla ciebie za mało? Może ci troszkę dołożyć?", odpowiedziałbym: "Wszystko w porządku, oczywiście, odczep się, sama ni chuja nie masz w kieszeni". /"Noc Walpurgii..." s. 4/.

W takim otoczeniu jedyną płaszczyzną porozumienia i współpracy staje się alkohol, który dla bohatera jest azylem.

W obu utworach jest pełno zabawnych anegdot, wypowiedzi, ludowych powiedzonek, jednak pod precyzyjnie skonstruowaną maską prześmiewcy i satyryka kryje się głęboka rozpacz człowieka świadomego sytuacji, w jakiej znajduje się jego naród. Niektórzy plagę alkoholizmu w Rosji porównują z zarazą w Europie w 1348 roku. Wódka stała się nieodłącznym elementem obyczajowości. Gdy Czarnowasy dowiedział się, że Goethe w ogóle nie pił "aż wstał i włożył beret. - To niemożliwe". /"Moskwa - Pietuszki" s. 68/. "Pozwoli pan, że zapytam - zwrócił się do Wieniczki Czarnowasy - skąd się wzięło tyle smutku w pańskich oczach? /.../ Mógłby ktoś pomyśleć, że pan od samego rana nic nie pił.

Pozukiem się dotknijemy". - pisze Wieniczka /"Moskwa - Pietuszki" s. 71/.

I nie ma żadnej nadziei. Demoralizacja jest kompletna i dogłębna. Dostrzegła to już nawet koncesjonowana literatura sowiecka. W sumie książki Rasputina "Pożar" czy "Dyby" Ajmatowa mówią o jednym: degeneracja człowieka radzieckiego sięgnęła granicy, poza którą jest już tylko totalna klęska. "Słowo honoru, że gardzę tym pokoleniem, które przychodzi na nasze miejsce - oświadcza Wieniczka. Budzi ono we mnie wstręt i trwogę. /.../ Wcale nie twierdzą, że my w ich wieku mieliśmy całą kupę świętości. Broń Boże! Świętości tośmy mieli co kot napłakał, ale za to ile było rzeczy, które nam nie wisiły, a im wszystko wisi". /"Moskwa - Pietuszki" s. 54/.

Jak już zauważyłem, u Jerofiejewa obok przerażenia tym stanem rzeczy pojawia się także fascynacja. Jerofiejew kocha Rosję, świadczy o tym każdym zapisanym przez siebie zdaniem. Niestety, jest to miłość nieodwzajemniona. Próba wtopienia się, stopienia z Rosją nie udaje się. Własna świadomość sprawia, że zawsze zostaje

zdemaskowały i odrzucoły. Fakt, że wrażliwość estetyczna Wieniczki nie pozwala mu publicznie mówić, iż udaje się, aby załatwić potrzebę fizjologiczną, powoduje oskarżenia kolegów, że uważa się za lepszego. "My możemy a ty nie możesz! Znaczący się, ty jesteś lepszy!" /"Moskwa - Pietuski" s. 31/. Owa niemożność porozumienia i współistnienia z zachowaniem własnej osobowości pojawia się wielokrotnie, przy czym w dramacie w o wiele drastyczniejszej formie.

Przez 12 lat poczyniono znaczne postępy w budowie komunizmu.

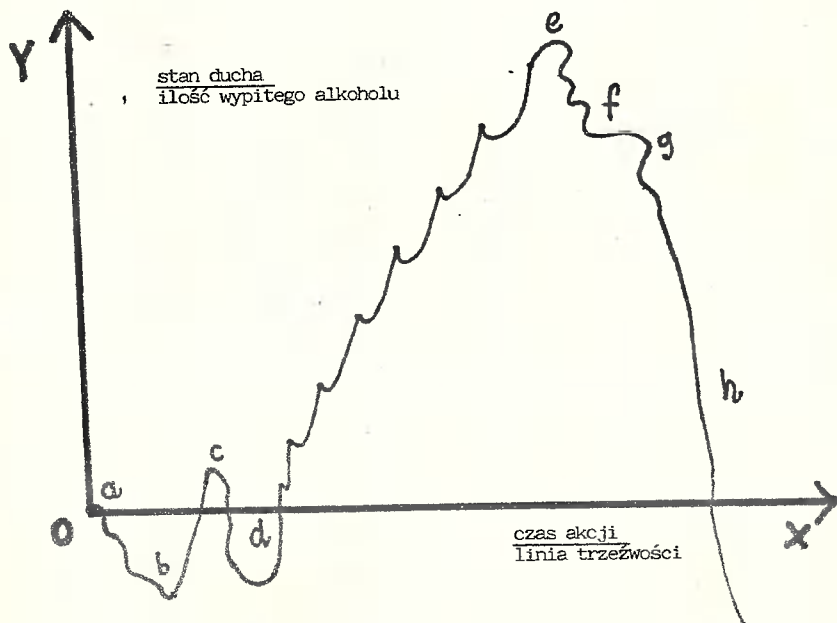
O ile Wieniczka swoją innością naraża się tylko na obrazę kolegów, to już Konradmirał Michajłycz za to, że "zdradził ojczyznę myślą i zamiarem. Krótko mówiąc nie pije, nie pali" a ponadto "ten gównojad palnął coś w tym rodzaju /.../ spirytus ma niezmiernie prymitywny skład chemiczny" musi już zapłacić karą śmierci "przez dożywotnie powieszenie" /"Noc Walpurgii..." s. 17/. Wieniczka cały czas próbuje wyrwać się ku światu ludzi. Kieruje nim poczucie wspólnoty niedoli oraz naturalna chęć współżycia z bliźnimi, jednak zawsze zostaje rozpoznany. Jedyną możliwością porozumienia jest alkohol i w nim Wieniczka znajduje swój azyl.

Główni bohaterowie obu utworów świadomie spychają się na pozycje liszeńców, kłoczardów, kulisów socjalistycznego społeczeństwa lubieżnie konającego w bezwładzie. "I ja uroczyście oświadczam: do końca dni moich nie zrobię nic, ażeby powtórzyła się smutna historia mojego wywyższenia. Pozostaję na dole i z dołu pluje na tę waszą całą drabinę społeczną! Tak, pluje! I dla każdego szczebla tej drabiny przeznaczam jedno splunięcie. Ażeby się po niej wspinać trzeba być najgorszym dupodajcem, od stóp do głów z litej stali. A ja nim nie jestem." /"Moskwa - Pietuski" s. 38/.

Znaczną część prozy Jerofiejewa stanowią próby opisanego życia wewnętrznego. Zadanie to, jak wiadomo od czasów Joyce'a i Kafki, jest niemal beznadziejne. M. Twain w swoich autobiograficznych zapiskach zastrzega, iż nawet nie będzie próbował opisywać swojego życia duchowego, gdyż ze swojej natury jest ono nieprzełazymywalne. Próby Wieniczki prezentują się całkiem niezłe, co jest wynikiem autentyczności wyznań i prawdziwości cierpienia.

Skoro Jerofiejew w swoich utworach zamieszcza różne wykresy, dlaczego niby jego stanów duchowych nie zilustrować wykresem?

Oto on:



Już na pierwszy rzut oka widać oczywiste zależności.

Powyższą tabelkę zilustruję odpowiednimi cytataami.

/a/ "O, nicości! O, znikomości! Och, te godziny największej niemocy i hańby w życiu mojego narodu, te godziny od świtu do otwarcia sklepów. Ileż to zbędnej siwizny przydały one nam wszystkim bezdomnym i tęsknotą zębkarym szatynom." /"Moskwa - Pietuszki" s. 19/.

/b/ "A czy zgodziłbyś się, gdyby ci zaproponowano coś takiego: damy ci zaraz osiemset gram jerezu, ale za to odczepimy żyrandol nad twoją głową i...
- No co, namyślił się pan? Zamawia pan coś?
- Jerezu poproszę, osiemset gramów." /"Moskwa - Pietuszki" s. 22/.

/c/ "I natychmiast wypilem" /"Moskwa - Pietuszki" s. 28/.

/d/ "A gdy wypilem, samiście widzieli jak długo się wykrzywiałem i powściągałem młdości, ilem się naprzeklinał i czartami nasadził. Może pięć minut, może siedem, a może wieczność rzucało mną w czterech ścianach, trzymałem się za gardło i błagałem Boga mego, żeby mnie nie krzywdził. /.../ Wszystko com wypić miało opadało w dół. Było to niczym Wezuwiusz, Herkulanum i Pompeja, niczym salwa honorowa na pierwszego maja w stolicy mego kraju. A ja cierpiałem i modliłem się.

I tuż przed Karaczarowem mój Bóg mnie usłyszał /.../. /"Moskwa - Pietuszki" s. 28/.

/odcinek d-e/ "Spokojny człowiek kiedy wypije siedemset pięćdziesiąt gram, będzie wesóły i zawadiacki. A jeżeli doda sobie jeszcze siedemset? Czy będzie jeszcze weselszy i jeszcze bardziej zawadiacki? Nie, znowu będzie spokojny. Komuś mogłoby się nawet wydawać, że wytrzeźwiał. Ale czy to znaczy, że wytrzeźwiał? Nic podobnego. Jest już pijary jak świnia i dlatego jest spokojny". /"Moskwa - Pietuszki" s. 51/.

/f/ "Widzisz, kiedy powraca trzeźwość, zjawiają się strachy i kolebie świadomości. Gdybym teraz wypił, nie byłbym tak rozszczępiory i nie byłbym w kawałkach". /"Moskwa - Pietuszki" s. 113 - 114/.

/g/ "Jeżeli w sercu narasta trwoga, to trzeba ją czymś zagłuszyć, a żeby zagłuszyć, trzeba coś wypić. A czy mamy coś do wypicia?
- Nie ma nic. Wszystko wypite". /"Moskwa - Pietuszki" s. 115/.

/h/ "O, znikomości! O, nicości! O, te godziny największej hańby w życiu mojego narodu - godziny od zamknięcia sklepów do świtu". /"Moskwa - Pietuszki" s. 119/.

Natomiast najlepiej poglądy na ogólną kondycję ludzką oddają następujące wyznania Wieniczki: "Jeżeli człowiek z rana ma się kiepsko, a wieczorem jest pełen sił, pomyśłów i marzeń - to człowiek taki jest doprawdy bardzo marny. /.../ No ale jeżeli jest na odwrót, jeżeli z rana człowiek dodaje sobie otuchy i pełen jest nadziei, zaś pod wieczór ogarnia go niemoc - taki to już na pewno drań, kombinator, przeciętniak. Wstrętny jest mi taki człowiek. /.../

Bywają ma się rozumieć i tacy, którym jest równie dobrze rano i wieczorem, i wschodowi są radzi, i zachodowi tak samo są radzi - to już po prostu kanalie. /.../ No a jeżeli ktoś ma się tak samo kiepsko i rano, i wieczorem, to prawdę mówiąc, nie wiem już co o takim powiedzieć - taki to już ostatni kutas i najgorszy wyrzutek. Bo sklepy u nas otwarte są do dziewiątej, a Jelisiejewski nawet do jedenastej, i jeżeli nie jesteście skończony nicpoń, to do wieczora do czegoś jednak dojdiesz, na jakiś bodaj maleńki szczyt się wzniesiesz". /"Moskwa - Pietuszki" s. 27/.

Tedy mając "wszechogarniającą świadomość własnej marności" Wieniczka "urodzony w kaftanie bezpieczeństwa", "mając poczucie jakby był okupowany" jest pokorny wobec Absolutu, ale jednocześnie, gdy wzniesie się na wyżyny, buntowniczy wobec zastanych momentów życia. "Pogódź się, Wieniczka, chociażby z tym że dusza twoja pojmie więcej niżeli głowa. A zresztą na co ci rozum, jeżeli masz sumienie, a prócz sumienia - smak". /"Moskwa - Pietuszki" s. 41/.

Zakończenia obu utworów są głęboko katastroficzne. W "Moskwie - Pietuszki", Wieniczkę dopada czterech typów o "zupełnie nie bandyckich gębach". "Gdzie, w jakich gazetach widziałem te gęby"? /s. 123/. Wieniczka próbuje uciec, ale nie udaje mu się. W nieznaną bramie osobnicy dopadają go i wbijają mu w gardło sztyko. "Nabrzmiała gęstą czerwienią litera "w" rozplynęła mi się w oczach i zadrżała. I od tej chwili już nie odzyskiwałem przytomności i nie odzyskam już nigdy" /s. 126/. Znaczenie tej alegorii jest dwojakie. Wspomniane "cztery

typy" to oczywiście ubecy /ileż razy to ja już słyszałem teksty typu: "Grzeczny ten ubek i nawet twarz taką miał kulturalną!/. Tak oto wygląda nasza wolność, a raczej jej iluzja w kraju, gdzie państwo uważa obywatela za swoją własność. Uważamy się za wolnych często nie zdając sobie sprawy, że nasze życie, wolność, całość szczęśliwości, itd. zależy od decyzji jakiegoś mniejszego lub większego czeladnika. Nie rozumiejąc tego, iż to, że możemy spacerować ulicami jest wynikiem kaprysu nieznanego nam kacyka, budzimy się z ręką w nocniku, gdy opryszek sztydłem odziera nas ze złudzeń naszej wolności. Zakończenie poematu można odczytać także jako porażenie świadomością, przy czym akt unicestwienia staje się aktem stworzenia - przejścia na stronę "byszczych ludzi".

O ile w poemacie postacie malowane są z dickensowską ironią, to już z dramatu wionie raczej gogolowska atmosfera. Rozwiązaniem akcji w "Nocy Walpurgii..." jest ślepienie, konanie, a następnie śmierć pacjentów. Piją alkohol metylowy, o czym zresztą wiedzą od początku. Świadomie, z konsekwencją zmierzają do katastrofy. Nawet gdy na placu boju pozostają tylko Guriewicz i Prochorow /pozostali już nie żyją/, nalewają sobie jeszcze po jednym... Alegoryczne znaczenie tego wydarzenia wydaje się oczywiste: oto kierunek, w którym żąda sowieckiego społeczeństwo. Jako dodatkowy symbol Jerofiejew wprowadza papugę, która podczas konania Guriewicza skanduje: "Władymir Siergieicz! Władymir Siergieicz! Do roboty, do roboty, do roboty, na chuj, na chuj, na chuj".

No właśnie.

Tragedia jest skonstruowana w klasyczny sposób. Natomiast "Moskwa - Pietuszki" zorganizowana jest niekonwencjonalnie. W motyw podróży wkomponowane są fragmenty i gace z powodzeniem funkcjonować odrębnie. Pełnią one rolę alegorii, paraboli, i perboli oraz symboli. Autor sięga po wszelkie możliwe środki wyrazu. Momentami prowadzi realistyczne opowiadanie, czasem uprawia mistyczną fantastykę, innym razem razem narracja prowadzona jest tzw. "strumieniem świadomości" /choć nie ortodoksyjnym Joyce'owskim kształcie/, w końcowej części poematu porywa się nawet na tworzenie aury kafkowskiej sieci, co w większości przypadków prowadzi do opłakanych skutków, a u Wieniczki wypada całkiem niezłe. Warto odrębnie szkicu jest także stosowany przez Jerofiejewa język. Patoś, ekstaza, subtelne wyznania połączone z wulgarnością, proza i poezja, liryczny krzyk i pijański bełkot, filozoficzne tryady w ulicznym wykonaniu.

Jeżeli już szukać utworów zorganizowanych w podobny sposób to niewątpliwie należy do nich twórczość Wasilija Rozanowa /1856 - 1919/. Człowieka, którego "cała Rosja przeklina i którego cała Rosja czyta" - jak pisze Nikita Stawisky. Podobieństwa między twórczością obu tych ludzi są uderzające. W zasadzie różni je głównie zewnętrzna tematyka: Rozanow - temat powszedniości, rodziny; Jerofiejew - alkohol.

Rosyjska proza ma swój niepowtarzalny klimat. Zapoczątkowany przez Czechowa i Gogola nurt stworzył cały rząd znakomitych pisarzy, do których zaliczyć należy także Wieniczkę. Jest to wielka literatura, w której obok poważnych problemów także miejsce na humor; więcej nawet - humor staje się środkiem w ich przekazywaniu. Obok wspomnianych pisarzy nie sposób pominąć takich nazwisk, jak: Zoszczenko, Bułhakow, Zinowiew - by poprzestać tylko na najwybitniejszych - których twórczość odegrała znaczący wpływ na Jerofiejewa. Stawisky zwraca uwagę, że podczas lektury "Moskwa - Pietuszki" nasuwają się proste skojarzenia z poematem Gogola "Martwe dusze". Bez wątplenia twórczość autora "Szynele" odegrała niepoślednią rolę w powstaniu poematu "Moskwa - Pietuszki". Jednak pomijając Gogolem a Jerofiejewem istnieje pewna poważna różnica. Gogol żywił do człowieka nienawiść, choć nie w klasycznym celine'owskim ujęciu. Gogolowski świat tworzą wstrętne, do dna zepsute potworki, coś jakby antyludzie. Twórczość Jerofiejewa wypływa zaś - dotyczy to w większym stopniu poematu - z owego humanistycznego, szekspirowskiego założenia, iż człowiek jest mimo wszystko "zwierzęciem szlachetnym", choć czytając "Noc Walpurgii..." można odnieść wrażenie, że opisywana dinozaura nie jest odchyleniem od normy, a właśnie normą i gdyby Jerofiejew napisał tylko tę tragedię, powyższych słów nie można byłoby napisać. W podobny do Jerofiejewa sposób rosyjską rzeczywistość postrzega inny znakomity rosyjski pisarz, Aleksander Zinowiew, twórca terminu "homo sovieticus". Jednak terenem Zinowiewa jest głównie mentalność sowieckiego inteligenta, podczas gdy Wieniczka zajmuje się głównie własną oraz tzw. prostym człowiekiem. Ponadto autor "Nocy Walpurgii..." nie rości sobie pretensji, aby jego jednostkowa wizja, jego literatura była uznawana za traktaty naukowe.

Literatura jest buntem. Wyrzucenie poza społeczeństwo lub odmienne poglądy pozwalają na krytyczne patrzyenie. Dzięki "wstecznicztwu" poglądów Balzaka zdemaskował burżuazyjne społeczeństwo, a Dostojewski wynaturzenia, do których mogą prowadzić tzw. "postępowe" ideologie. Reakcje na "odrzuconie" bywają różne. U Jean Geneta spowodowało ono agresję i odwrotność postawy. Genet odrzucił wszelkie normy moralne stawiając zbrodnię. Wieniczka, także odrzucony i nierozumiany, również protestuje, z tą jednak różnicą, że ostrze swojego buntu kieruje w równym stopniu przeciw społeczeństwu, jak i przeciwko sobie. Trudno powiedzieć na ile zastosowanie na tutaj przewrotna myśl Nietzschego: "kto sam się upokarza, chce być wywyższony", niemniej fakt, iż Wieniczka poszukuje także "wiru własnej" wystawia mu jak najlepsze świadectwo.

Świat pokazywany przez Wieniczkę jest światem spełnionej Apokalipsy. W tym świecie główni bohaterowie, zatruci świadomością, to już tylko "bywalszy w liudi", umarli za życia. Warto zwrócić uwagę, że jedynie w języku rosyjskim funkcjonuje podobny termin: były człowiek! Aby nim nie być, należy przed "cogito ergo sum" postawić: "non".

Warto o tym pamiętać, szczególnie teraz, kiedy to dziwka próbuje stroić się w szaty Królowej Śnieżki.

Orwell przewidywał, że literatura umrze w warunkach totalitarnych. Tymczasem literatura rosyjska na się całkiem nieźle w odróżnieniu np. od literatury polskiej. Ma ona swego rodzaju specyfikę spowodowaną głównie warunkami rozwoju oraz ogólną sytuacją w Rosji. Niedawno holenderski profesor slawistyki, Karel van het Reve w swojej "Historii literatury rosyjskiej" wystąpił z tezą, że literaturę rosyjską należy odbierać w ogóle bez spoglądania na tzw. tło /podbudowę/, tj. na warunki społeczno-polityczno-kulturalne. Teza Holendra wydaje się trudna do utrzymania. Trudno wyobrazić sobie czytanie Rosjan bez znajomości problemu tzw. "lisznych liudi" /Rudnin, Pieczorin, Czacki/; bez rozumienia istoty sporu okcydentalistów i słowanofilów i wynikających z niego konsekwencji; bez antropologicznego wczucia się w rolę artysty atakowanego zarówno przez władze, jak i radykalnych krytyków; bez choćby pobieżnej znajomości rewolucyjnego nihilizmu Nieczajewa i Bakunina, nihilizmu, który stał się jednym ze źródeł bolszewizmu. Nieznajomość tych spraw znacznie ogranicza możliwości recepcji.

Wgłębianie się w owe "przekłete problemy" rodzi także szereg zaciemniających widzenie skutków ubocznych i może sprawić, że w ocenie literatury całym naszym kryterium staną się emocje. Czy to jednak źle? Sądzę, że przeciwnie.

W swojej ostatniej powieści "Wszystko inaczej" /Puls, Londyn, 1986/ Kisiel broni się przed wpcchnięciem w "rosyjskie schematy tragizmu". Cóż jednak począć, skoro tragiczny los jest rzeczywistością? Można ją oskarżać współczując ofiarom. A Rosjanie są narodem, który pierwszy i najwięcej ucierpiał z rąk międzynarodowego komunizmu.

Twórczość Jerofiejewa jest w Polsce niebywale popularna. Poemat "Moskwa - Pietuszki" był kilkakrotnie wydawany przez wydawnictwa podziemne, w 1981 roku wystawiały go teatry studenckie. Uderza dysproporcja pomiędzy popularnością twórczości autora "Pietuszek" a ilością poświęconych mu szkiców. Poza słowem wstępnym Nikity Stawisky'ego w polskim wydaniu poematu /w którym o samym Jerofiejewie bardzo niewiele/ oraz krótką wzmianką w "Dzienniku pisarzem nocą" Gustava Herling-Grudzińskiego /gdzie nazywa on poemat arcydziełem/, nigdzie nie natknąłem się na omówienie twórczości Wieniczki. Nawet tak wytrawny znawca literatury rosyjskiej, jak Andrzej Drawicz w swoim sporze z emigrantami rosyjskimi /"Krytyka" nr 21/ nie wymienia w ogóle jego nazwiska. Tzw. poważna krytyka dotychczas nie zajmowała się Wieniczką. Stawisky twierdzi, że "na szczęście". Bez wątpienia szczęście mieli polscy czytelnicy Jerofiejewa otrzymując translatorskie arcydzieła: "Pietuszki" tłumaczyła Nina Karsov i Szymon Szechter, natomiast "Noc Walpurgii..." Irena Lewandowska /m.in. współautorka przekładu "Mistrza i Małgorzaty"/. Aby pojąć, jak trudnego zadania podjęli się tłumacze i jak znakomicie się z niego wywiązali, wystarczy choćby pobieżny rzut oka na oba teksty.

W samej Rosji Jerofiejew jest mało znany, z czego zresztą znakomicie zdaje sobie sprawę adresując przedmowę - postowie swoich "pierwocin dramaturgicznych" do "Wielce Szanownej Milicji", gdyż bez wątpienia w Rosji głównie pracownicy KGB będą jego czytelnikami. Jeżeli chodzi o stosunek rosyjskiej emigracji do jego twórczości, to jest on zróżnicowany, choć przeważa mniej lub bardziej

manifestowany dystans lub wręcz otwarta wrogość, szczególnie w środowiskach o nacjonalistycznej proweniencji. Zapewne spowodowane jest to pretensjami o tzw. "kalanię własnego gniazda". Nabokov w szkicu "Rosyjska literatura, cenzorzy i czytelnicy" /Biblioteka Promienistych, Kraków 1987/ zauważył, iż prawie wszyscy wielcy pisarze rosyjscy przeszli przez ten dziwny podwójny czyściec, atakowani z jednej strony przez tyrana, z drugiej zaś przez jego wrogów. Los taki stał się także udziałem Wienicki. Tymczasem dystans i indywidualne spojrzenie /niekoniecznie "prawdziwe"/ jest warunkiem *conditio sine qua non* literatury.

Profetyczność sztuki ujawnia się po latach. Jednak, mimo iż wizja Wienicki jest w ogólnym zarysie podobna do mojego postrzegania tzw. ostatniego stadium socjalizmu, nie chciałbym jej spełnienia.

Hercen napisał kiedyś, że literatura rosyjska była nieprzerwanym oskarżeniem rosyjskiej rzeczywistości. Twórczość Jerofiejewa będzie bez wątpienia jednym z wybitniejszych dzieł w tym nurcie.

Cezary Kaźmierczak

AGATA ZALEWSKA

JAK STRZELAĆ DO POETÓW?

Człowiek, który przyszedł do Dzierżyńskiego prosić o zmiłowanie dla Gumilowa i spytał: "Czyż można rozstrzelać jednego z kilku największych poetów Rosji?" usłyszał odpowiedź: "Czy należy czynić wyjątek dla poety, gdy rozstrzeliwuje się innych?" /M. Heller, A. Niekricz "Utopia u władzy", "Krag" 1986, s. 113/

Człowiek wewnętrzny, wieszcz i społeczeństwo, systemy i poezja, władca i poeta - zbitki takie przychodzą mi do głowy, nieuporządkowane i chaotyczne, kiedy czytam o poezji rosyjskiej i poetów rosyjskich naszego wieku. Chciałabym to uporządkować w całość wyjaśniającą cokolwiek, mądrą i klarowną, naszpikowaną erudycją, podającą fakty, fakty i jeszcze raz druzgocące fakty. O czym? O okrucieństwie systemu? O cierpieniu prześladowanych? O poetach bez czytelników? O poetach w łagrach, bezimiennych grobach? Poetach sztykanowanych, dręczonych, samotnych, poetach odmawiających współpracy, poetach idących na współpracę, struchlałych ze zgrozy o najbliższych, dumnie mówiących nie, poetach piszących donosy, kaszających się, poetach-gnidach i poetach-pomnikach? Po co o tym pisać? To wszystko znane, przynajmniej to, co poznać można, wspomnienia, opinie świadków, fakty które uniknęły czystek w archiwach, uniknęły deformacji; powtarzanie tego to powtarzanie truizmów. Więc przed podjęciem tematu już nie mam żadnej motywacji, by temat podjąć. Przecież już Mickiewicz pisał o ludzi, "który swoje morduje proroki". Stosunek Rosjan do ich poetów cechuje cynizm i bałwochwalstwo. Jest pełen paradoksów. Wyłowić je z poetyckich biografii, takich sztampowych, okrojonych /drugi obieg też w tym wypadku zawodzi/ jest niemal niemożliwe. Jest też niebezpieczne. Łatwo można zostać posiadaczem o fałszywej interpretacji faktów lub "biografizm" czyli podporządkowywanie faktów z życia poetów założonemu z góry tematowi, tłumaczenie zjawisk w ich twórczości zdarzeniami w życiu zewnętrznym, co bywa źle widziane. Ale co ja na to poradzę, że np. "Zeszyty woroneskie" Mandelstama to całkowiata zmiana toru, podobnie jak Achmatowej "Anno Domini MCM XXI"? To się czuje i słyszy. I pytanie o przyczyny nasuwa się samo. Nie potrafię sobie wyobrazić, by można było rozpatrywać poezję nowoczesną w oderwaniu

od kontekstu historycznego i politycznego. Można się odnosić do wiary w jakikolwiek związek czy wpływ rzeczywistości na twórczość, na indywidualność poetycką. Ale trzeba mieć świadomość w jakiej epoce ta indywidualność się zrodziła, istniała, tworzyła. Ta świadomość wzbogaca naszą interpretację, odbiór czytelniczy staje się pełniejszy. Musimy też zdawać sobie sprawę, że rewolucja i to, co działo się po niej w Rosji to coś niewyobrażalnego, coś, o czym w ogóle - nawet gdybym to widziała na własne oczy - nie potrafiłam pisać, może tylko jakimś symbolem, oznaczeniem, we fragmentach jakichś, przez metaforę? Bo czegoś takiego jeszcze nie było. Do opisanie tego nie jest przygotowany język. Więc co może w takim razie robić poeta? Poeta jest wedle ustalonych przekonań - sejsmografem, dynamometrem, systemem miar i wag etycznych, ma oceniać, wyrażać, nadawać ton, opisywać, przetwarzać. Tego na ogół się od niego oczekuje. Wartość poezji sprawdza się jednym pytaniem: czy spełnia powyższe oczekiwania. Więc jak było w Rosji?

A. Bielek pisał: "W swych najcięższych dniach Rosja była jak ogród słowiczy - poetów zrodziło się jak nigdy dotąd: brak sił by żyć, a wszyscy śpiewają". To trochę niefrasobliwie sformułowanie. Rewolucja - jak każdy dziejowy kataklizm - niewątpliwie wyzoliła w poetach nowe siły twórcze. Na ile ogromny wybuch poezji miał przyczynę w rewolucji, a na ile w fermentie i rozkwicie życia kulturalnego przed rewolucją - trudno osądzić. Ta druga przyczyna wydaje się realniejsza. Lata dwudzieste i trzydzieste w poezji rosyjskiej to ciągłe czerpanie z tego potencjału sił, który nagromadził się przed rewolucją - czy to na zasadzie kontynuacji, czy odszczepieństwa.

Rewolucja była wyczekiwana i inteligencja zdawała sobie sprawę, że musi i ona nastąpić. Przewidywano różne warianty przyszłości. Oczekiwano przede wszystkim demokratyzacji życia w najszerszym pojęciu. Nikt jednak nie mógł przewidzieć, że po rewolucji lutowej jesienią 1917 r. przejmą władzę bolszewicy z Leninem na czele. Trzeba pamiętać, że bolszewicy doszli do władzy w Piotrogradzie w zasadzie zupełnie bezboleśnie, bez ofiar, zamach bolszewicki nie był krwawym przewrotem. Piękło rozpoczęło się dopiero później. "Jesteśmy jak zakochani romantycy - pisał w 1917 r. Gorki mając na myśli rewolucję - uwielbialiśmy ją, ale przyszedł jakiś cham i brutalnie zgwałcił naszą ukochaną". Gdy czyta się np. "Utopię u władzy" widać wyraźnie żelazną, nieubłaganą konsekwencję, z jaką bolszewicy niszczyli wszystko, co stało im na drodze do władzy. Metodycznie, etapami, z logiką sataniczną. Wiemy przecież, że w dziedzinie propagandy i metod łepienia przeciwnika hitlerowcy niejednego uczyli się od bolszewików. Stosy "nieprawomyślnych" książek, które w latach 30-tych zapłonęły w Berlinie to była historia. Oficjalne ustawy KC partii od 1921 r. i I Zjazd Pisarzy Sowieckich z 1934 r. - to była metoda, która skutecznie działała przez lata.

Wróćmy do poetów. Na razie wszystko jest niby bez zmian. Ale w zasadzie lata dwudzieste, wczesne, to jeszcze resztki swobód twórczych. Ale inteligencja, wszystkie jej grupy już z góry spisane są na straty. Lenin wie, że nie może sobie pozwolić na "kontrrewolucję". Pod słowo to oczywiście można podciągnąć wszystko, nie tylko konkretne działania polityczno-militarne. Inteligencja wg Lenina jest z zasady kontrrewolucyjna. Wychowana w burżuazyjnej ideologii nie da się łatwo przechrzcić. Tym bardziej, że rewolucja nie spełniła jej ideowych oczekiwań. Po oszołomieniu pierwszym triumfem czy pozorem triumfu - przeszło otrzeźwienie. Kto wie, czy nienawiść Lenina - bo od niego to przecież wyszło - do inteligencji nie miała źródeł w tym, że nie chciała, nie mogła uznać ona jedynowładztwa Lenina, nie godziła się na jego metodę terroru. A przecież wszelkie posunięcia Lenina wskazują, że świadomie i konsekwentnie dążył do przejęcia władzy. "Partia i Lenin - bliźnięta bracia".

Idea Lenina było całkowite podporządkowanie życia umysłowego i kulturalnego Rosji partii - czyli sobie. Partia decydować miała o tym, co pisać i jak pisać, decydowała o tematyce i środkach artystycznych. Nie chcących się podporządkować - tepiono. Ponieważ nie sposób w krótkim eseju nakreślić choćby pobieżnie, nie unikając uproszczeń, skomplikowanego procesu niszczenia poetów, spróbujemy prześledzić go na konkretnych przykładach losów pojedynczych twórców - nie po to by doszukiwać się typowości, nie po to by ogarnąć jedną definicją rozmiar zniszczenia, nie po to by uogólniać. Pisać ogólnie to skazać tę grupę na anonimowość. Czytelnik w końcu utonie w natłoku cyfr, nazwisk, które będą postaćmi dźwiękami. Spróbujemy wtargnąć w ich osobiste losy, nie w celu bezwzględnej wivisekcji lecz - właśnie, po co? Minęło tyle czasu, rzeczywistość, która nas

otacza nie jest, jak twierdzą niektórzy, taka najgorsza. Żyć się da. Nie strzela się nikomu w tył głowy za nienawiść do komuny, za "burżuazyjne" poglądy. Mamy niezależny obieg wydawniczy i każdy może mówić i pisać co chce i gdzie chce. Kwestia wyboru strony barykady. Więc może po to, by stworzyć z losów prześladowanych poetów umoralniające egzempla, zbudować im historyczno-literacki pomnik? Podzielić: ten się zachował godnie, ten się ześwińił? Tymczasem problem wyciągnięcia głębszych wniosków to nie tylko sprawa znajomości faktów. To także kwestia intuicji, wyczucia atmosfery tamtych lat, o których ciągle tak mało wiemy. I mając taką pół intuicyjnie zbudowaną panoramę można dokonać gwałtownych zbliżeń na losy kilku ludzi, o których wiedzieliśmy cała Rosja i których poetycki geniusz stał się przyczyną ich tragedii w sowieckim państwie. I robić to należy ciągle, ciągle bez względu na czasy, poglądy, systemy. Bo na przykładzie losów kilku poetów można uświadomić sobie jak system niszczy jednostkę wybitną. Metody te należy poznać. Bo póki istnieje system - metody się nie zmieniają. Mogą przybrać inną maskę. Twarz zostaje ta sama.

"ZAMYKAM OCZY, ŻEBY NIE WIDZIEĆ TYCH MAŁP"

Aleksander Błok. Niewątpliwie największy poeta przełomu wieków, w chwili wybuchu rewolucji lutowej był najślawniejszy. Był już dla Rosji tym, czym był Puszkina. I on oczekiwał rewolucji. Oczekiwanie to było stanem, który ukształtował się w wyniku długich przemyśleń, poglądów o tym że musi upaść stary świat i powstać świat nowy, lepszy formowały się u Błoka od lat wielu. Główną cechą jego poglądów była negacja tego, co istnieje w Rosji oraz przeświadczenie o jej wyjątkowej roli. Rosja - ciemna, pogrążona w zacofaniu, cierpiąca, będzie im krajem, który wskaże drogę innym narodom, odrodzi się w bólu i śmierci. I dlatego ofiary dyktatury proletariatu, morderstwa i gwałty, głód i bezprawie rzyjnował jako zło oczywiste i konieczne, którego nie da się uniknąć. Wierzył, że zło to przeminie i nastanie nowy wspaniały świat. "Artysta powinien wiedzieć, że tej Rosji, która była - nie ma i nigdy nie będzie. Europy, która była - nie ma i więcej nie będzie. Świat wkroczył w nową erę. Tamta cywilizacja, tamta państwowość, tamta religia - umarły". Błok przyjął po prostu władzę bolszewików z całym dobrodziejstwem inwentarza. Koszmar caratu miał się już nigdy nie powtórzyć - to miał być pewnik, który legalizował wszystkie, zdawało się przemijające, zło. Bardzo łatwo było pogrzebać cywilizację jednym słowem - trudniej jak się okazało żyć bez niej; w pustce, która wkrótce zamieniła się w dławiącą duchotę. "Puszkina - powiedział Błok na krótko przed śmiercią podczas akademii poświęconej Puszkiniowi - umarł nie od kuli D'Anthesa. Umarł z braku powietrza. /podkr. A.Z./ Wraz z nim umierała jego kultura". Rewolucja przyniosła Błokowi nadzieję - i nadzieję tę zniszczyła. Zniszczyła Błoka, pozbawiając go najbliższych, niszcząc mu dom, zmuszając do biurokratycznej pracy, której bezcelowość go przeraża, pozbawiając warunków nie tylko do pracy, w ogóle do życia. Moralne poparcie, jakiego Błok udzielił rewolucji miało jak powiedzieliśmy - źródła w jego poglądach. Trudno je zlepić w jeden system - w Dziennikach np. wiele jest sformułowań wzajemnie sprzecznych. Mówiliśmy o negacji - Błok uważał, że cała współczesna mu kultura i cywilizacja musi runąć - lecz że upadek jej zaczął się o wiele wcześniej. Rozwój kultury i cywilizacji, w ogóle rozwój świata potępował i przedstawiał metaforycznie jako muzyczną harmonię i muzyczny rytm. Do końca XVIII w. kiedy wszystkie wątki ludzkiej myśli i wszystkie przejawy ludzkiej działalności biegły harmonijnie, uzupełniając się wzajem - w świecie sztuki i literatury panował humanizm - właśnie jako symbol harmonii. To porównanie z muzyką u Błoka traciło znamiona metafory. Błok traktował je dosłownie. Dla niego żywiołem twórczym była muzyka. "Na początku była muzyka. Muzyka jest istotą świata. Świat rośnie w elastycznych rytmach. Rozwój świata jest kulturą. Kultura jest rytmem muzycznym". Muzyka spajała różnorodne zjawiska życia w całość - tak było do końca XIX wieku. "Wielki, muzyczny, syntetyczny, kulturalny prąd humanizmu, przeżywający się sam spontanicznie, spotkał na swej drodze w progu XIX stulecia nową formę, przychodzącą na zmianę /ruch mas/; i właśnie o ten nowy ruch rozbił się humanizm, rozbił się jego muzyczny styl - barok". W dalszym ciągu rozwoju dawną kulturę humanistyczną opuszczał "duch muzycznej zwartości" - co najsilniej było widoczne w nauce, rozszczerzonej na setki dyscyplin i obwarowanej tłumem "gabinetowych" wtajemniczonych. Dotyczy to również polityki, gdzie miejsce ma "nieustające migotanie form państwowych, szpatmatyczne przerabianie granic". W literaturze pojawiają się nowe szkoły i kierunki, podobnie dzieje się w sztukach plastycznych - kulturze brakuje wspólnoty. Kultura zachodnioeurope-

jęska usiłując podtrzymać wg Błoka związek z ginącym humanizmem. Inaczej natomiast rzecz ma się w Rosji, która nie ma takich tradycji kulturowych jak Europa Zach. - ale jest młoda, świeża, lud bowiem jest wg Błoka tą grupą, wśród której jeszcze jest obecny "duch muzyki". Lud ten /ruch mas/ rozsadzi starą formę państwową; cywilizację XIX w. /cywilizacja wg Błoka zaczyna się tam, gdzie kończy się kultura humanistyczna, a więc ta zbudowana na spoiwie muzyki/. "Wśród hałasu zaostrzonych swarów i własni nacjonalistycznych już jst wyczuwalna epoka, kiedy najmłodsze rasy pójda ramię w ramię z najstarszymi przy dźwiękach radosnej muzyki, która zabrzmiała dla dzielącej je do niedawna cywilizacji jak marsz żałobny". To będzie właśnie ta wyczekiwana, "muzyka rewolucji" - powrót do harmonii w życiu narodu. Sformułowanie to rzucało Błokowi w twarz jak szyderstwo wówczas, gdy opowiedział się po stronie rewolucji, ściślej - bolszewików. Czy uczynił to z pełnym przekonaniem - tego nie dowiemy się nigdy. Błok zdawał sobie sprawę, że należy do starej epoki. Jak by nie było wychował się w tej zniechęconej, antymuzycznej cywilizacji końca XIX wieku. Wiedział, że NOWE, które nadchodzi jest mu obce - nie przypuszczał jedynie /któż wtedy przypuszczał?/, że NOWE będzie tak potworne. I że on sam też będzie zniszczony. Pierwszy krok: przyjęcie zaproszenia do Smolnego w listopadzie 1917 r. na naradę przedstawicieli inteligencji twórczej. Oprócz Błoka ze świata artystycznego zjawili się tylko dyrektor MCHAT Meyerhold i Majakowski. Srodowiska inteligencji, literackie nie mogły tego Błokowi przebaczyć. Bolszewicy od początku nie mieli nigdy poparcia u tej grupy. W każdym razie w 1917 r. współpraca z bolszewikami była czymś karygodnym. Błoka dosięgnęła towarzyska - i nie tylko - anatema, Bolszewików nie uważano za lekarstwo na niepowodzenia rewolucji lutowej, na rozczarowanie, jakie ze sobą niosła. Wkrótce po dojściu bolszewików do władzy zastrajkowali nauczyciele największych miast Rosji, potem lekarze, urzędnicy urzędów państwowych, także kadra techniczna i naukowa. Lenin mimo iż uważał inteligencję za tę grupę, która wnieśli do proletariatu świadomość rewolucyjną nie ufał inteligencji. Dalsza polityka bolsz wików będzie kontynuować to nastawieni - grupa ta będzie zawsze traktowana wrogo, eksterminowana, prześladowana. Ten stosunek komunistów do inteligencji jest zniemierny, stanie się on wkrótce nie tylko charakterystyczną cechą wszelkich posunięć w polityce w wewnętrznej, ale wręcz składnikiem ideologicznym systemu władzy totalitarnej. Tymczasem mamy Błoka na kanapie w Smolnym. I trzeba wykonać następne kroki. Coraz trudniej się wycofać. Z ważniejszych funkcji pełnionych przez poetę w latach 1918-21 znacząca jest funkcja członka kolegium Wydziału Literackiego Ludowego Komisariatu Oświaty, przewodniczącego Piotrogrodzkiego Oddziału Wszechrosyjskiego Związku Poetów, udział w jury konkursu na pomnik ofiar rewolucji /wspólnie z Gorkim i Łumaczarskim/, udział w obchodach pierwszej rocznicy rewolucji, obchody jubileuszu Gorkiego /50 lecie urodzin/, udział w pracach Związku Działaczy Literatury Pięknej, udział w wielu pracach redakcyjnych związanych z przedsięwzięciami wydawniczymi /m.in. wydanie klasyków rosyjskich, firmowane przez Komisariat Oświaty/. Swą solidarność z bolszewikami zadeklarował Błok jeszcze przed przewrotem bolszewickim, wczesną jesienią 1917 r. w rozmowie z Zinaidą Giippius, która próbowała namówić go do współpracy z gazetą antybolszewicką. "Tak, jeśli chce pani wiedzieć, jestem raczej z bolszewikami" - powiedział Błok, odmawiając współpracy. Deklaracja ta przyniosła mu miano zdrójcy - tym boleśniejsze dla niego, że jak dotąd sprawował w swoim pokoleniu rząd dusz, był autorytetem, cieszył się zasłużoną sławą i szacunkiem. Współpraca z bolszewikami przyniosła mu przede wszystkim uczucie wyobcowania - to zawsze ma tragiczną skutki dla poety. Wyobcowania w całym pokole - niu twórczym. Wyobcowania w grupie

Błok był niezwykle pracowity, sumienny i dokładny w pracy. Otaczający chaos przyprawiał go o zawrót głowy, pogłębiał uczucie zagubienia. Wydaje mi się, że najstraszniejsze musiało być uczucie, że staje się niepotrzebny jako poeta, tzn. jako poeta taki, jakim był dotychczas. Że ta nowa, przez muzykę rewolucji powołana do życia kultura wymaga czegoś zupełnie niezgodnego z jego dotychczasowymi pojęciami o roli poety. Że nowy reżim potrzebuje sług, poetów dworskich, Błok tak nie potrafił. W nowym reżimie nie ma miejsca na twórczą niezależność. Dla nas to już truizm, ale Błok musiał to odkryć sam i odczuć na własnej skórze. Konflikt "poeta-społeczeństwo" w różnych epokach przybierający różną postać i rozgrywany z różnym natężeniem jest przecież warunkiem istnienia poezji w ogóle. Jak wszelka sztuka istnieje ona tylko jako opozycja

stwa, dla czytelników, dla kolegów po piórze, którzy w większości go opuścili. Dziwiono się, dlaczego nie pisze. A on nie słyszał już tej "harmonii sfer", nie miał co wyrażać. Społeczeństwo nurzało się w bezprawiu, chaos, wojna, głód, nędza, brak opału, choroba - śmiertelna, jak się okazało w parę miesięcy później. I gawieź. Gawieź, która zaczęła dyktować prawa, mordować, grabić - jak tych "Dwunastu" z jego poematu. Błok bał się jej - wspomina o tym w Dzielnikach. Czukowski wspomina: "Cała mowa o Puszkinię, którą wygłosił w 1921 roku - to namiętna przekleństwo gawieździ. Słyszałem tę namiętną mowę i pamiętam, z jaką gniewną melancholią mówił o tych swoich odwiecznych wrogach, o gawieździ, która zniszczyła Puszkina. - Zamykam oczy, żęby nią widzieć tych małp - powiedział mi pewnego ranka w tramwaju. Czyż to są małpy? A pan o tym nie wie? - powiedział z wyrzutem i znudzeniem". Mowa o Puszkinię poświęcona była jeszcze jednej sprawie, sprawie wewnętrznej wolności poety - którą on - uciemiężony jak właśnie Puszkina - musi sam sobie stworzyć. To miała być ucieczka do innej wolności. Wolności zawartej w słowie. Błok zrozumiał, i to było dla niego tragiczne, że nie miał już sił na zbudowanie takiej wolności. Na jego wieczorach autorskich mówiono mu wprost, że się skończył, że jego wiersze są wierszami trupa, były to opiumie młodych i gniewnych wieszczów rewolucji, którzy brak talentu równoważyli chamstwem. Nie wpływało to dobrze na stan psychiczny Błoka. Tym bardziej że dokładały się jeszcze nieszcześnie w życiu osobistym. Konflikty z żoną nie ustały nigdy. Matka chorowała psychicznie. Trzeba było starać się o szpital, wyjazd, o pieniądze. Były lata komunizmu wojennego. Błok musiał rąbać stare, wartościowe meble na opał. Sprzedawał książki. W rodzinnej wsi spalono mu bibliotekę. Nie było powrotu. Nie było pieniędzy. Przyjaciół starali się sprzedać "Różę i Krzyż" - Niemirowicz-Danczerko dał za nią tylko 300 tys. rubli /przejazd dorozką w Moskwie kosztował do 25 tys. rubli/. W Moskwie po rewolucji bywał Błok kilkakrotnie z okazji swoich wieczorów autorskich - najczęściej przy na pół pustej, milczącej sali. "W pracy /w Petersburgu/ zrobiło się nie do wytrzymania. W Związku Pisarzy, który jest w ogóle bezsilny, liberalne gładzenie o wolności prasy, paplanie o "przydziałach" i "stawkach". Błok rzadko wychodzi na ulicę. Nie ma siły. Jest już bardzo chory. Pierwsze symptomy choroby pojawiają się w kwietniu 1921 r. Jest to choroba wieńcowa, pojawiają się też stary zapaszi. Głód nie pomaga w rekonwalescencji. Stan Błoka pogarszał się bardzo szybko. Uratować go mogła jedynie zmiana warunków bytowych - wygody, jedzenie i spokój. W rewolucyjnym Piotrogradzie było to nieosiągalne. Okoliczności śmierci Błoka tak opisują autorzy "Utopii u władzy": "29 maja 1921 roku Gorki zwraca się listownie do narkomprosa Łunaczarskiego: Czy nie moglibyście pilnie pomóc w załatwieniu Błokowi wyjazdu do Finlandii? Po 12 dniach Łunaczarski przekazuje do KC podanie ciężko chorego Błoka. Nazajutrz sprawę wyjazdu Błoka do Finlandii rozpatruje Politbiuro i podejmuje decyzję o "polepszeniu sytuacji materialnej A. Błoka". Ten czuje się coraz gorzej. 23 lipca Politbiuro wyraża zgodę na wyjazd poety, ale bez żony. Ciężko chory Błok nie jest w stanie wyjechać sam. 29 lipca Gorki śle depeszę do Łunaczarskiego na Kreml: "Pilne: sytuacja skrajnie groźna. Konieczny jest niezwłoczny wyjazd do Finlandii". Łunaczarski 1 sierpnia ponownie zwraca się do KC. Odpowiedź - pozytywna. 7 sierpnia A. Błok umiera. Miał 40 lat. Od pierwszego listu Gorkiego minęło 10 tygodni. Jest rzeczą znaną, że decyzję w sprawie wyjazdu za granicę wybitnych przedstawicieli kultury i nauki podejmował Lenin". /s. 158/.

10 tygodni. Chodziło o jeden podpis. Klasyczna taktyka: zwleknięcie, przedłużanie drogi służbowej, udawanie, że nie wie się o niczym. Kulisy decyzji o wyjeździe Błoka nie będą już nigdy poznane. Dla mnie jest jasne: Lenin wiedział, że Błok jest śmiertelnie chory - odwołanie decyzji było celowe, a nuż w międzyczasie poeta umrze - a umrzeć przecież powinien: był już niepotrzebny. Napisał "Dwunastu" - na więcej nie było go stać, ale i to wystarczy: największy poeta Rosji /carskiej Rosji!!/ opowiedział się po stronie bolszewików. Dosyć. Niczego więcej nie można było od niego wymagać, poza tym był zawsze elementem nie do końca pewnym. Więc po co ratować, jeśli można usunąć - nie obciążając siebie jednocześnie: przecież i tak był śmiertelnie chory. Można zastrzelić poetę niewidzialną kulą. Może to być wstrzymanie ręki gotowej do podpisu - kilka tygodni niepewności. Może to być - i sądzę, że w przypadku Błoka tak było, i w przypadku wielu, wielu ludzi nieumiejętność dostosowania się do chamstwa, przemocy, gawieździ, braku wolności. Nieumiejętność życia w piekle. Błoka nie dotknęły bowiem jakieś specjalnie wyrafinowane i skierowane wyłącznie na niego szykany. Nie był więziony,

prześladowany. Utrzymał się na piedestale, choć od początku rewolucji stał tam jako martwy idol, atrapa poety, symbol zbyt ważny, by można go było od razu usunąć, ale tylko symbol, zachowany dla pozorów. Już w parę lat po śmierci Błoka i takie symbole stały się niepotrzebne. Do ok. 1923 r. jeszcze chroniło nazwisko - później nic nikogo nie mogło uchronić, jeśli został naznaczony skazującą dłońią Czk. Błok stał się ofiarą własnych poglądów - tego, że zostały one zrealizowane i to przez bolszewików. I że realizacja odbiegała od marzeń. Od chwili zwycięstwa rewolucji poeta nie był po to, by wsłuchiwać się w muzykę czasów, lecz miał służyć partii. Z pełnym oddaniem. Duszą i ciałem. Sztuka nie mogła być żywiołem. Nie było szansa na wprowadzenie "konstytuanty w sztuce" czyli form samorządu artystów. Organa partyjne kontrolowały co pisarz pisze i jak pisze. Cenzurę prasową wprowadzono jeszcze w 1917 r. W 1922 r. zaś utworzono Główny Komitet d/s Prasy - scentralizowaną cenzurę. Istniały indeksy zakazanych książek. To jeszcze nie były czasy stalinowskie, nie zmuszano jeszcze nikogo do pisania tego, czego oczekuje partia - ale Błok już zaczynał się dusić. Dekrety Narkomu cofały stan prawny kultury przed 1905 rok. Kula D'Anthèsa była martwym narzędziem - to car Mikołaj I i jego czasy zabiły Puszkina. Błok w pewnym sensie doszukiwał się analogii pomiędzy losem swoim i Puszkina. Obaj przecież zostali zaszczeni przez ten sam system. Ale śmierć Błoka w 1921 r. to koniec pewnej epoki i tak to odczuli wszyscy mu współcześni bez względu na to jak oceniali jego postawę. Błok bowiem pozostał Błokiem i śmierć jego - to koniec nie tylko nowej poetyki; po nim ktoś mógł coś jeszcze powiedzieć w symbolizmie, to był koniec humanistycznej kultury. "Muzyka była owym cementem, który tworzył kulturę humanizmu; gdy zabrakło cementu, humanistyczna kultura przekształciła się w humanistyczną cywilizację". "Muzyka rewolucji" nie stała się zatem cementem dla nowej kultury. Nie stworzyła nawet nowej cywilizacji. "Bez względu na to, jak będziemy oceniali Puszkina - człowieka, Puszkina - działacza społecznego, Puszkina - przyjaciela monarchii, Puszkina - przyjaciela dekabrystów, Puszkina - ofiarę namiętności - wszystko to błędnie wobec jednego: Puszkina - poeta. Wątpię, czy znajdzie się człowiek, który nie zechciałby z imieniem Puszkina związać przede wszystkim miana poety".

Zamiast nazwiska Puszkina można wstawić nazwisko Błok. Intencja wypowiedzi nie zmieni się.

"W KAŻDYM RAZIE SIĘ POSTARAŁAM"

Nieszczęściem Błoka było to, że usiłował rzeczywistość pogodzić ze swoimi poglądami. W imię potwierdzenia ich w rzeczywistości odszedł od poezji. Nieszczęściem Mariny Cwietajewej było to, że umiała być wyłącznie poetką, jedynie poetką. Nie liczyło się nic innego - oceny innych poetów dokonywała na podstawie tego, czy uważała ich za poetów prawdziwych czy też nie. Inne wartości nie istniały w ocenie twórcy. W czasach, gdy polityka określała gusty literackie - jedni uważali to za świętą naimność. Dziś uważam to za heroizm. Marina Cwietajewa - kłębowski spręcności jako człowiek. Jako poeta-monolit. Skała. Harmonia. Zdecydowanie. Kondensacja wypowiedzi. Bez słów - waty, słów - kitu, którymi zalepia się dziury w poetyckiej strukturze, by nie wiało beztalentem. Miara i spazm, spokój i namiętność, żywioł wzięty w karby. Poezja była tą dziedziną, w której Cwietajewa potrafiła zapanować nad życiem. Tylko poprzez poezję tolerowała życie i własne istnienie. I tylko poprzez poezję mogła żyć. Życie, to zwyczajne, szare, które wiodą ci nie piszący wierszy, zemściło się na niej straszliwie. Żeby to pojąć trzeba trochę napisać o jej losach. Zadebiutowała w 1910 r. jako osiemnastoletnia gimnazjalistka, a wiersze pisała od dziecka. Uzyskała przychylne recenzje Wołoszyna, Gumilowa, Briusowa. Następne lata przyniosły dalsze zbiorki poezji wydane w wydawnictwie Sergieja Efrona, przyjaciela z lat dziecińczych. Poślubiła go Cwietajewa w 1912 r. mając lat 20. Sergiej miał lat 19. Był to chyba jedyny szczęśliwy okres w jej życiu. Przede wszystkim czuła już w pełni swą twórczą siłę i wartość. Kochała życie. Nie bała się czasu. Charakteryzuje ją jakaś nadludzka żywiołowość przeżywania, zachłanność życia, poczucie siły, pragnienie szczęścia, które wyraża: "Dajcie mi radcę i spokój, pozwólcie mi być szczęśliwą - ujrzycie, jak umiem to robić!". Nie umiała. Życie tkwiło w niej potencjalnie. Jako możliwosc nigdy nie spełniona. Czas i życie zniszczyły ją tak wszystkich. Ale nie wszyscy są tacy bezbroni jak ona.

Sergiej nie był tym jedynym ukochanym. Okazał się nieporadny, niepraktyczny, słaby. Ale to właśnie skłoniło Marinę do wyboru: zostać z nim, niekochanym, słabszym. Czyżby to ta sama staroświecka rycerskość, która dyktowała jej stryfy w cześć białej armii i ginącego wraz z nią świata? Białogwardziści - wandejczy-

cy, obrońcy tego, co mija, co może nie jest dobre w każdym calu, ale odchodzi, ginie i potrzebuję ratunku. Zresztą tu Marina utożsamia się z matką, która też podobno żyła nie z tym, którego kochała. Cwietajewą nie tylko "okoliczności obiektywne" pozbawiały szczęścia. Z premedytacją pomagała ona życiu w niszczeniu samej siebie. To był chyba główny paradoks jej postaci: z jednej strony siła życiowa, radość, pragnienie miłości większe niż u tzw. przeciętnych ludzi, z drugiej, podświadoma żądza samozniszczenia, chęć umartwienia, cierpienia, anty-miłość, anty-szczęście. Duma. To była również jej cecha. Nie chciała o nic żebrać od ludzi i od życia. Biernie, kamienne poddawała się nieszczęściom. Tak odbierałam to, co o jejnej z nią rozmowie wspominała Achmatowa, już po powrocie Cwietajewej z emigracji. Cwietajewa odwiedziła dom, w którym kiedyś w Moskwie mieszkała. Wszystko się tam zmieniło, ale ocalała jej ulubiona lipa. "Nłech pani nie mówi o tym nikomu, poprosiła Achmatową - Jeżeli się dowiedzą, że jeszcze jest i że tak ją lubię - zetrną!". Po tragicznych latach, w ciągu których utraciła wszystko co człowiek utracić może - wiedziała, że wystarczy, by coś pokochała - a za chwilę to straci.

Jest rok 1917 w Moskwie. Cwietajewa nie bierze czynnego udziału w życiu literacko-towarzystwskim. Mąż walczył na froncie, z chwilą wybuchu rewolucji poparł białych i brał udział w wojnie domowej. Cwietajewa bywała trochę w literackich salonach Moskwy. Styka się tam z Majakowskim. Jego talent robi na niej wielkie wrażenie. Majakowski stanie się później ważną postacią w jej życiu, choć nie chodzi tu o romans. Wielką miłością Cwietajewej był Borys Pasternak, którego znała od ok. 1916 r. początkowo była to znajomość pobieżna, jakieś parę poetyckich wieczorów, dopiero gdy Cwietajewa była już w Czechosłowacji, Pasternak pod wrażeniem jej tomiku "Wiorsty" napisał do niej entuzjastyczny list - i tak się zaczęła przyjaźń listowna. Do Czechosłowacji wyjechała Cwietajewa w 1921 r. Urzędnik wydając paszport miał podobno powiedzieć "Pożaluję pani jeszcze, że pani wyjeżdża". Na pewno tego żałowała. Żałowała też później, że wróciła. W Czechosłowacji mieszkają na przedmieściu Pragi. Są biedni. Bardzo biedni. Marina sama musi prowadzić dom, zabiegać o każdy drobniąg. Ale nie potrafi rzucić Efrona. Tym bardziej, że w 1925 r. rodzi się ich syn, którego nazwano Georgij. Jest jeszcze starsza córeczka Alina, a jedno dziecko umarło jeszcze w Moskwie. Była to tragedia dla Cwietajewej - Sergiej był wtedy na froncie. Musiała powiedzieć mu, że dziecko umarło na zapalenie płuc. Umarło z głodu i tej prawdy Marina chciała mężowi oszczędzić. W czasie pobytu w Czechosłowacji udaje się Cwietajewej wydać kilka rzeczy - w Berlinie, także w Moskwie. W 1926 Cwietajewa z rodziną jest już w Paryżu. Została przyjęta życzliwie przez emigrację rosyjską, miała już przecięt białą armię. Nic dziwnego, że emigracja oczekiwała od niej kontynuowania tej postawy, liczyła że Cwietajewa przystanie do nich. Cwietajewa była "nieprzystawalna". Nie chce drukować w pismach o zabarwieniu prawniczym. Zraza do siebie ludzi, którzy mogliby jej pomóc. Nie chce współpracy z emigracją w takiej formie, w jakiej to sobie emigracja wyobraża. Nie chce być "ich" człowiekiem. Nie jest to może zmiana poglądów. Raczej wrodzony, nieprzełamany nonkonformizm, który nie pozwala jej być z nikim i służyć nikomu. Cwietajewa chce tylko jednego: żeby drukowano jej wiersze, żeby docierały one do czytelnika rosyjskiego. W Paryżu nikt nie chce jej drukować. Emigracja się od niej odciąła. Gwoździem do trumny było serdeczne powitanie w Paryżu Majakowskiego w 1928 r. Emigracja nie mogła pojąć, że Cwietajewa witała w Majakowskim wielkiego poetę i że nie obchodziło ją, że przyjechał on z Rosji sowieckiej. Dla niej on przyjechał z Rosji i, którą ona porzuciła i bez której - jako poetka nie mogła żyć. Żyje we Francji otoczona milczeniem. Wyizolowana. Znowu w skrajnej nędzy. Utrzymuje ich córka robiąc na drutach jakieś włóczkowe czapeczki, zarabiając na tym 5 franków dziennie. Za to utrzymują się we czworo. Marina, która nigdy przed rewolucją nie musiała tego robić - teraz sprząta, szurkuje, podłogi, gotuje. Zajęcia gospodarskie męczą ją straszliwie. Nie ma bowiem czasu na pisanie. Dla człowieka, który może być tylko poetą - jest to równoznaczne z duchową śmiercią. Ale jednak pisze, powstają wtedy bardzo znaczące w jej dorobku utwory, m.in. cykl "Stół", "Wiersz do syna". Próbuje jakoś zarabiać na życie, choć potrafiła zarabiać tylko pisanem. Urządza wieczory autorskie, ma trochę przychylnych, nielicznych przyjaciół płacąc za wstęp /lagodniejsza forma jakubuszy/, zwraca się do zebranych po redakcjach, wydawnictwach, translatorach. Zostawiona sama sobie, bez pomocy z nikąd, Cwietajewa utrzymuje nieliczne kontakty z krajem. Z Barycelem Pasternakem. Ta korespondencyjna miłość dodaje jej sił, ona pociągaje przez

kogoś, kto wielbiłby ją jako kobietę - a przede wszystkim jako poetkę. I kogoś, kto "dorównałby jej siłą" poetyka, jak sama pisała. Drugim człowiekiem był Rilke, z którym nawiązała kontakt listowny za pośrednictwem Pasternaka. Utworzył się dziwny trójkąt - trojga wielbiących się nawzajem poetów, uwieczniony w korespondencji /p. Zeszyty Literackie Nr 14/. Pasternak i Rilke to dwie wielkie, żywiodowó miłości Cwietajewej. Miłości niespełnione. Od Pasternaka dzieliła ją wygnanie, od Rilkego - śmierć. Rilke umarł w końcu 1926 r., ich korespondencyjna znajomość trwała niespełna kilka miesięcy. Wiadomość o śmierci Rilkego była dla Cwietajewej ogłuszającym ciosem. Tak jak później z lipą w Moskwie - los dowiedział się o jej miłości i natychmiast usunął jej przedmiot z jej zasięgu. Stąd później w Moskwie strach o lipę - jedyną ukochaną rzecz z przeszłości, jaka jeszcze pozostała - więc niech nikt się nie dowie. Siedemnaście lat emigracji przyniosło Cwietajewej tylko gorycz, a poza tym, co dla poety najtragiczniejsze, odciały ją te lata od czytelników w Rosji. Wiedziała dobrze, że potrafi pisać tylko dla Rosjan i to nie tych emigracyjnych, lecz tych w Rosji. Bez czytelnika była głucha i niema. Co prawda pisała:

Teśknota za ojczyzną! Kłam
I mrzonka dawno już rozwiana!
Wszystko mi jedno jest, gdzie mam
W końcu i tak zupełnie sama

Być i po jakim bruku brnę
Włkąc z jarmarku koszyk stary
Do domu, który tyle wie
Czyj jest, co szpital czy koszary.

Było jednak wszystko jedno dla kogo się pisze. Tym bardziej że sytuacja była taka, że chodziło o to żeby w o g ó l n e m ó c pisać. W latach trzydziestych Siergiej Efron nawiązał kontakt z ambasadą sowiecką w Paryżu. Chciał wrócić. Był byłym białogwardystą. Wozwraszczeńców traktowano podejrzliwie. Władza sowiecka przyjeła taktykę "wyróbowywania" marnotrawnych synów. Takim poletkiem gdzie ich sprawdzano była Hiszpania. Wysłano tam Efrona z córką Aliną w 1937 r. Heller i Niękricz podają jeszcze jeden szczegół dotyczący Sergieja Efrona - "Siergiej Efron, mąż Mariiry Cwietajewej kieruje swego znajomego do Hiszpanii, do "towarzysza Orłowa" - głównego przedstawiciela NKWD w Hiszpanii. Kiedy Ignacy Reiss, wybitny sowiecki agent zrywa w 1937 r. ze Stalinem i stalinizmem, do Paryża dociera rozkaz zlikwidowania zdrajcy. Siergiej Efron i kilku kandydatów na wozwraszczeńców wykonują wyrok: podziurawione kulami ciało Reissa zostaje znalezione koło Lozany, Efron wraca do ojczyzny, gdzie czeka go więzienie i śmierć". /259/. Cena jaką trzeba zapłacić za powrót do kraju jest wysoka. Cwietajewa w końcu decyduje się na powrót. Lata 30-tę dowiodły, że nie ma nadziei na to by reżim sowiecki runął. Trzeba było się zatem do niego jakoś ustosunkować. Części emigracji wydawało się, że w Związku Radzieckim zachodzą pozytywne zmiany, a zagrożenie ze strony hitlerysty trąciło patriotyczną strunę. Wiadomości o zmianach na lepsze były oczywiście błędne, wynikały z kompletnej dezinformacji jaka panowała wówczas na Zachodzie jeśli chodzi o sytuację w ZSRR. Zapewne i Marina Cwietajewa uległa tym nastrojom. Skoro wszystko jedno gdzie jest, skoro i w Francji jest nędza, to można głodować wśród swoich. Liczyła zresztą na to, że przyjmą ją, że się zainteresują, pomogą przynajmniej na początku, dadzą pracę, mieszkanie.

W czerwcu 1939 r. przyplłynęła do Gdyni, potem pociągiem przez Warszawę do Moskwy. "Miała już skórę okrytą głodowymi czerakami, leczyla się w filantropijnej klinice dla bezrobotnych Rosjan; nie wychodziła z domu ponieważ rozleciały się jej jedyne pantofle; szłochała we francuskim komisariacie, przesłuchiwana po zniknięciu męża zde maskowanego jako agent GPU; uciekała z domu, z którego wypędzili ją - żone szpiega - rosyjscy sąsiedzi; stała osamotniona pod ścianą podczas wieczoru i terackiego, omijana z odrazą przez wszystkich obecnych". A. Bejarska, Śmierć Cwietajewej, Zapis 18/. Z takim bagażem siedziała w przedziale pociągu, który wiozł ją do Moskwy. Był z nią jeszcze jej czternastoletni syn, pieszczołiwiwie nazwany przez nią "Mur", dziecko, które miało być jej duchowym zmiennikiem, i które było przyczyną jej nowych wdurczeń, obojętne, zmaterializowane, wymagające, egoistyczne. Od Mura nie mogła otrzymać odrobiny czułości. Ten pragnęła, by Mur był dzieckiem jej i Pasternaka. Więc skoro był dzieckiem Pasternaka, to miała nadzieję, że przynajmniej przejmie poetyckie dziedzictwo po

niej i jej największej miłości - Borysie. Więc wiozła do Rosji swoją samotność, nędzę i Mura. W Moskwie nie dostaje ani mieszkania, ani pracy. Nie może sobie tego darować. Ojciec jej był twórcą moskiewskiego Muzeum Sztuk Pięknych, a więc człowiekiem niezwykle zasłużonym. Poetka liczyła na jakiś oddech wdzięczności ze strony władz. Ale Marina Cwietajewa jest emigrantką, kimś zupełnie niepojętym i nie mają znaczenia ani zasługi jej ojca ani jej własny talent poetycki. W sierpniu 1939 r. Alina, jej 26-letnia córka zostaje aresztowana. Aresztowany został też Sergiej Efron. Podobno został wkrótce rozstrzelany, ale okoliczności jego śmierci nie są jasne. Alina natomiast spędziła 20 lat na zesłaniu. Spustoszenia, jakie nastąpiły wokół Cwietajewej i coraz trudniejsze warunki życia wpływają na coraz głębszą depresję. W kraju rodzinnym jest tak samo samotna jak w Paryżu. Od sierpnia 1939 do wybuchu wojny hitlerowsko-sowieckiej tuła się po obcych mieszkaniach, żyje w skrajnej nędzy. Robi to dla Mura. Mur nie może znieść brzydkiej, niechliwej, znerwicowanej matki. I nie może znieść nędzy. Żąda luksusów. I nowego garnituru. Uważa, że ma do tego prawo. Więc Cwietajewa s t a r a s i ę . Zarabia na życie przekładami trzeciorzędnych poetów. Niewiele zostaje czasu na własną twórczość. Zdobycie jedzenia zajmuje także bardzo wiele energii. Tak przywykła do wrogości otoczenia, że łagodniejsze słowo wywołuje wybuch płaczu. Boi się ciemności, zimna, hałasu. Nie ma własnego stołu, przy którym mogłaby pisać. Ciągłe jeszcze kołące się w niej nadzieje, że przełamie otaczającą ją znową milczenia, że władza zrozumie, pomoże, że uda się przepchnąć jakiś tomik wierszy w jakimś wydawnictwie. Pisz w dzienniku: "Cóż, składam tom, wstawiam, sprawdzam, płacę za przepisywanie, znow poprawiam, a jestem prawie pewna, że nie przyjmą, zdumiałabym się, gdyby przyjęli. No, swoje zrobiłam, przejawiałam pełną dobrą wolę /wykazałam karność/. Wiem, że wiersze są dobre i komuś potrzebne /może nawet - jak chleb/. Cóż, jeśli się nie uda, będę tłumaczyć, zamknę usta tym, którzy mówią: czemu pani nie pisze, bo czas jest jeden, jest go mało, a pisać dla siebie do zeszytu - to luksus. Dlatego, że za moje przekłady płacą, a za moje pisanie - nie. W każdym razie się postarałam". Rzeczywiście starała się. Usiłowała włączyć się w nurt, pokazać, że nie jest obca, że ma dobre chęci, że robi wszystko, na co ją stać, szczerze - nie mogła znieść braku odbioru u czytelników, braku zainteresowania, obojętności, wrogości. Cwietajewa nie potrafiła tworzyć do szuflady. Nie potrafiła się zamknąć sam na sam ze swoją twórczością. Jej talent potrzebował partnera do odbioru, rezonansu natychmiastowego, akceptacji. "Lektura to przede wszystkim współtworzenie" - pisała, przypisując tym samym istotną rolę czytelnikowi. Bez niego poezja jest uboższa, niepełna. Dlatego tak bardzo pragnęła zapracować na zaufanie radzieckiego odbiorcy. Nie udało się. W czerwcu 1941 r. Niemcy hitlerowskie wypowiadają wojnę ZSRR. Ludność większych miast zostaje ewakuowana do mniejszych, odległych miejscowości. Cwietajewa wraz z Murem zostali skierowani do Jełabugi nad Kamą, małego miasteczka. Zajął tam pokój w małym domku przy ul. Woroszyłowa 10. Mieszkała tam zaledwie 10 dni. 31 sierpnia powiesiła się w tym pokoiku, a miejsce jej wiecznego spoczynku nie jest znane. Aleksander Wat opowiada tak o śmierci Cwietajewej /znał pewne fakty z relacji Wiktora Szkiłowskiego/: "W pierwszych tygodniach wojny ewakuowano wszystkich pisarzy moskiewskich - niektórych wysłano na front jako korespondentów wojennych - do Czystopola nad Kamą. Alę Cwietajewa została w Moskwie. Wreszcie dostała pozwolenie na ewakuację z czternastoletnim synem. Pasternak przyszedł jej pomagać przy pakowaniu waliz. Przewiązując jakąś paczkę spojrzął i powiedział: Wierlowka na katoroj po krajniej mierie można powiesiatsia. Skierowano ją jednak nie tam, gdzie wszystkich, do Czystopola, tylko nad Kamą, do Jełabugi, 400 km od Czystopola. Była tam zupełnie sama, wśród kołchoźników, w bardzo nędznym kolchozie. Nie wytrzymała nerwowo. Przyjechała do Czystopola prosić, żeby pozwolili jej być razem z innymi. Zebrał się komitet ewakuowarych. Ona była w jednym pokoju, bardzo to ciasne wszystko, a w drugim pokoju był komitet. Był tam Paustowski, był Szkiłowski, teoretyk LEF-u, znany formalista - jeden z najważniejszych - Piercow i Piercow powiedział: Czto tam biełogwardiejska poetiessa, niczego nie napisala, niktto jejo nie czitajet, wsie tolko siuda". Tylko trzej: Paustowski, Sznajder i nie wiem kto trzeci, może Szkiłowski, chociaż Szkiłowski był niesłychanie przyzwolity ale i tchórzliwy - głosowali za tym, żeby jej pozwolić. A jeszcze ktoś z obecnych dodał: Biełogwardiejskaja blad". A ona w drugim pokoju wszystko słyszała! Wróciła do Jełabugi i nazajutrz powiesiła się na sznurze - tym samym, którym Pasternak obwiązał jej pakunek".

Zostawiła dwa listy: jeden wyjaśniający motywy, drugi do Nikołaja Asiejewa

z prośbą o opiekę nad Murem. Mur jednak "natychmiast po zabraniu trupa zaczął prasować swoje ubranie, pakować rzeczy. Wyjechał do Taszkientu, w trzy lata później zginął - podobno rozstrzelany na froncie jako dezertier" /za A. Bojarską/. A. Wat podaje taką wersję losów Mura: "Kiedy pisarzy ewakuowano z Czystopola do Alma Aty, na drugim statku był syn Cwietajewej. Zaciągnął się do armii i od razu szalniająca pulja zabija go na froncie". Nie zostawiła nikogo oprócz córki w łazrze. Cała jej rodzina jakby prześladowana przez złośliwe, mściwe fatum zginęła w tragicznych okolicznościach. Gospodarze pokoiku, w którym zmarła, dziwili się, że popełniła samobójstwo: tyle jeszcze zostało po niej zapasów żywności, mogła żyć jeszcze jakiś czas. Mur, ukochany i egoistyczny Mur, nie przyszedł na pogrzeb. Nikt nie wie dotąd, gdzie ją pochowano. Nie istniała w żadnym opracowaniu historyczno-literackim do 1956 roku. Utwory wybrane w opracowaniu. Orłowa pojawiły się w 1965 r. Po 24 latach.

Nię strzelano do niej. Sama się zabiła. Nikt nie był winien - miała trudny charakter. Pisała trudną wierszę. Pisała wierszę o białej gardii. Mąż walczył po stronie białych. Później został agentem GPU i NKWD. Dlatego poetka każdemu wydała się podejrzana, podejrzany jest zawsze człowiek, który nie chce jasno zadeklarować się po jednej z walczących stron. Wierność sobie przestaje mieć znaczenie. Koniecznie trzeba być po którejś stronie, inaczej zostaje się zaszczuty.

"BO NIE JESTEM JA WILKIEM I KREW MAM NIEWILCZA, A WIĘC Z REKI RÓWNEGO NIECH ZGINE"

Osip Mandelsztam jeszcze przed 1921 r., kiedy to zamordowano Gumilowa, oskarżonego o udział w spisku antybolszewickim, przewidywał, do czego zmierzają bolszewicy. Chyba właśnie on miał największą intuicję z poetów rosyjskich, od początku wiedział, czego należy się spodziewać. W tym czasie znajomy jego, ambasador litewski w Moskwie zaproponował mu przyjęcie obywatelstwa litewskiego. Ojciec Mandelsztama mieszkał kiedyś na Litwie, a sam Mandelsztam urodził się w Warszawie. Mandelsztam odmówił, z pełną świadomością czym to grozi. Pierwsze lata dwudziestę to jeszcze dla Mandelsztama okres względnego spokoju. W 1923 r. powstaje słynne sformułowanie Trockiego "popuczyci" określające twórców takich jak Mandelsztam: nieproletariackich, których nie uważa się za wrogów, ale też i nie przygotowanych dostatecznie, by spełnić wymagania, jakie pisarzom i poetom stawia nowa rzeczywistość. Z czasem określenie to nabrało cech wyraźnie pejoratywnych i popuczycik często oznaczał kogoś, kogo trzeba pięć. W tym samym roku pisarze wydają pismo "Na postu" /Na straży - tzn. że oni mieli wyłączne prawo pilnować, czy pisarze piszą tak jak oczekuje partia/ żądali od partii polityki "grubej pałki" wobec popuczyci. Atmosfera zaczęła się zageszczać. Nazwiska wielu znaczących twórców zaczęły znikać z łamów gazet, język probolszewickiej krytyki literackiej zasługuje na jakieś odrębne studium psychopatologiczne. Epitety, jakimi obrzucono twórców, co do których czystości ideologicznej były podejrzenia - przekraczały ludzkie pojęcie. Niedawno "Przekrój" wydrukował listy Bułhakowa do Stalina, w których Bułhakow cytując opinię recenzentów o swej twórczości. W krytyce literackiej panuje atmosfera donosu, strachu, potwarzy i kłamstwa. W imię czystości ideologicznej, zgodności z linią partii i ze strachu - pocii pluja na siebie nawzajem. Nie jest wolny od tego grzechu m.in. Majakowski. Mandelsztam zachował dystans. Odsunął się. Kiedy grupa 37 pisarzy z Aleksym Tołstojem na czele skierowała list do KC, w którym wniopoddać zapewnienia Partii o swej prawomyślności i oddała się pod jej opiekę /przed napadami grupy napostowców, którzy uważali się za sumienie ideowe pisarzy rosyjskich/. KC wydaje na naradzie poświęconej losom pisarzy rezolucję, którą niektórzy odebrali jako narzędzie ochrony przeciw napadom napostowców - Mandelsztam jednak zrozumiał, że od tej chwili "pętla na gardle literatury zacnie się zaciskać". I miał rację. Od 1923 r. był inwilgowany. Od 1925 r. - od czasów tejże rezolucji - nie wydrukowano mu niczego, nawet jednego zdania. Unikano nawet wspomnienia jego nazwiska w publikacjach. Nadieżda Mandelsztam wspomina w "Testamencie": "schyłek lat dwudziestych i początek trzydziestych: nie na czasie", "obce nam", "nasz czytelnik tego nie potrzebuje"... "porzucił wiersze", "przeszedł na przekładcy", "sam siebie przepiewuje", "proza lokajska" i temu podobne". Od 1925 do 1937, a więc przez 12 lat nie wydrukowano Mandelsztamowi niczego. Ale nie zostawiono go w spokoju. Był ustawicznie inwilgowany. Władza nie pozwoliła go drukować, ale musiała wiedzieć, co pisze do szuflady i o czym pisze. Metody inwilgacji

były różne, opisuje ją szczegółowo Nadieżda Mandelsztam w jej wspomnieniach: "Byli to przeważnie "rzeczowi" młodzi ludzie, którzy wchodziłi bez opamiętania do mieszkania, grzebali w rękopisach i domagali się najnowszych utworów. Nie można było ich wyrzucić, ale i tak sami szybko odchodzili, otrzymując to, co chcieli. Byli też "miłośnicy" - ludzie udający umiłbienie dla osoby poety, ich celem było obserwowanie "środowiska" - byli najczęściej kolegami z pracy, urzędowali czasem drobną prowokację. "Przyjmując takiego szpicla Osi żądał zawsze, żebyśmy poczęstowała go herbata. Człowiek pracuje, trzeba go napoić". Prowadzili oni długie fachowe rozmowy, lecz ich mistyfikacja była dość naina.

"Trzecia odmiana to "adiutanci" - byli to często aspiranci z kręgów uniwersyteckich znający dobrą literaturę, a wiersze - na pamięć. Najczęściej przychodzili w najlepszych zamiarach, nawiązywała się przyjaźń, potem organa zaczynały tę przyjaźń wykorzystywać - między człowiekiem był wyzwany, wyпитыwany. Służyli dwoim bogom - ponieważ sami pisali, więc musieli gdzieś drukować, a to było zależne od tego, jak się wywiąza z "zadania".

Żeby zrozumieć szaleńca decyzyj "pozostania obok" trzeba uświadomić sobie nie tylko kolejne kroki partii ku zniewoleniu literatury, ale stopniowe zniewolenie i sowietyzowanie społeczeństwa, wśród którego postawa taka nie mogła znaleźć moralnego wsparcia. Stopień zastraszenia ludzi był niewyobrażalny, gdyż niewyobrażalny dla nas jest ówczesny terror. Strach skłaniał do donosicielstwa, szpiegowania rodziny, sąsiadów, przyjaciół. Ze strony każdego ze znajomych można się było spodziewać, że "pisze" /donosy/. Trzeba się było pilnować na każdym kroku: z wychodzeniem z domu, z przyjmowaniem gości /sąsiedzi widzą, kto przychodzi/, patrzeć przez okno, czy nie stoi po przeciwnej stronie ulicy anioł stróż, nie zapisywać adresów i telefonów znajomych - notes to dowód rzeczowy, przez niego niewinni przyjaciele mogą pójść do łagru. I trzeba było wiedzieć co wolno w domu przechowywać - jakie książki i jakie rękopisy. Nic trąnego nie wolno było mieć w domu. I co najgorsze - pisać Nadieżda Mandelsztam - "demaskowanie szpicli nie było u nas przyjęte, to groziło poważnymi konsekwencjami". Jednym słowem nic oprócz lisiej przebiegłości irwilgowanego nie chroniło. Jeśli był inteligentniejszy od szpicli - udawało mu się coś uchronić. Nadieżda i Osip Mandelsztamowie żyli w takich warunkach do 1938 r. Przetrwali okres czystek 1928/29 r., kiedy to po ponownej rezolucji KC w sprawach kultury, rozpoczęła się już autentyczna rewolucja kulturalna. Osip Mandelsztam oczywiście nie wstąpił do RAPPu, który zręszta został zlikwidowany w 1932 r. Żył obok. I to również było przestępstwem. W wierszach odnalazł można nastroje, jakim ulegał Mandelsztam w latach przed aresztowaniem: chęć ucieczki, zagubienia, "W Petersburgu żyć - to jak spać w mogile", "Wiek, jak brytan wilkowi do gardła mi skacze, lecz ja wilkiem nie jestem, nie jestem". "Ja - wyrzutek ludowej rodziny, odszczepieniec, wasz brat nieuznany". Ale żona jego wspomina: "Przez całe życie był wesoły, nawet w nieszczęściu". /Zesz. Lit. Nr 6/. I to także znaleźć można w wierszach, i tych z wczesnych lat trzydziestych, i tych z wygnania. "W pamięci mam, że teraz jest wspaniały trzydziesty pierwszy rok, kwitnący pośród brzoź,

że glisty odpowiednio wybujały
i cała Moskwa w kajakach płynię znów".

To oczywiście jeden z wielu cytatów, jakie można by tu postawić. Przez cały czas nieobecności na rynku czytelniczym Mandelsztam pisał. Spełniał swę powołanie. Dla niego fakt, że nie posiadał czytelników, nie był aż tak druzgocącym ciosem jak dla Cwietajewej. Wiersze jego krążyły jak i wiersze wielu poetów wyklętych w odpisach w środowisku przyjaciół - również poetów, stworzył się więc jakby mini - świat literacki, podsokorny, konspiratorski, ale w nim przecie tworzyli najważbitniejsi. Później w Rosji sowieckiej powstanie niezwykłe zjawisko: ten zakazany literacki światek, tepiony bezlitośnie przez władzę będzie rozszerzał swę promieniowanie nie tylko w kręgach artystycznych, gdzie odpisy wierszy podawano s'bię z ręki do ręki, ale także i na szerokie kręgi czytelnicze. Achmatowa wspomina, że w czasie II wojny światowej, na froncie miedzież żołnierska deklamowała wiersze jej własne, Mandelsztama, które przecie nigdy nie ujrzały światła dziennego w oficjalnych wydawnictwach. To była radziecka spacyfika. Opinia publiczna nie istniała, można ją było zawsze i to dość łatwo stłumić, podobnie i krytyka literacka - sterowano nią wedle potrzeb. Ludzie bali się - a jednak czytali potajemnie wiersze z odpisów. Chyba ma tu jakiś wpływ to, co zauważali wielokrotnie różni obserwatorzy zjawisk literackich w Rosji: społeczna rola twórcy - a w szczególności poety - była tu ogromna. Poeta cieszył się

autorytetem, a na poezję było autentyczne zapotrzebowanie, i to nie tylko w kręgach tzw. "inteligentkich", w elicie. To jeszcze jeden paradoks tego kraju i tego systemu: nabożnie czci poetów i jednocześnie bezlitośnie ich niszczy. Ale ten paradoks uratował, przynajmniej na pewien czas, Osipa Mandelstama, w każdym razie dzięki niemu zamordowano go o cztery lata później.

Mandelstam zatem pisał - a wiersze jego znało szczerze grono zaufanych przyjaciół. Wraz z żoną sporządzał opisy swoich wierszy i oddawał na przechowanie do różnych ludzi z nadzieją, że może przetrwają. Ogromna rola przypadła tu Nadieżdzie: Osip był bardziej nieudolny, poza tym rzadko zapisywał swoje wiersze. Po prostu tworzył je w myśli, powtarzając, a później już gotową wersję przepisywał - lub najczęściej przepisywała Nadieżda. W listopadzie 1933 roku Mandelstam ułożył wiersz o Stalinie - wyłożony on został jedenastu osobom z grona przyjaciół. I któraś z tych osób musiała donieść władzy o tym przerażającym fakcie. Fakt był tak przerażający, że zainteresowała się nim sama "góra" - czyli Stalin. W maju 1934 r. Osip Mandelstam został aresztowany i osadzony na Łubiance. Człowiek, który go aresztował wyraził swoje zdumienie, że po raz pierwszy w życiu zdarza mu się aresztować człowieka "u którego w domu nie ma dzieł Lenina". Wiersz wymiawający Stalina /świątokradztwo! / był bezpośrednią przyczyną aresztowania poety, ale chodziło też o coś innego. Faktem jest, że Mandelstam, który był człowiekiem poręczym i gwałtownym, publicznie spoliczkował Aleksiego Tołstoja za to, że obraził Nadieżdę. Tołstoj się wściekł i pojechał na skargę do Gorkiego - ten zaś miał powiedzieć: "pokażemy mu, co to znaczy bić radzieckich pisarzy!". Więc była jeszcze jedna przyczyna, która wpłynęła na decyzję o aresztowaniu Mandelstama. Ale teraz z perspektywy czasu wydaje się, że Mandelstam, podobnie jak wszyscy, którzy odmówili współpracy przy skazaniu na zagładę - przyjąć ona mogła w różnej formie i w różnym czasie, ale była nieunikniona. Rok 1934 to rok I zjazdu Związku Pisarzy Sowieckich - do którego wstąpili wszyscy pisarze, przysięgając na wierność partii - oprócz Mandelstama, Achmatowej, Bułhakowa i Piatonowa. Był to akt szalonej odwagi. Właściwie po aresztowaniu poety wszyscy spodziewali się, wiedząc co spowodowało aresztowanie, że będzie on natychmiast rozstrzelany. Tymczasem tak się nie stało. Co prawda odpowiednio czynnikami starały się stworzyć wokół aresztowania atmosferę grozy i poważnego przestępstwa. Radzono Nadieżdzie nie mieszać się do sprawy. Oczywiście poruszyła ona niebo i ziemię, była u wszystkich, którzy byli w stanie jakoś pomóc i mieli do tego minimum odwagi - wiele pomógł jej Bucharin, który jeszcze nie wypadł z łask i zawsze okazywał Mandelstamom życzliwość. Nadieżdzie udało się uzyskać widzenie. Kiedy przyszła decyzja o zesłaniu na cztery lata, oboje uznali, że to cud. Tym bardziej, że zaszło wiele drobnych na pozór okoliczności, które świadczyły o tym, że sprawę miały na oku najwyższe czynniki. Np. pozwolono Nadieżdzie jechać na zesłanie razem z mężem. Na stację odwieziono ich "służbowym autem" i mieli w podróży dość znośne warunki. W porównaniu z tym co działo się z innymi zesłańcami - był to rzeczywiście cud. Później okazało się także, że Stalin zadzwonił do Pasternaka z pytaniem: "Czy Mandelstam to dobry poeta?" Borys Pasternak jednak nie stanął na wysokości zadania. Wiedział jaką wagę mogła mieć jego odpowiedź np. "Józefie Wissarionowiczu, Mandelstam to jeden z największych naszych poetów". Ale tego nie powiedział. Nie powiedział nic, co mogłoby jakoś wpłynąć na los Mandelstama. Znamienne, że na zakończenie tej rozmowy Stalin powiedział: "Gdybym ja był przyjacielem Mandelstama, lepiej tym go bronii". Wykorzystał dewizę "izolować, ale zachować przy życiu". I tak Mandelstamowie znaleźli się najpierw w Czerdyniu, a potem w Woroneżu. Żyli w biedzie, kombinowali pieniądze. Przyjaciele robili składki na ich utrzymanie, czasem udało się im wynaleźć jakieś dorywcze zajęcie. W ciągu czterech tużących lat, w obcych domach, wśród różnego rodzaju ludzi zaznali różnego traktowania. Jako zesłańcy byli bezsilni i narażeni na przeróżne szykany miejscowych władz. Jakim straszliwym problemem było załatwienie dowodu osobistego? I jak można było unieszkodliwić gospodarza, który wpadał do pokoiku Mandelstama z żywą myszą w ręku i na ich oczach przysmażał tę mysz żywcem na maszynie elektrycznej! Nic, zupełnie nic ich nie chroniło przed okrucieństwem, donosicielstwem, obojętnością. Nie mieli domu, pieniędzy, pracy. Tracili siły i zdrowie. I nie mieli żadnych praw. Byli ludźmi gorszego gatunku. Więzień czy zesłańcy byli pariasem. Były nieukończony podróz z rękopisami, żeby je ukryć. Archiwum, przepisane, podzielone między różnych, czasem zupełnie przypadkowych ludzi. Niektórzy byli nieuczciwi - gdy okazało się, że to coś warte - sprzedawali rękopisy Mandelstama. Inni sami poszli do więzień i zagrów i powierzone im

papiery przepadły. Tak żyli Mandelsztamowie do 1938 r. W takich warunkach Osipowi Mandelsztamowi udało się zachować to, o czym mówił Błok w swoim przemówieniu o Puszkynie; tajemną wolność poety. Jedyńie Mandelsztamowi i Achmatowej udało się zachować niemałą pomnikową dumę i nieprzekupność wobec poniżającego systemu. W postawie Mandelsztama nie ma sztampowości, pompy: był po prostu spokojnym człowiekiem, który chciał żyć po swojemu i nie wyobrażał sobie, że mógłby być inaczej. Przeciępniał razem z żoną więźni, ale obojgu nigdy nie przyszło do głowy, żeby nawiązać współpracę z reżimem. A przecież wtedy może, MOŻE, skończyłyby się ich cierpienia. W najgorszych chwilach myśleli o wspólnym samobójstwie. Myśli samobójcze nawiedzały Mandelsztama często, czynił również samobójcze próby. Leżał w szpitalu. Kiedy czyta się "Wspomnienie" Nadiędy Mandelsztam - jak zresztą wszystkie wspomnienia z tego okresu - trudno sobie wyobrazić, że można było znieść takie życie, taki strach i taką beznadziejność. I zachować przy tym ludzką twarz. "Musisz przyznać, Panię Bożę, że Ci spokoju nijak nie zakłócam, i proszę jeno, byś mi tą samą miarką odplaciła" powiedział Coles Breunon wę wspaniałej książce Rollanda. Słowa tę - skierowaną nie do Boga, oczywiście - mogą odnosić się do postawy Mandelsztama: to nie był zaangażowany bojownik, idęowiec /tytu Majakowskiego/. To był człowiek, który pragnął spokojnie żyć i pisać - po prostu robić to, do czego czuł się powołany - bo przecież nie szkodził nikomu. Kiedy było to niemożliwe - stanął na uboczu, choć ubocze być tak samo niebezpieczne jak wysunięta placówka. Znerwicowany, przeznaczony na śmierć poeęta, któremu inny człowiek - największy w historii "znawca literatury" darował łaskawie kilka lat życia - znękany atakami nerwowymi, które przetrzały się w długotrwałe stary maniakalne - nie ugął się. Wiedział, że nie ma już szans, choć obojgu Mandelsztamom zawsze towarzyszyła iskierka nadziei /stał tytuł wspomnień "Nadzieja w beznadziejności"/. Mógł wyjechać z ZSRR. Mógł osiąść na Litwie. Nie uczynił tego. Dla niego, podobnie jak i dla wszystkich ludzi jego formatu Rosja była Rosją - nie ograniczała się do Rosji sowieckiej, lecz była krajem o określonej tradycji i historii, o określonej kulturze, których to wartości przecież nigdy do końca nie da się zniszczyć - dlatego jako Rosjanin czuł się ciągle pod ich wpływem. Nie łatwo się od tego odzegnać, porzucić. Porzucac w imię wolności w obcym kraju, która dla wielu Rosjan - co widać na przykładzie losów Cwietajewej - miała smak gorzki. To nie mieściło się w pojęciach Mandelsztama. Świadomie został. Świadomie też napisał wiersz o Stalinie. Nie mógł już dłużej stać na uboczu i milczeć. Wiedział co go czeka - sądził że zostanie rozstrzelany. Zamiast tego - zęstanie.

Koniec zęstania w 1938 roku nie był końcem nieszczęść. Co prawda po powrocie z Woroneża udało się otrzymać Mandelsztamowi miejsce w sanatorium. Było to dziwne sanatorium, w bardzo odludnym miejscu, dojazd był tam trudny, kontakt z miastem utrudniony. Ale pozwolono im jechać tam razem. I po krótkim pobycie któregoś dnia zajęchała pod sanatorium ciężarówka, wsadzono do niej Mandelsztama.. potem już poszło szybko: wyrok - zęstanie do obozu pracy pod Władywostok, gdzie Osip Mandelsztam umarł - prawdopodobnie w grudniu 1938 roku. Wiadomo tylko, że w obozie, pod wpływem strachu i szoku, jakim była podróż do łagru - Mandelsztam przestał jeść, bał się, że podają mu w jedzeniu truciznę. Zmarł zdaje się z wycieńczenia. Istnieją wersje, że w obozie deklamował wiersze współwięźniom - przestępcom kryminalnym, którzy za to dzielili się z nim jedzeniem - tego jedzenia nie bał się jeść. Ale nie są to wiadomości potwierdzone. W zasadzie nic o jego losach obozowych nie wiemy. Osamotniona Nadięda Mandelsztam musiała jakoś żyć, przetrwać. Za cel postawiła sobie uratowanie spuścizny poetyckiej meża. Przez 40 lat przepisywała, ukrywała jego wiersze i prozę - wiersze jego ukazały się w wyborze dopiero w 1974 r.

Nie dano mu zginąć z ręki równego. Jego poezję spotkał podobny los: następni po Stalinie "znawcy" zastanawiali się długo, już po jego pośmiertnej rehabilitacji, czy pozwolić na druk jego wierszy.

c.d.n.

× x x

Szkic powyższy jest skróconą wersją nie zakończoną jeszcze szerszego opracowania poświęconego losom poezji i poetów w Rosji w latach 1917-1941. Skróców dokonała autorka, dlatego nie zaznaczamy ich w tekście. /red./

KRONIKA SIEDLECKIEJ "S"

13.12.81 - 31.12.84

1981

12 grudnia W związku z napiętą sytuacją w kraju i dwudniowym obradom KK /11 i 12. XII./ w siedzibach "S" trwają 24 godzinne dyżury. W siedzibie Zarządu Wojewódzkiego ZSMP w Siedlcach trwa ogólnopolski strajk rolników, którzy domagają się pełnej realizacji Porozumień Rzeszowsko-Ustrzyckich. Akcją kieruje Ogólnopolski Komitet Strajkowy, na czele którego stoi rolnik z woj. siedleckiego Edmund Drygiel.

13 grudnia Około północy w siedzibie Zarządu Oddziału przestaje działać teleks akurat w trakcie odbierania informacji z ZR Mazowsze o tym, że jego siedziba na Mazowieckiej jest otaczana przez ZOMO. Wkrótce po północy rozpoczyna się noc długich kół. W szarych Siedlcach internowanych jest 18-letni uczeń LO im. Królowej Jadwigi, Witold Bobryk. Najbardziej dotknięta represjami zostaje rodzina Goławskich: synowie Zygmunt jr., Andrzej i Krzysztof zostają internowani a ojciec, Zygmunt, zaczyna się ukrywać. Podczas zatrzymania u Krzysztofa Goławskiego policja wyłamuje drzwi. Zatrzymanych zwozi się do KW MO a następnie przewozi do więzienia w Białej Podlaskiej. Rodziny nic nie wiedzą o ich losie.

Na wieść o aresztowaniach i proklamowaniu stanu wojennego działacze "S", którzy uniknęli internowania /Marek Biały, Andrzej Litwiniuk i Krzysztof Tchórzewski/ wydają odezwę do mieszkańców miasta, w której protestują przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego oraz domagają się uwolnienia internowanych. Przez cały dzień ZO funkcjonuje "normalnie". Zostają ukryte dokumenty i sprzęt. Rapo w mieście pojawiają się ulotki sygnowane przez Ruch Młodej Polski wzywające do biernego uczestników ruchu, Piotra Czapkiego i Mirosława Andrzejewskiego/.

W Odlewni Staliwa "Stalchemak" robotnicy pierwszy raz zmienili nie podejmują pracy. Po południu dochodzi do rozmów pomiędzy prezydentem miasta - Przychoda a członkami Prezydium Oddziału "S" /M. Biały, K. Tchórzewski, A. Litwiniuk/.. Działacze "S" domagają się uwolnienia internowanych, a potem podania pełnej ich liczby oraz miejsca pobytu. Przychoda obiecuje w poniedziałek udzielić odpowiedzi.

Ogólnie w mieście jest niewiele policji, którą tymczasem skierowano do innych miast /głównie Warszawy i Lublina/.

W późnych godzinach wieczornych rolnicy opuszczają okupowany gmach ZW ZSMP.

14 grudnia Będ czynną interwencją policji wygasa strajk w Odlewni Staliwa "Stalchemak" oraz w Zakładach Przemysłu Dzielwarskiego "Karo". Trwają masowe przesłuchania, podczas których żąda się m.in. podpisywania tzw. "lojalek". Osoby odmawiające podpisu są zazwyczaj internowane /np. Mieczysław Łaba z Zakładów Mięsnych w Łukowie, Paweł Fusik z Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego w Mińsku Mazowieckim, Marian Jaszczuk z Fabryki Narzędzi Skrawających "VIS" w Siedlcach, Andrzej Pelc z Zakładów Drobiarskich w Siedlcach/. Internowani zostają także Ryszard Piekart /ZPDz "Karo"/, wkrótce potem aresztowany i postawiony w stan oskarżenia pod zarzutem organizowania strajku.

Ok. godz. 13.30 po spotkaniu z Przychoda, chwilę po powrocie delegacji, do siedziby ZO wkracza policja. Podczas opanowywania ZO zostaje aresztowany Marek Karpowicz pod zarzutem "znieważenia funkcjonariuszy MO".

Ilość policji na ulicach miasta znacznie wzrasta.

16 grudnia W trybie przyspieszonym odbywa się rozprawa Marka Karpowicza. Otrzyma-

je wyrok 3 miesięcy w zawieszeniu na 3 lata /najniższy z możliwych/.
Przeciwko p. Bielińskiemu, sędziemu, który wydał ten wyrok zostaje
wytoczone postępowanie dyscyplinarne, wskutek którego zostaje on przeniesiony
do wydziału cywilnego. Po rozprawie Marek Karpowicz zostaje internowany.

21 grudnia Aresztowany zostaje wiceprzewodniczący siedleckiej "S", Marek Biały.
Owinią się go o "udział w akcji protestacyjnej", co przejawiało
się noszeniem znaczka "S" przepasanego czarną krepą. Kolegium skazuje
go na 3 m-ce bezwzględego aresztu. Następnie wyrok zostaje złagodzony do 1,5
miesiąca. M. Biały zostaje przewieziony do siedleckiego więzienia.

Pozostali na "wolności" działacze "S" oraz Kościół rozpoczynają akcję pomocy
dla uwięzionych i internowanych. Główny ciężar tej pomocy spoczywa na Siostrach
Sakramentkach. Klasztor przy ul. Rawicza staje się głównym punktem pomocy i
wymiany informacji dotyczącej uwięzionych. Należy podkreślić niezwykłą ofiarność
Sióstr, które poświęciły wiele czasu i sił w niesieniu pomocy ofiarom represji.
Trwają odwetowe zwolnienia z pracy. Zostają zwolnieni m.in. Elżbieta Jędrzejuk,
Andrzej Sochacki, Krystyna Pięlech, Stanisława Katana, Wacław Pracę i inne osoby.

22-24 grudnia SB zatrzymuje szereg osób w Wyższej Szkole Rolniczo-Pedagogicznej
za noszenie znaków żałoby po zamordowaniu górników w kopalni
"Wujek". Zatrzymani zostają postawieni przed Kolegium d/s Wykroczeń. Kilka
osób zostaje skazanych na grzywny, natomiast Wiesław Walarkiewicz, dr Zygmunt
Głowacki i Czesław Stankiewicz otrzymują po 3 miesiące aresztu. Cz. Stankiewicz
zostaje zwolniony 30.XII., natomiast pozostałym w wyniku rozpraw odwoławczych
zmniejsza się areszt do 1,5 miesiąca.

1 9 8 2

7 stycznia Ostatecznie zostaje zlikwidowany obóz w Białej Podlaskiej. Internowani
zostają przewiezieni do Włodawy. Podczas transportu klawiszę sugerują,
że wiozą ich do Związku Radzieckiego.

styczeń Ukazuje się pierwszy numer pisma siedleckiej "S" "Wiadomości Podlaskie".
Zaczynają docierać pierwsze gazetki "S" z Warszawy. Wkrótce potem
zostaje zorganizowany regularny dopływ warszawskiej prasy, początkowo głównie
"Tygodnika Wojennego". Działalność "S" koncentruje się głównie na nawiązywaniu
kontaktów oraz na pomocy dla represjonowanych. Na murach pojawiają się pierwsze
wrogie napisy, w malowaniu których autorka niniejszej kroniki miała zaszczyt
brać udział.

28 lutego Pod murem siedleckiego więzienia na ulicy Dzierżyńskiego dochodzi
do dantejskich scen. Nie przyjęty przez nikogo /?!/ transport żywności
i odzieży z RFN ustawia się na ul. Zawadzkiego i Niemcy zaczynają dary rozdawać
przechodniom. Społeczeństwo miasta Siedlec w sposób gwałtowny reaguje na te
niespodziewane zrzucenie losu. Samochód zostaje obłożony, dochodzi do bijatyk.
Niemcy wszystko skrupulatnie filmują. Po opuszczeniu Siedlec filmy zostają
im odebrane przez policję.

8 marca Z więzienia we Włodawie wychodzą pierwsi internowani z Siedlec
/m.in. Adam Szumilas, Piotr Czapski, Jerzy Kucharuk/.

13 marca W klasztorze Sióstr Sakramentek odbywa się pierwsza msza w intencji
internowanych i uwięzionych. Odtąd te msze stają się tradycją i
odbywają się co miesiąc. Podobna msza św. odbyła się w Mińsku Maz. W Sokołowie
Podlaskim rozrzucono ok. 3 tys. ulotek wzywających do tworzenia Kół Oporu Społecz-
nego /KOS-ów/. W związku z tym zatrzymano 7 kierowców z Bazy Transportowej
Zakładów Mięsnych, których następnie zwolniono z powodu "braku dowodów winy".

marzec Wychodzi pierwszy numer nowego siedleckiego pisma podziemnego "OSA".
"OSA" jest pismem satyrycznym. Podtytuł: "Prawdziwa osa wrony się nie
boli". Nakładem "OSY" ukazała się także antologia wierszy wojennych.

wiosna Nielegalnie za granicę przedostaje się działacz siedleckiej "S"

Tadeusz Ochtyra. W RFN otrzymuje azyl polityczny.

23 marca W więzieniu we Włodawie Służba Więzienna używa w stosunku do internowanych gazów łzawiących. Adwokat z Węgrowa, Jan Mizikowski doznaje ataku serca. Zostaje przeniesiony na Izbę Chorych.

29 marca Z więzienia we Włodawie ucieka Stanisław Karpik, założyciel przedsierniowego Podlaskiego Komitetu Obrony Ludzi Wierzących na Podlasiu. Kilka dni później w telewizji prezentowany jest list gończy za S. Karpikiem, w którym przedstawia się go jako poszukiwanego przez MO kryminalistę.

2 kwietnia W nocy z 2/3 kwietnia w Białej Podlaskiej został pobity przez patrol MO 19-letni Wojciech Cielecki. Wskutek odniesionych obrażeń zmarł. W zabójstwie brał udział m.in. st. sierżant LWP Kuśpit. W stosunku do winnych śmierci W. Cieleckiego nie wyciągnięto żadnych konsekwencji. Pogrzeb W. Cieleckiego, który odbył się 6 kwietnia stał się wielką manifestacją mieszkańców przeciw bezprawiu. Licznie zgromadzona policja nie interweniowała zadowalając się obserwacją uroczystości pogrzebowych. Podobny los spotkał Tadeusza Wolskiego z Białej Podlaskiej, który latem 1982 został pobity przez MO. W pobiciu brał udział st. sierżant MO Fefliński. Tadeusz Wolski zmarł wskutek pęknięcia śledziony.

17 września Jak informują "Wiadomości Podlaskie" w okresie od 13.03. do 13.04. w Sokołowie Podlaskim Służba Bezpieczeństwa zatrzymała na okres od 2 do 48 godzin ok. 50 osób.

9 kwietnia Ukazuje się pierwszy numer "Gońca Wojennego", nowego siedleckiego pisma podziemnego. W artykule "Co robić dalej?" redakcja pisze m.in.: "1. Nie popadać w beznadziejność. 2. Nie czekać nie wiadomo na co. 3. Tworzyć konspiracyjne struktury społeczne /.../. 4. Być wolnym dla samego siebie. 5. Walczyć z WRON-ą wszelkimi możliwymi sposobami w granicach własnego sumienia. Wrona jednej wojny się nie boi, ale gdy każdy obywatel wypowie jej swoją własną, prywatną wojnę i wojen tych będzie ona miała miliony - może to przynieść nadszpodziewane rezultaty".

13 kwietnia Tradycyjnę pod siedzibami "S" w Siedlcach i Sokołowie Podlaskim zostają złożone kwiaty. W kwietniu gwałtownie nasila się "wojna na murach". Najbardziej "opisarami" miastami w województwie są Siedlce, Węgrów i Sokołów Podlaski. Podejmowane są również inne tego typu akcje jak np. zamalowanie farbą tablicy PZPR w "Mostostalu" /18.03./.

16-17 kwietnia Kolejne represje wymierzone w rodzinę Goławskich. Podczas spotkania z żoną zostaje aresztowany ukrywający się Zygmunt Goławski. SB przeprowadza szereg wizji wśród rodziny i przyjaciół, internowani zostają Michał Skurosz i Teresa Sasim.

23 kwietnia Zostaje zlikwidowany obóz we Włodawie. Internowani z Siedlec zostają przewiezieni do wiezień w Lublinie, Rzeszowie-Zależu i Kwidzynie.

25 kwietnia W Sulejowie został zatrzymany Krzysztof Szymański, działacz "S" RI z Korytnicy Węgrowskiej. Znalaziono przy nim większą ilość ulotek. Na komisariacie MO w Węgrowie zostaje skatowany przez Mieczysława Drożdżewskiego /SB/, Stanisława Rydzewskiego /SE/, Marka Kalinowskiego /MO/ oraz przez ormowca Władysława Muszyńskiego. M.in. rozebrano go do naga i bito pałkami po plecach, kazano robić przysiady, wyrwano włosy z brody, bito pałkami po stopach. Mimo kazano robić przysiady, wyrwano włosy z brody, bito pałkami po plecach, kazano robić przysiady, wyrwano włosy z brody, bito pałkami po stopach. Mimo to K. Szymański nie udzielił SB żadnych informacji. Został aresztowany i przewieziony do Aresztu Śleczego na Rakowiecką w Warszawie. Tam wskutek odniesionych obrażeń przeleżał 68 dni w szpitalu. W 1983 roku odbyła się rozprawa sądowa przeciwko winnym pobicia. Zostają aresztowani na sali rozpraw i skazani na kary więzienia. Następnie po dwóch tygodniach wskutek tajemniczych czynności procesowych wszyscy wychodzą na wolność i powracają do pracy w resorcie MSW.

Przed 1 maja Redakcja "Wiadomości Podlaskich" wzywa do bojkotu oficjalnego podręcz. Czł. "nieznani sprawcy" uszkadzają popiersie Tadeusza

Kościuszki, co zostaje rozdmuchane /m.in. przez TV/ jako prowokacja "podziemia".
Przed 1 maja zostają internowane kolejne osoby: Cezary Kaźmierczak, Antoni Prokopiak, Wiktor Stasiak i Włodzimierz Zawadzki. Wszyscy trafiają do więzienia w Lublinie.

3 maja W kościele św. Stanisława zostaje odprawiona uroczysta Msza św. Po mszy zostają złożone kwiaty pod pomnikiem Tadeusza Kościuszki. SB jedynie przypatruje się uroczystościom.

13 maja Węgług "Wiadomości Podlaskich" większość pracowników w zakładach "Nowotko", "Mostostal" i "Stalchemak" odpowiedziała pozytywnie na wezwanie Związku do 15-minutowego strajku. Na dachu hali produkcyjnej w "Mostostalu" umieszczono flagę "S".

17 maja Policja otrzymała donos, że na swojej posesji pojawił się ukrywający się Stanisław Karpik. Reakcja była natychmiastowa: SB i ZOMO otoczyli zabudowania S. Karpika i wstąpiło się do mieszkania demolując je przy okazji. Karpika nie było natomiast straty przez niego poniesionej wskutek wandalizmu gospodarz oszacował na 200 tys. zł /po ówczesnych cenach/.

23 maja "S" w Sokołowie Podlaskim zorganizowała obchody 117 rocznicy stracenia Ks. Brzózki. Po uroczystej mszy św. złożono kwiaty pod pomnikiem dzielnego kapłana. Policja nie interweniowała.

13 lipca W "internacie" w Kielcach zostaje aresztowany Krzysztof Goławski. Oskarża się go o to, że podczas internowania "tworzył strukturę związkową m.in. wydając legitymacje". Zostaje przewieziony do więzienia w Chełmie.

27 lipca W Sokołowie Podlaskim zostaje aresztowany p. Remiszewski, znaleziono u niego ok. 250 ryz papieru. Otrzymuje sankcję prokuratorską. Pan ten jest w śledztwie bardzo rozmowny. Informuje m.in. SB, że papier złożyli u niego W. Zawadzki i C. Kaźmierczak /obaj w tym czasie internowani/. Twierdzi także, iż W. Zawadzki groził mu /!?!/, jeżeli nie weźmie papieru na przechowanie. Tutaj pozwala wszelkich wyjaśnień i łądzą na sali sądowej jako świadkowie... /mimo składania wszelkich wyjaśnień i łądzą na sali sądowej jako świadkowie... /mimo pokrzykiwań prokuratora, że "prawdziwi oskarżeni siedzą na ławie dla świadków"/ Remiszewski jako... oskarżony. Remiszewski został 1.X. zwolniony za kaucją 50 tys. zł, a na rozprawie, która miała miejsce w 1983 roku uniewinniony dzięki postawie ławników /sędzina została przegłosowana i złożyla od wyroku votum separatum/.

8 sierpnia Z więzienia w Kwidzynie ucieka Mirosław Andrzejewski, działacz RMP i NZS.

14 sierpnia W więzieniu w Kwidzynie dochodzi do brutalnego pobicia i znęcania się nad internowanymi. Zgodnie ze starą komunistyczną zasadą wkrótce po tym /6.09./ aresztowani zostają najbardziej poszkodowani, których oskarża się o pobicie funkcjonariuszy. Wśród nich znajdują się dwaj mieszkańcy Siedlec, bracia Andrzej i Zygmunt Goławscy jr. Andrzej ma pełnięcie kręgów szarych i po pewnym czasie zostaje przewieziony do szpitala Aresztu MSW w Warszawie przy ul. Rakowieckiej.

31 sierpnia - 1 września Uroczystą Mszę św. planowaną w rocznicę porozumień sierpniowych bp Jan Mazur autorytatywnie przenosi na dzień 1 września. Siedlce są jednym z niewielu miast w Polsce, gdzie nie dochodzi tego dnia do prosolidarnościowych demonstracji. 1 września w siedleckiej katedrze zostaje wmurowany krzyż "S", na którym umieszczono 13 tabliczek z nazwami więźniów, w których przebywali siedleckcy działacze "S". Przed 31 sierpnia internowani zostają Jan Bedkowski i Tomasz Olko.

27 września Rozpoczyna się proces Krzysztofa Goławskiego /por. 13 lipca/. Wyrok zostaje ogłoszony 14.X. K. Goławski zostaje skazany na 36 tys. grzywny. W grzywnę zostaje wliczony okres pobytu w areszcie śledczym, a więc dokładnie

tyłę, ile przebywał tam K. Goławski. Nie zostaje jednak zwolniony tylko ponownie internowany.

10 listopada W Siedlcach, podobnie jak w innych miastach, proklamowany przez TKK strajk nie udaje się. Do napiętej sytuacji dochodzi następnego dnia w "Stalchemaku" w związku z zatrzymaniem Marka Białego i Andrzeja Cichego. Załoga grozi strajkiem domagając się zwolnienia zatrzymanych kolegów i rozmowy z komisarzem wojskowym. Komisarz wojskowy przybywa na rozmowę i obiecując, że zatrzymani zostaną uwolnieni, co też wkrótce nastąpiło.

W ZPP-FSO w Siedlcach aresztowany zostaje Zbigniew Boruc. Oskarżony jest o rozrzucanie ulotek wzywających do strajku. Po 4 tygodniach pobytu w Areszcie Śledczym sankcja zostaje uchylona.

grudzień Z więzień wychodzą ostatni z siedleckich internowanych: Cezary Kaźmierczak, Zygmunt i Krzysztof Goławscy oraz Włodzimierz Zawadzki. W 1982 roku siedlczanie siedzieli w następujących "internatach": Biała Podlaska, Włodawa, Lublin, Kwidzyn, Rzeszów-Załęże, Olszynka Grochowska, Gołdap, Dąbówka, Białoleka, Kielce-Piaski, Nowy Łupków i Włocławek oraz w więzieniach i aresztach śledczych w Siedlcach, Łukowie, Chełmie Lubelskim, Elblągu i w Warszawie na Białołęce. W Siedlcach internowanych było łącznie 35 osób a w pozostałych miastach województwa 19.

13 grudnia W pierwszą rocznicę wprowadzenia stanu wojennego odbyła się pielgrzymka b. internowanych i więźniów politycznych na Jasną Górę. Niestety nie wszyscy mogli wziąć w niej udział: w więzieniu pozostali Andrzej i Zygmunt Goławscy jr. a także jeszcze nie opuścili internatów niektórzy internowani.

1 9 8 3

6 stycznia Ujawnia się Mirosław Andrzejewski a także, ukrywający się od 13.XII.81 Zbigniew Kucharuk. Obaj po próbach przesłuchania zostają zwolnieni do domów. Przeciwko Mirosławowi Andrzejewskiemu zostaje jednak wszczęte postępowanie karne. Oskarża się go o "samowolne oddalenie z ośrodka odosobnienia".

5 lutego Z więzienia zostaje zwolniony Andrzej Goławski. W związku ze stanem zdrowia zostaje on wyłączony ze sprawy "ębląskiej".

3 marca W Elblągu rozpoczyna się jeden z najhambniejszych procesów stanu wojennego /por. 14.VIII.82/. Na ławie oskarżonych zasiada m.in. Zygmunt Goławski jr., prezentując niezwykle godną postawę. Wyrok zostaje ogłoszony 25.V. Z. Goławski jr. zostaje skazany na karę 2 lat więzienia i 25 tys. grzywny. Tego dnia Z. Goławski jr. zostaje zwolniony na tzw. "zmianę środka". Następnie na mocy amnestii kary zostają "darowane". Oskarżenie oraz sposób prowadzenia procesu przypomina najczarniejsze karty z dziejów polskiego sądownictwa z okresu lat stalinowskich czy też późniejsze wyczyny sędziego Zieniuka.

8 marca W Wyższej Szkole Rolniczo-Pedagogicznej ukazuje się 1 numer "Nierzechystości", pisma Studenckiego Ruchu Oporu. Pismo stanowi kontynuację gazetki strajkowej z 1981 roku. Redakcja stawia sobie za cel "rozbudzenie w środowisku akademickim poczucia solidarności".

23 marca W Kwidzynie odbywa się proces Mirosława Andrzejewskiego /por. 6.I./ Sprawa zostaje "warunkowo umorzona" a potem obejmuje ją amnestia.

wiosna W związku z panującą w kraju sytuacją klasa IVD z II LO w Siedlcach organizuje bójkot studniówki. Do tej inicjatywy przyłączają się pojedyncze osoby z inych klas maturalnych.

kwiecień W miejscowości Hanna /woj. bialsko-podlaskie/ zostaje zamordowany przez zomowców Zbigniew Szymański. Sprawcami mordu są Roman Prudawczuk i Jerzy Niemiec.

22 kwietnia Aresztowany zostaje Stanisław Karpik. Kilka dni potem SB zatrzymuje Krzysztofa Skorupkę. W samochodzie, którym jechał, znaleziono powie-

Podczas zwalniania z aresztu został pobity Edward Kopówka.

- 7 grudnia Odbyła się rozprawa Z. Gryczewskiego /por. 30.08./. Sąd skazał go na 1 rok w zawieszaniu na 4 lata oraz na 30 tysięcy grzywny.
- 9 grudnia W Świeradowie podczas pobytu w sanatorium pod zarzutem kolportażu zostaje aresztowana nauczycielka z Siedlec, Elżbieta Jędrzejuk. Zwolniono ją z aresztu 30.XII.
- 14 grudnia W miejscowości Dąbe Wielkie aresztowani pod zarzutem kolportażu zostają Mirosław Pietkiewicz i Bogumił Tomaszewicz. 15 lutego 1984 r. obaj zostają zwolnieni.
- 21 grudnia Senat WSRP rozpoczyna obrady na temat nadania szkole imienia G. Dymitrowa. Rektor Forys używa swojego niezawodnego argumentu, tj. groźby rozwiązania szkoły przez ministra. Początkowo ten pomysł spotyka się z sprzeciwem, szczególnie ze strony dziekana wydziału matematyczno-chemicznego, Godlewskiego. Podczas obrad sekretarz KU PZPR składa kuriozalne oświadczenie, że on osobiście i KU nie bierze odpowiedzialności "za działalność ideologiczną" na uczelni.
- 29 grudnia Przed Kolegium d/s Wykroczeń staje Stanisław Karpik obwiniony o zorganizowanie "nielegalnego zgrupowania" /por. 26.11./. Zostaje ukarany grzywną w wysokości 20 tysięcy złotych. Za udział w "nielegalnej kolacji" /określenie jednego z funkcjonariuszy/ zwolniona ze stanowiska zostaje p. Gażanka, dyrektorka szkoły podstawowej w Grodziszczu Mazowieckim. W Opolu Starym i w Siedlcach SB rozpowszechnia ulotki szkalujące ks. Sadińskiego, W. Kęcika i S. Karpika.

Od 1981 roku do 1983 w woj. siedleckim szeregi PZPR opuściło 2.406 osób /tj. 31%/. PZPR liczy 5,5 tysiąca osób. O liczbie przyjętych do partii w tym czasie prasa partyjna milczy.

31 grudnia Odbył się pogrzeb zmarłej 29 grudnia Harry Pawłowskiej, historyka, nauczycielki, członkini prezydium Zarządu Oddziału siedleckiej "S". Żyła 28 lat. Na pogrzeb przybyło wiele osób. Słowa pożegnania w imieniu "S" wygłosił Maciej Kublikowski a w imieniu "S" Nauczycielskiej Andrzej Litwiniuk.

1 9 8 4

- 4 lutego W Bielanach k/Sokołowa Podlaskiego zostaje pobity przez MD Edward Bieliński. Wskutek pobicia kilka dni przebywa w szpitalu. Prokuratura nie uwzględniła skargi na postępowanie policjantów.
- 29 stycznia Senat jednomyślnie podejmuje decyzję o nadaniu WSRP imienia Dymitrowa. Jednym z głównych orędowników jest... dziekan Godlewski. Tymczasowa Komisja Zakładowa "S" WSRP i Studencki Ruch Oporu w oświadczeniu z 10.II. protestują przeciwko tej decyzji. "Chrzcziny zaszczycają swoją obecnością" Jaruzelski i Żiwkow. Na aule, gdzie odbywały się uroczystości, wpuszczono jedynie 40 starannie wyselekcjonowanych pracowników naukowych i studentów; resztę stanowili ubęcy. Przy okazji pobytu Jaruzelskiego w Siedlcach miała miejsce największa jak dotąd wpadka "Metrum". W jednej z "niczych" szafek pracownicy z Biura Ochrony Rządu znaleźli ok. 100 egzemplarzy "Metrum". Kilka dni po "chrzczinach" wmurowano tablicę z nazwiskiem patrona, którą "nieznani sprawcy" zapaskudzili czerwoną farbą.
- 25 lutego W Warszawie zostają zatrzymani dwaj działacze siedleckiej "S" Maciej Kublikowski i Tomasz Olko. W ich domach SB przeprowadza rewizje. U Tomasza Olko ułocy znajdują kilka radiotelefonów, co staje się pretekstem do aresztowania. M. Kublikowski po 48 godzinach zostaje zwolniony.
- 5-8 marca W Siedlcach i województwie SB przeprowadza falę rewizji. Według zamieszczonej w "Metrum" informacji Grupy Helsińskiej na Podlasiu łącznie przeprowadzono w siedleckim 55 rewizji. 6.III. SB wkroczyła do mieszkania pracow-

nika Muzeum Okręgowego w Siedlcach Andrzeja Bohdanowicza. Znalezione m.in. powielacz, fotokopiarke, radiostację wojskową. A. Bohdanowicz zostaje aresztowany, wychodzi z aresztu w lipcu. W innych miejscach SB znajdowała jedynie pojedyncze egzemplarze bibuły.

marzec Miętno. W grudniu goszczący w woj. siedleckim towarzysze z Zechostowacji odwiedzili m.in. Zespół Szkół Rolniczych w Miętnym. Widok wiszących na ścianach krzyży spowodował, iż towarzysze uznali, że znaleźli się w szkole kościelnej /a mówią, że gatunek homo sovieticus nie istnieje!/. Swoimi spostrzeżeniami podzielił się z siedleckim aktywem, który to w osobie Stefana Mięśaka nakazał dyr. Domańskiemu usunąć krzyże, co ten uczynił. Doszło do protestów młodzieży i rodziców, w wyniku których doszło do kompromisu i krzyże powróciły na swoje miejsce. Jednak 29 lutego dyrektor ponownie ukarałkiem je usunął. W związku z odmową powieszenia ich ponownie młodzież 6.III. odmówiła udania się na lekcję i rozpoczęła w szkole strajk okupacyjny. 7.III. miał miejsce słynny marsz do Garwolina i interwencja ZOMO. W rezultacie strajku oraz liczących protestów w kraju i za granicą konflikt został rozwiązany w sposób kompromisowy.

Na znak solidarności z uczniami z Miętnego bp Jan Mazur ogłosił tygodniowy post o chlebie i wodzie, uczniowie II LO 13.III. na znak protestu zorganizowali tzw. "młczącą przerwę". Pod listem do wojewody popierającym uczniów z Miętnego protestującym przeciwko postępowaniu władz podpisało się ok. 660 uczniów siedleckich szkół ponadpodstawowych. Osobny list wystosowali księża diecezji siedleckiej. Zagrozili w nim, że jeżeli konflikt nie zostanie rozwiązany "zbojkotują wybory". W oświadczeniu SKOS czytamy: "Solidaryzujemy się z młodzieżą w Zespole Szkół Rolniczych w Miętnym. Niech jej walka będzie dla nas przykładem. że tylko dzięki odwadze, determinacji i zbiorowej solidarności można skutecznie przeciwstawiać się bezprawiu i brutalności władzy".

Władzę jednak nie powstrzymały się od represji. Do nauki przystąpiła zaledwie połowa uczniów, 7 nauczycieli zwolniono z pracy. Z Komitetu Wojewódzkiego wyrzucano też głównego sprawcę konfliktu, Stefana Mięśaka - trafił na ciepłą posadę w Urzędzie Wojewódzkim, gdzie m.in. zajmował się szkoleniami, którą organizował w ... Miętnem.

4 kwietnia Funkcjonariusze MO w Domonicach pobili działacza "S" Kazimierza Cabaję oraz jego matkę. K. Cabaj został oczywiście postawiony przed Kolegium d/s Wykroczeń i 21.V. ukarany grzywną w wysokości 8 tys. zł.

27 kwietnia Odył się proces Tomasza Olki /por. 25.II./. Ze względu na "znikome społeczne niebezpieczeństwo czynu" sąd postanowił umorzyć sprawę. Prokurator złożył odwołanie, jednak sprawa została objęta amnestią.

1 maja Tradycyjna msza św. odbyła się w katedrze. Na wezwanie "S" przybyło na nią ok. 2 tys. osób. Mszę św. odprawił bp Jan Mazur. Po mszy kilkaset osób uformowało pochód, który trasą równoległą do oficjalnego zmierzał do pomnika Tadeusza Kościuszki. Przy Archiwum Wojewódzkim policja zorganizowała blokadę. Manifestanci zaś niespodziewanie skęcili w małą uliczkę Sądową, która nie była zablokowana i wyszli ok. 100 metrów przed oficjalny pochód. Rządowy pochód się zatrzymał, demonstranci zaś spokojnie przeszli pod pomnik Kościuszki, gdzie złożono kwiaty i odśpiewano pieśni patriotyczne. Przed pomnikiem policjanci w dość nieudolny sposób usiłowali zatrzymać niezależny pochód, później zaś jedynie ograniczyli się do wezwania przez megafony do rozjeżdżenia się.

3 maja Po mszy św. w kościele św. Stanisława odbyła się największa demonstracja "S" po wprowadzeniu stanu wojennego. Ok. 3 tysiące osób przeszło pod pomnik Kościuszki, gdzie składano kwiaty, śpiewano i skandowano: m.in. "Solidarność", "Zbyszek Bujak", "Uwolnić politycznych", itp. Policja była do tego stopnia zaskoczona, że nie wykonała najmniejszego ruchu, choć licznie stawiała się na uroczystości.

14 czerwca Swoją pierwszą audycję na UKF nadało Radio "S". Audycja była wcześniej zapowiadzana w ulotkach i poświęcona była zbliżającym się wyborom do rad narodowych. Po ok. 2 minutach audycje, w niektórych częściach miasta /nadawano ją z 4 nadajników na różnych częstotliwościach/ zagłuszono. Dwa dni

ponieżej odbyła się pierwsza próba nadawania na fonii I programu TV. Wypadła ona pomyślnie, jednak radiowcy uznali, że należy wzmocnić siłę nadajników, gdyż obecnie mają one zbyt mały zasięg. Dwie audycje przedwyborcze nadano również w Garwolinie. Tamże za kolportaż ulotek został zwolniony z pracy nauczyciel Wojciech Czapczyński. "S" organizuje największą kampanię propagandową od wprowadzenia stanu wojennego. SKOS i Tymczasowa Komisja Wykonawcza "S" woj. siedleckiego wzywają w apelach do bojkotu wyborów. Rozkolportowano kilkanaście tysięcy ulotek, na murach pojawiło się ok. 90 antywyborczych napisów. Za rozklejanie plakatów zatrzymani zostają uczniowie szkół średnich Adam Bobryk i Tomasz Maciejczyk. T. Maciejczyk otrzymuje sankcję prokuratorską, jednak po kilku dniach za poręczeniem szkoły zostaje zwolniony. A. Bobryk został w Komendzie Policji pobity przez ubekę, Krasuskiego.

17 czerwca Akcję pomiaru frekwencji wyborczej organizował SKOS. Z opublikowanego raportu dowiadujemy się, że na 25 punktów wyborczych obserwacją ciągłą objęto 23. Na tej podstawie liczbę niegłoszących oszacowano na ok. 19 tys. osób czyli niemal połowę dorosłych mieszkańców miasta /głosowało 55,6%. Na listach wyborczych sprawdziło się 9% uprawnionych.

13 lipca W kościele św. Stanisława odbyła się msza św. w intencji sądzonych członków KOR.

31 sierpnia Na apel TKW "S" ok. 2 tys. wiernych przybyło na mszę św. w rocznicę Porozumień Sierpniowych. SB dokonała licznych zatrzymań prewencyjnych. Po mszy św. ok. 1,5 tys. osób przeszło pod pomnik T. Kościuszki. Pod sam pomnik podeszło jedynie ok. 150 osób, złożono kwiaty i odśpiewano Hymn Narodowy oraz "Boże coś Polskę". Policja wzywała do rozejścia się, a także usiłowała legitymować niektórych osoby.

wrzesień Za udział w demonstracji 31.VIII. przed Kolegium d/s Wykroczeń postawiono 12 osób /m.in. Jerzego Jarzaba, Czesława Bajszczaka, Joannę Andrzejewską, Wandę Radzikowską, Wiktorię Flegier, Elżbietę Cisak, Józefa Stachowicza, Ewę, Ryszardę i Marka Michałowskich, Stanisława Karpika, Witolda Bobryka/. Wszystkie te osoby skazano na grzywnę od 12 do 20 tys. zł. Umorzono jedynie sprawę Edwarda Chojeckiego, którego tego dnia w ogóle nie było w Siedlcach mimo, że kilku funkcjonariuszy niezależnie od siebie go widziało!

22-23 września Odbyło się spotkanie przedstawicieli TKW "S" i SKOS. Było to pierwsze z serii spotkań, które doprowadziły do połączenia obu struktur i stworzenia Oddziałowej Komisji Wykonawczej "S". Ogłoszono m.in. apel do społeczeństwa o zbiórce pieniędzy na rzecz sądzonych grzywnien. Zbiórka przyniosła ponad 100 tys. złotych.

28-29 września Aby zapobiec "nielegalnym demonstracjom" ogrodzono wysokim płotem /koszt - 400 tys.zł/ skwer wokół pomnika T. Kościuszki. Skwer był ogrodzony ponad rok.

11 listopada Po uroczystej mszy św. w kościele św. Stanisława zebrani na dziedzińcu kościelnym ułożyli krzyż z kwiatów i lampek oraz odśpiewali pieśni patriotyczno-religijne.

Została nadana na fonii I programu TV audycja Radia "S" poświęcona rocznicy odzyskania niepodległości. Audycja była bardzo dobrze słyszalna i spowodowała entuzjasm mieszkańców oraz poważne zamieszanie w szykach n-pla. Szef SB wzywany był m.in. na dywanik do I sekretarza KW a ubęcy przez najbliższe kilka dni zapoznawali się z dachami wysokich budynków w Siedlcach.

listopad - grudzień W WSRP trwa ofensywa SB. Przesłuchiwanę są całe lata studentów. Namawia się ich do współpracy. Kilka mniej odpornych osób nachodzonych przez ubeków zostaje doprowadzonych niemal do rozstroju nerwowego. TKZ "S" WSRP wzywa r ktora do podjęcia energicznych działań przeciw tej akcji SB. "Uczelnia nasza - czytamy w oświadczeniu z 5.XII. - nie może stać się miejscem deprawacji, gdzie uczy się donosicielstwa i łamie charaktery młodzieży".

grudzień Ukazuje się 1 numer "Gazetki Ludowej", pisma wydawanego przez SKOS, przeznaczonego dla wsi.

31 grudnia Radio "S" po raz kolejny doprowadza do wściekłości SB. Najpierw podczas świąt nadano audycję "S" a następnie na przemówieniu noworocznym przekazano wszystkim telewidzom życzenia od "Solidarności". Nie trzeba chyba dodawać, że funkcjonariusze natychmiast po usłyszeniu kilku taktów "Siękie-ra, motyka..." /sygnał Radia "S"/ musieli podążyć na Komendę.

Hanna Sławińska

P.S. Świadoma jestem, iż niniejsza Kronika może zawierać pewne braki a także nieścisłości. Pręto zwracam się do wszystkich zainteresowanych z prośbą o przesyłanie mi /za pośrednictwem "Metrum"/ uzupełnień oraz ewentualnych sprostowań. O ile nadejdą ciekawe materiały /dotyczące działalności "S" i represji w Siedlcach/ do niniejszej Kroniki zostanie sporządzony i opublikowany aneks.

W jednym z najbliższych numerów zostanie opublikowana Kronika 1985-86.

H.S.

Uwaga! Jedynym potwierdzeniem otrzymania przez nas wpłaty jest opublikowanie hasła na łamach "Metrum"

cena: 350 zł